

Grey Scale #13



A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19



WSPOMNIENIA MARCINA ZALESKIEGO

1830—1873.



WE LWOWIE
GUBRYNOWICZ I SCHMIDT
Z DRUKARNI ZAKŁADU NARODOWEGO IMIENIA OSSOLIŃSKICH
POD ZARZĄDEM JULIUSZA BIRKENMAIERA
1893.

Colour Chart #13

Blue	Light Blue	1	1
Cyan	Light Cyan	2	1
Green	Light Green	3	2
Yellow	Light Yellow	4	3
Red	Light Red	5	4
Magenta	Light Magenta	6	5
White	White	7	6
3/Color	3/Color	8	7
Black	Black	9	8

Centimetres
Inches

DANES-PICTA .COM

WSPOMNIENIA
MARCINA ZALESKIEGO
1830—1873.



WE LWOWIE
GUBRYNOWICZ I SCHMIDT
Z Drukarni Zakładu Narodowego imienia Ossolińskich
pod zarządkiem Juliusza Birkenmaiera
1893.

WSPOMNIENIA
MARCINA ZALESKIEGO
1830—1873.



WE LWOWIE
GUBRYNOWICZ I SCHMIDT
Z Drukarni Zakładu Narodowego imienia Ossolińskich
pod zarządem Juliusza Birkenmaiera
1893.

92



SŁOWO OD WYDAWCY.

Składamy w ręce czytającego ogółu »Wspomnienia« Marcina Zaleskiego. Autor ich, urodzony dnia 11. Listopada 1826. roku, w domu obywatelskim na Wołyniu, po wielu najrozmaitszych kolejach losu, o których szczegółowo opowiada on sam na dalszych kartach niniejszej książki, ośiadł po roku 1873. stale w Sołomnie na Podolu rosyjskiem. Objąwszy tutaj gospodarstwo, niem się przedewszystkiem zajmował, gdy jednak po kłopotach i troskach codziennych zajęć zdobył sobie chwilę wolnego czasu, zasiadał bardzo często i z niemałą przyjemnością do pisania. Pisał wiersze okolicznościowe, niekiedy nawet małe poemaciki, odczytywane potem w kole krewnych i najbliższych znajomych, pisał także, jak się później okazało i swoje wspomnienia.

Należało się poniekąd spodziewać, że Zaleski przy swem zamiłowaniu do pióra zostawi po sobie pamiętnik. W ciągu swej 65-letniej pielgrzymki doczesnej doświadczył on wiele, widział niejedno, nieraz też gawędząc w gronie znajomych, sięgnął pamięcią w przeszłość i wydobywał z niej dla słuchaczy ciekawe obrazki

zarówno z własnego żywota, jak i ze współczesnych sobie wypadków krajowych. Było więc i o czym pisać i była, co bardzo wiele znaczy w podobnych razach, ochota do pióra. Wszystko kazało przypuszczać, że autor pamiętnik taki spisze.

Nadzieja nie zawiodła. Gdy po śmierci ś. p. Marcina, która nastąpiła w Krakowie 11. Czerwca 1891., zgłosiliśmy się do najbliższej rodziny z prośbą o pozwolenie przejrzenia spuścizny literackiej po zmarłym, otrzymaliśmy w uprzejmej odpowiedzi wcale znaczny plik papierów, mieszczących w sobie pisma prozą. Wśród nich znajdowało się i to, co nazwaliśmy »Wspomnieniami«.

Wspomnienia te postanowiliśmy za łaskawem zezwoleniem rodziny ogłosić drukiem. Dlaczego? winniśmy kilka słów wyjaśnienia. Prawda, że głównym przedmiotem wspomnień tych są przygody samego autora, przecież jednak i one zasługują na ogólniejszą uwagę; losy tego człowieka zespoliły się z losem kraju, w którym żył i działał, znaczna część życia Marcina jest tego zespolenia najlepszym i oczywistym dowodem.

Były jednak i poważniejsze względy. Znajdzie czytelnik w tych wspomnieniach i rzeczy ogólniejszego znaczenia. Do takich zaliczamy wiadomości, co prawda z lat dziecięcych jeszcze autora, niemniej jednak charakterystyczne, o udziale pogranicznych powiatów Wołyńia, a poniekąd Galicyi, w wojnie narodowej od 1830. do 1831. roku. Dalej zaliczamy tutaj wzmianki o trudnościach i przeszkodach, z jakimi walczyć musiało wychowanie młodzieży w prowincjach zabranych po wypadkach 1831. roku; szczegóły o służbie wojskowej

młodego Polaka w szeregach armii rosyjskiej za Mikołaja I., wcale zajmujący ustęp o działaniach wojsk rosyjskich na Węgrzech w roku 1849.; obraz działalności ostatniego marszałka wyborowego na Wołyniu, wreszcie niektóre fakta z historii ruchu narodowego w r. 1863. na Wołyniu, oplakane następstwa jego dla tamtejszych Polaków, jak w ogóle dla Polaków zamieszkałych w prowincjach zabranych, na których najnowsze dzieje i stosunki daje autor pogląd w zakończeniu swej pracy. A oprócz tego wszystkiego spotyka się w tych wspomnieniach wiele rysów nieobojętnych dla charakterystyki różnych osób i całej minionej już dzisiaj epoki, słowem wiele tych drobnych kamyczków z mozaiki, które same przez się niewiele znacząc, zbierane zewsząd i układane ręką przyszłego dziejopisarza, wytworzą stopniowo coraz barwniejszy obraz.

Wkońcu jedno jeszcze. Głos to z zakątka, z którego rzadko dzisiaj dochodzą wiadomości do szerszego ogółu, sądziliśmy więc, że szkoda by było, ażeby głos ten pozostał w ukryciu. Do ogólnej historii porozbiorowej Polski może i nasz autor dorzuci kiedyś chociażby słówko — stanie obok tych, którzy piórem swem dotkną tychsamych czasów i tychsamych zdarzeń i złoży świadectwo prawdzie. Pozwólmy mu więc przemówić...

Z tych tedy powodów wydobywamy wspomnienia te na światło dzienne. Z dwóch redakcyi, będących w naszym ręku, wzięliśmy za podstawę wydania redakcyą obszerniejszą, pisaną w r. 1883., już nie tylko dlatego, że sam autor przeznaczał ją dla szerszego koła czytelników, jak to wnosić można z przedmowy i samej treści,

lecz także i dlatego, że ta redakcyja właśnie zawiera w sobie znaczniejszą ilość szczegółów więcej ogólnej natury; drugą, znacznie krótszą, z r. 1890., spisał autor dla rodziny. Drukujemy rękopis bez zmian żadnych, dodając ze swej strony jedynie podział na rozdziały, tytuły tych rozdziałów, w uwagach zaś króciutkie objaśnienia, niezbędne dla tych, którzy nie znają stosunków i urządzeń pod rządem rosyjskim. Od tej zasady odstąpiliśmy tylko w jednym wypadku: oto opis podróży po Europie, zresztą bardzo pobieżny i nie przedstawiający żywszego interesu dla czytelnika, drukujemy wedle skróconej redakcyi rękopisu z r. 1890.

WYDAWCA.



SPIS ROZDZIAŁÓW.

Do Czytelnika	Strona
	1
Słów kilka o rodzinie Prawdzic Zaleskich	4

Pamiętniki z życia :

I. Wspomnienia dzieciństwa	16
II. Wspomnienia młodości	54
III. Kampania węgierska	89
IV. Pod strzechą rodzinną	119
V. Podróż. — Powtórne ożenienie	155
VI. Urzędowanie	186
VII. Wygnanie	225
VIII. Zakończenie	305

DO CZYTELNIKA.

Chociaż geniusz florencki powiedział: »Ne sum maggior dolore, che ricordarsi del tempo felice nella miseria«, nie zupełnie podzielam tego zdanie, gdyż nieraz przecie najboleśniej-sze chwile życia osładza pamięć jaśniejszej ongi przeszłości.

Wszak dreszcz przejmuje na samą myśl, dokąd ludzkość kroczyćby miała, gdyby każdy po doznanych zawodach wstępował w otchłań owego piekła, u bram którego wszelkie marzenia i ułudy, niepowrotnie złożonemi być muszą.

Czyliż nie szczytniejszą jest ta chrześcijańska pieśń barda: »Nie trzeba nigdy tracić nadziei — Bo bez nadziei nie można żyć...« A opierając się na pewniku, że kiedy przed laty bywało lepiej, toć z biegiem czasu, zmiana ku lepszemu znowu kiedyś zawitać może; choć

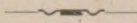
wiele prawdy w przysłowiu: »zwykle młody staremu mało daje wiary — a że sam był też młodym, zapomina stary«, nie chcę wątpić, żeby doświadczenie ojców, bez żadnej korzyści dla synów pozostawać miało. — I to jedynie pobudza mnie dzisiaj do złożenia na papier żywych dotąd wspomnień, co przez sześć dziesiątków lat życia, w kalejdoskopie onego, przed oczyma się przesunęły, lub których w kapryśnych kolejach losu samemu osobiście doświadczyć przyszło.

Wiedząc, jak ujemną stroną pamiętników, jest egoistyczne ja, co zwykle w takowych, by szydło z worka na wierzch się wydobywa, i próżnostką swą kole, wystrzegać się tej słabostki ludzkiej najusilniej tu zamierzam. A jeżeli w niektórych zdarzeniach lub przygodach własne czynności ujawnić mi przyjdzie, dotknę tej niewdzięcznej strony o tyle, ile ku jaśniejszemu przedstawieniu okoliczności nieodzownem to się okaże, albo gdzie przy powołaniu do życia publicznego samodzielne wystąpienie z samej natury rzeczy stanie się niezbędną koniecznością. Głównem jednak zadaniem tej pracy notować tu skrętnie uzbierane szczegóły i doznane wrażenia z minionej przeszłości, w dość szerokiem kole społeczeństwa, wśród jakiego rodzinne,

koleżeńskie, towarzyskie i urzędowe stosunki, przy wypadkach krajowych, z niezwykle różnorodnością mię przerzucały.

O ile potrafię wywiązać się z zadania, łaskawemu czytelnikowi w zupełności sąd pozostawiam, gdyż bez najmniejszej pretensyi do literackich zasług, na krytykę drażliwym być nie mogę. A z góry proszę tylko o względnosc dla skryptora, którego w szkołach krajowych ojczystego języka nie uczono, i uwagę, że i z najpośledniejszych kamieni okazałe gmachy się wznoszą.

Może więc i moja licha cegielka, do budowy filaru wspomnień przeszłości dorzucona, choć ziarnkiem piasku na szali prac rodaków zaważyć zdoła.



Faint, illegible text, possibly bleed-through from the reverse side of the page.

SŁÓW KILKA O RODZINIE PRAWDZIC ZALESKICH.

. dziś piszą i siedzą,
A jedni o drugich o miłę nie wiedzą.

Wincenty Pol tak powiada w miłym obrazku z czasów konfederacyi barskiej, pod tytułem »Gawędy przy kominie«. Mnie się jednak widzi, że snadniej do terażniejszości zastosować to można. Siła pary i elektryczności ułatwiła wprawdzie stosunek najodleglejszych krańców ziemi, lecz wyrodzony ztąd materyalny realizm przerywa coraz bardziej nablіższe węzły rodzinne, tak wielce cenione dawniej w narodzie naszym. I łatwo dziś spotkać młodego potomka starego szlacheckiego gniazda, który rodzzonego dziadka po imieniu nazwać nie potrafi.

Nie mając najmniejszego prawa do tradycyjnych rodowych zaszczytów, o próżność pomówionym być nie mogę. Ale z rodzin tworzą

się narody, w naszym zaś kraju, szlachta przez tyle wieków wyłącznie przedstawiała takowy. Był to ustrój wadliwy, i bodaj czy nie przyczynił się głównie do upadku naszego. Lecz sumienny badacz przeszłości, z najmniejszym czynnikiem rachować się obowiązany. Dlatego też uważając, że poniekąd każda jednostka szlacheckiego szczepu naszego o wiele więcej, jak w innych krajach, do historyi należy, sądzę, że szczegóły o jednej nawet rodzinie, przyczyniają się choć w maluczkiej części do pewniejszego światła na ogół i dla prawdy dziejowej obojętnymi być nie mogą. A takie widzenie rzeczy jest jedynym bodźcem do poprzedzenia moich wspomnień niniejszym ustępem.

Nazwisko Zaleskich niezmiernie rozpowszechnione we wszystkich dzielnicach kraju naszego, bo też osad Zalesiów, Zaleśców i Zaleszczyków w nich niemało. Przydomki tylko i herby wyróżniają ich pochodzenie i rody, a że heraldycy naliczyli takowych jedynaście, nie dziwnego, że Henryk hr. Rzewuski, cytując w jednym z utworów swoich wybitniejsze szlacheckie rody na Ukrainie, zliczywszy ryczałtowo wszystkich tam osiadłych tego nazwiska, powiada, że Zalescy to nie rodzina, ale naród.

Rzeczywiście zaś na samej Ukrainie jest co najmniej sześć zupełnie odmiennych domów; są tam Dołęgowie, Saryusze, Lubicze, Chomało, Nałęcz i t. d., a ród Prawdziców Zaleskich w ostatnich dziesiątkach lat wygasł tam zupełnie. Tylko niejednokrotne połączenia Saryuszów z Prawdzicami po kądzieli, dla mniej świadomych, utrudnia odróżnienie jednych od drugich.

Oprócz dawnej szlachty, są jeszcze inni, którzy tego nazwiska używają, lecz nie wiem na jakiej podstawie piszą się zwykle przez *w* t. j. Zalewski. Jest to oczywiście naiwna nieświadomość etymologii wszystkich nazwisk naszych. Gdyż jeżeli z Tarnowa, Zborowa, Głogowa i tem podobnych miejscowości mienia się Tarnowscy, Zborowscy, Głogowscy i t. d., to z Goraja, Melsztyna, Raczyzna lub Zalesia, żadnym sposobem *w* do nazwiska wciśniętem być nie może.

Dawne tradycje rodowe, wywodzą szczerp Prawdziców Zaleskich od Zabrzezińskich; o ile w tem prawdy, mniejsza o to, chociaż wiadomo, iż przed laty rodzeni bracia przyjmowali odmiennie nazwiska od zamieszkałej przez nich własności ziemskiej. Lecz rzeczywiście Prawdzice są wychodźcami w zeszłym dopiero wieku z ziemi Trockiej na Litwie, gdzie Piotr Praw-

dzic Zaleski, syn Zygmunta, w 1557. roku był właścicielem dość znacznej majątności zwanej Wawa. Ta zaś zostawała w ręku jego potomków prawie przez trzy wieki, gdyż jak świadczą dokumenta rodzinne w 1793. roku, dnia 9. Sierpnia w aktach grodzkich kijowskich, oblatowaną była komplanacya, między Janem, pisarzem Ziemi żytomierskiej i Antonim, szambelanem Jego królewskiej Mości, rodzonymi braćmi z jednej, a stryjecznym Mikołajem, chorążym żytomirskim Prawdzic Zaleskim, z drugiej strony — »o majątność dóbr wsiów Wawa z przyległościami, i wszelkie inne w Wielkiem Księstwie Litewskiem, w województwie Trockiem położone, po antecessorach prawem następstwa na nich spadłe«.

Lecz ojciec już, pomienionych w tej komplanacyi, Jana i Antoniego — Jacek, łowczy smoleński, ożeniony 1713. roku z Heleną Spendowską, opuścił rodzinne strony i przemieszkiwał w drugiej połowie zeszłego wieku na Wołyniu, w dziedzicznym majątku Hołodki, w okolicach Krzemieńca, potem w Lewkowcach, koło miasteczka Kupiela, a następnie, zapewne po przerwanych ostatnich napadach kozackich, nabył obszerne dobra na Podolu i Ukrainie.

Jacek, prócz dwóch wymienionych synów, miał jedyną córkę Dominikę, która wyszła za Franciszka Saryusz Zaleskiego, podkomorzego powiatu skwirskiego, i stała się pierwszym łącznikiem tych dwóch odrębnych rodów jednego nazwiska. Odtąd w ciągu lat stu połączenia małżeńskie między temi rodzinami ośm razy w różnych stopniach pokrewieństwa się powtórzyły.

Starszy syn Jacka, Jan, pisarz ziemski żytomierski, potem deputat na Trybunał koronny Lubelski od województwa Kijowskiego, a wkońcu marszałek powiatu piatyhorskiego, ożeniony z Wiktoryą Łacką, odziedziczył po ojcu majątki ukraińskie Krzywce, Bohaterkę¹⁾, Denhofówkę etc., w powiecie skwirskim. Miał jednego syna Wiktora i córek dwie: Pelagię za Walentym Rościszewskim, marszałkiem powiatu kijowskiego, i Dominikę za baronem Karolem Taube.

Drugi syn Jacka, Antoni, szambelan króla Stanisława, potem marszałek powiatu proskurowskiego²⁾, otrzymał z działu po zgonie ojca majątki podolskie, wsie: Juchimowce, Bahłaje

¹⁾ Miejsce urodzenia Bohdana Zaleskiego. Przyp. wyd.

²⁾ Właściwie płoskirowskiego. Przyp. wyd.

i Wolicę, a na Wołyniu Semiduby z przyległościami, później sam dokupił Wodyczki i Klimkowce, także na Podolu, w powiecie proskurowskim. Pierwszą żoną Antoniego była Salomea Szaszkiewiczówna, z niej syn Jakób i córka Magdalena. Z drugiego zaś małżeństwa z hr. Anną Komorowską — syn Wilhelm i córka Antonina. Pan Antoni zmarł w 1819. r.

Jakób, starszy syn Antoniego, nauki pobierał w Krzemieńcu, a potem służył wojskowo w gwardyi W. Ks. Konstantego, w pułku strzelców konnych. Odziedziczył on po ojcu Juchimowce, Bahłaje i Semiduby z przyległościami. W roku 1820., zawarł śluby małżeńskie z Magdaleną hr. Komorowską, córką Erazma, generała b. wojsk polskich, osiadłego w Galicyi, a siostrzenicą macochy swojej.

W pierwszych latach przemieszkiwał w Juchimowcach na Podolu, lecz w 1826. roku powołany na urząd marszałka szlachty dubieńskiej, przeniósł się na Wołyń, i odtąd z małemi przerwami, stałą rezydencją miał w Semidubach, lub przesiadywał w Dubnie, gdyż trzema nawrotami wybierany na marszałka, piastował tę godność ogółem lat 9.

Potomstwo Jakóba i Magdaleny Zaleskich w porządku następującym: Adela ur. 1821. r. wyszła za mąż 1823. r. za Jerzego Jodkę; Magdalena ur. 1823. r. była za Tadeuszem Zielniewskim, zmarła 1890 r.; Aleksander ur. 1825 r., ożeniony z Martyną Grabianczanką; Marcin, ur. 1826. r., miał za żonę p. v. Zuzannę Krokowską, którą straciwszy po roku pożycia, we cztery lata po owdowieniu, zaślubił Jadwigę z Łodziów Iwanowskich; i Anna za Albertem Skrzyneckim.

Rodzona siostra Jakóba, Magdalena, straciwszy matkę w dzieciennym wieku, była wychowaną przez macochę. Ta mając własne potomstwo, mniej oczywiście zwracała uwagę na pasierbicę, i panna 17-letnia bardzo pięknej urody, przemieszkiwała pod opieką mało co starszej guwernantki francuski, w oddalonych oficynach, ówczesnej rezydencji mojego dziada w Wodyczkach. Nieszczęście chciało, że w bliskim miasteczku Czarnym Ostrowie, Przeddzieckich, kwaterował pułk piechoty rosyjskiej, którego dowódcą był dość jeszcze młody i przystojny generał Łoszakow. Widując piękną pannę w parafialnym kościele, rozkochał się szalenie. A że wiedział dobrze, iż dla samej różnicy religii, oficjalnie

staranie o jej rękę dozwolonemby mu nie było, przekupił francuzicę, i ta niecnota potrafiła namówić swoją wychowanicę, że bez wiedzy ojca i macochy najprzód w miejscowej cerkwi, a potem w kościele czarnoostrowskim dozgonny węzeł z generałem zawarła.

Srodze zagniewany ojciec do śmierci córki widzieć już nie chciał, lecz na jej potrzeby co roku 10000 złp. posyłał; a na owe czasy była to suma dosyć znaczna.

Chociaż generał Łoszakow był człowiekiem dobrym i najlepszym mężem dla ukochanej żony być się okazał, wkrótce jednak, niebłogosławieństwo ojca srodze zaciężyło nad nimi. Przy wyruszeniu wojsk na pomoc Austrii w 1805. r., niedozwolonem było żonom, najwyższych nawet oficerów armii, towarzyszyć mężom za granicę kraju. Młode małżeństwo takiej konieczności rozłączenia poddać się nie umiało i pani generałowa, przebrana po mężku, w karecie małżonka granicę przejechała. Niestety chciało, iż w dalszej drodze, dostała bardzo silnego tyfusu. Wigilią bitwy pod Austerlitz, gdy cesarz Aleksander szyki bojowe miał lustrować, stroskany generał Łoszakow, otrzymawszy uwiadomienie doktora, iż żona jego konająca, zdał

dowództwo brygady pułkownikowi i w rozpaczę do umierającej pospieszył. Na biedę nieobecność generała przed frontem zwróciła uwagę cesarza a zapytany pułkownik, ze strachu, czy złej woli, rzeczywisty powód wyjawiał.

Rozgniewany cesarz zanotował to własnoręcznie w pułaresie, a choć żona nie umarła, i generał na drugi dzień cudów waleczności ze swoją brygadą dokazywał, po krwawej bitwie, która jak wiadomo tak niepomyślnie dla sprzymierzonych wypadła, oddany pod sąd wojenny, zdegradowany został na prostego żołnierza do garnizonu fortecy kijowskiej. Lat kilka wszelkie zabiegi i starania do łaski monarszej próżnemi były. Wkońcu, żona udała się osobiście do Petersburga i przez różne protekcyje ułatwiono jej podanie prośby cesarzowi, w chwili, gdy wysiadał z sanek po odbytym spacerze, wieziony przez faworyta Iwaszkę, który wtajemniczony i ujęty, dał umówiony znak, że car w dobrym humorze. Odczytawszy prośbę, na klęczkach podaną, wyrzekł tylko: »Madame la guerre a ses droits«, petycję jednak zachował i wkrótce, z najwyższego rozkazu, przeniesiono szeregowca Łoszakowa, do działającej armii w Turcyi w 1811. r., z prawem dosługiwania się w boju. Jakoż w prze-

ciągu tej kampanii, przeszedłszy na nowo wszystkie stopnie, doszedł do rangi pułkownika i otrzymał dymisyę z powróconą godnością generała. Odtąd osiedli oni w Kijowie i ciotka moja skończyła tam życie w 1823. a generał w 1840 r.

Żadnego potomstwa po nich dzięki Bogu nie pozostało; musiała to jednak być osoba wielkich przymiotów, gdyż rodzice moi niezmiernie ją kochali, a dobry generał, który na mocy dożywocia korzystał jeszcze lat 17 z dochodów posagu żony, każdego roku przesyłał nam, dzieciom szwagra swego, na zabawki, jak się zwykle wyrażał, 1000 złp.

Z drugiego małżeństwa mojego dziada Antoniego z Anną Komorowską, syn Wilhelm, ożeniony 1830. roku z Dominiką Zgliczyńską, córką generała byłych wojsk polskich z czasów Księstwa Warszawskiego, i córka Antonina zaślubiona Wiktorowi Skibniewskiemu, owemu znakomitemu agronomowi Podola, co pracą około złotodajnej roli i zapobiegliwością, rozpoczynwszy gospodarstwo na jednej dziedzicznej włości Wołkowcach, w powiecie proskurowskim, przy posagowym kapitale żony w sumie 200000 złp. w przeciągu lat 30 tak kolosalnie fortunę pomnożył, że każdy z jego pięciu synów i córka

po kilka pięknych i wzorowo zagospodarowanych wsi w dziale otrzymali.

Nie darmo więc wdzięczna gleba tej uroczej dzielnicy kraju przez wieszczów naszych opiewana!

PAMIĄTKI Z ŻYCIA.

I. Wspomnienia dzieciństwa.

Przybyłem na świat boży 11. Listopada 1826. roku, na Wołyniu, w powiecie dubieńskim, wsi Semidubach, dziedzicznym majątku mego ojca Jakóba, który wówczas piastował zaszczytny, lecz materyalnie bardzo nieponętny urząd, marszałka rzezonego powiatu. Czwartemu już z rodzeństwa nie wyszukiwano imienia mniej zwykłego i dano na chrzcie takie, jakie sam sobie przyniosłem.

Kiedy miałem zaledwie lat 4, wypadki krajowe 1830. r. przeniosły rodziców z dziećmi do Galicyi, gdzie zamieszkali u ojca mojej matki, Erazma hr. Komorowskiego, generała b. wojsk polskich. Przyjazd do Łuczyc, pięknej rezydencyi dziadka, w cyrkule żółkiewskim, przypominam sobie jak przez sen. Granica tak mało wówczas

strzeżoną była, że najczęściej przebywano takową bez paszportu, zamiast więc zwrócenia drogi na Druszkopol, gdzie była komora, udaliśmy się wprost na Horochów Tarnowskich i Chołoniów Chołoniewskich, ku Łuczycom. Jak przez sen, pamiętam piękne dwory tych dwóch miejscowości. W Horochowie Tarnowskich wtedy nie było, tylko krewna ich staruszka pani Scypionowa. W Chołoniowie zaś pani Chołoniewska, wdowa, matka Adama, z córkami gościnnie nas przyjmowała. Syn hr. Chołoniewskiej, Adam, którego dużo później poznałem, był osobistością niezwykłą w swoim rodzaju. Niezmiernie wykształcony, rozumny, miły w obejściu, przytem niesłychanie porządny i rachunkowy w drobnostkach, jednak w przeciągu lat dwudziestu kolosalny majątek swój na Wołyniu i w Galicyi stracił zupełnie. Chołoniów jest dziś własnością Marcelego Krasickiego, łopatyński zaś klucz pana Adama nabył przed kilkunasty laty Kazimierz Młodecki, lecz i ten poszedł tropem dawniejszego dziedzica i obecnie żydzi podobno tam gospodarują.

Ale wracam do Łuczyc. Grunta tego majątku przylegają do samej granicy włodzimierskiego powiatu na Wołyniu. Przybywszy do nadgra-



nicznego lasu przed wieczorem, zostawiliśmy tam powozy, które w nocy dopiero bezpiecznie przejechać mogły, a sami pieszo pociągnęliśmy całą gromadką, znanymi manowcami ku rezydencji dziadka. Przebycie wielkiej fosy okalającej ogród najwięcej trudności przedstawiało, ale zwalczywszy tę przeszkodę, niemałą sprawiliśmy niespodziankę dziadkowi i jego drugiej żonie, gdy liczna gromadka nasza znużona i zziębnięta, u parapetów pałacowych od ogrodu o gościnność zakochała.

Przebywanie granicy komicznych nieraz epizodów wówczas dostarczało. Mój wuj, Ignacy Komorowski, sławny kawalerzysta swojego czasu, chcąc odwiedzić sąsiadów łuczyckich na Wołyniu, dosiadywał doświadczonej rącości konia i na psotę żandarmom w biały dzień obok ich posterunków przelatywał. Raz, gdy powracał z takiej wycieczki, czatujący na niego żandarm puszcza się z krzykiem i pogrózkami w pogoń, wuj umyka, żandarm za nim, i tak w szalonym pędzie wlecieli aż na dziedziniec dworu łuczyckiego. Służba wybiegła ze stajni, żandarma obskoczyła i przytrzymała. Ale pokazało się, że on niewiele był temu winien, gdyż koń go uniósł, a krzyki jego nie były pogrózkami, tylko

blaganiem, aby wuj się zatrzymał, żeby on swego rozhukanego rumaka umitygować potrafił. Skończyło się na uraczeniu żandarma, po którym przyrzekł najsolenniejsz, nie widzieć nigdy przejeżdżającego wuja i pospieszył co prędzej do opuszczonego posterunku, z niemałym strachem, aby nieobecność jego przez oficera dostrzeżoną nie została.

Rezydencya dziadka mojego była bardzo ozdobną i pięknie zbudowaną. Dom, który nazywano pałacem, obszerny z wyniosłą kolumnadą i złocistym herbem¹⁾ na frontonie. Sień duża, z chórem do koła, a w głębi kaplica zakryta wielką zwierściadlaną szafą, pokoje nie małe i wysokie, umeblowanie na owe czasy wytworne. Najpiękniejszą zaś ozdobą domu były śliczne staroświeckie szafy biblioteczne, pysznie ozdobione bronzami, które cały pokój zajmowały. Dotąd przechowują się one u ciotecznej siostry mojej, baronowej Zofii Czechowiczowej, w Glinie, pod Zborowem, a musi to być okaz niepośledni, kiedy Rotszyld z Wiednia umyślnie na oględziny tych szaf tam zjeżdżał i ofiarowywał za nie 10.000 zł. w. a. Obok domu lu-

¹⁾ Ciołek. Przyp. wyd.

czyckiego były piętrowe oficyny, dalej kuchnie i pomieszkania licznej dworni. Stajnie, wozownie, masztarnie etc. w wielkim murowanym kwadracie. Ogród duży i utrzymany starannie, w nim oranżerye, trephauzy, ananasarnie i inspekta rozmiarów niemałych. Dziedziniec duży z bramą wjazdową, przy której dwie murowane turelle vulgo kozy ku postrachowi pijaków gminy. Staw z ładną kępą, na której kamienna figura św. Jana, za groblą gorzelnia, browar, magazyny, wiatrak holenderski o 6ciu piętrach, dalej liczne budynki gospodarskie i tok, a wszystko murowane i we wzorowym porządku, jaki zwykle u nas ekswojskowych gospodarzy cechuje, utrzymane najstaranniej.

Dziad mój, Erazm Komorowski, ożeniony był powtórnie z Zofią hr. Dulską, miał z niej jednego syna Władzia, lecz ten w dzieciennym jeszcze wieku, w rok po powtórnem przybyciu naszym do Łuczye, zmarł na szkarlatynę. Pierwszą zaś żoną dziadka była Anna baronówna Horoch, a miała to być pani wielkich przymiotów i dystynkcyi. Z niej syn Ignacy i córek dwie: Magdalena, która była moją matką i Franciszka. Towarzystwo więc łuczyckie w 1830. r. składało się z całej wymienionej tu rodziny i kilku rezy-

dentów, vel przyjaciół domu, między którymi ociemniały Jakubowicz, były nauczyciel wuja Ignacego, pierwsze miejsce zajmował.

Liczne i miłe sąsiedztwo bardzo często gościnny dom dziada mego nawiedzało, i o ile zapamiętam, zawsze w Łuczycach ludnie i wesoło w owych czasach bywało. Chołoniewscy z Łopatyna, Łonczyńscy ze Stojanowa, Dzeduszyccy z Poturzycy, Rosnowscy z Tartakowa, Polanowscy z Moszkowa, Rulikowscy z Uhrynowa i Switarzowa, Ruszczyce, Chamcy, Babeccy, Obertyńscy i wiele innych; oto nazwiska częstych gości w Łuczycach, jakie w pamięci mej przechowałem.

Wkrótce jednak po przybyciu tam naszym, powstanie w Warszawie, odbijając się echem złudnych nadziei po wszystkich dzielnicach nieszczęsnej ziemi naszej, gorączkowy ruch i w domu dziadka mego wywołało. Codziennie prawie nowi jacyś przybysze z dalekich stron coraz liczniej pojawiali się i niedługo goszcząc, odjeżdżali. Bieliznę i chorągiewki biało-amarantowe krajano i szyto w całym domu. Matce mojej składano zewsząd różne kosztowności, nawet srebro stołowe i obrączki ślubne i zaraz

takowe gdzieś dalej wysyłano. My dzieci zamiast zabawy, szarpie skubałyśmy na wyścigi.

Wuj Ignacy, wybrawszy najlepsze wierzchowe konie w stajni, ze strzelcem swoim Hieronimem wyjechał niby na polowanie, a matka i ciotka żegnając go zalewały się łzami. Długo też, bardzo długo żadnej wieści o nim nie było.

Tak w ciągłym niepokoju, zwiększonym jeszcze cholera, która dość silnie w całym kraju grasowała, sroga i bardzo śnieżna zima minęła bez żadnej zmiany. Z nadejściem pierwszych dni wiosny nagle rozeszła się wieść, że generał Dwernicki, tylu świetnymi czynami na polu bitwy już wsławiony, ma przechodzić z bohaterskim oddziałem swoim po nad samą granicą, obok Łuczyc, dla wkroczenia na Wołyń. Jakoż pewnego poranku wszystko, co żyło w domu, zabrawszy w powozy i bryczki przygotowane już zapasy różnych wiktuałów, wyruszyło z największym pospiechem i radością na spotkanie przeciągających walecznych szeregów, obok sąsiedniego Milatyna, na wołyńskiej już ziemi. My tylko drobniejsze dzieci, zostawszy z wielkim żalem pod opieką piastunki, poczciwej Łozińskiej, uprosiłyśmy ją, że nas na galeryę młyna wyprowadziła, zkąd, choć w oddaleniu, mogłyśmy

dojrzeć błyszczące od słońca pałasze i migające przy lancach chorągiewki. Wieczorem dopiero starsze siostry, które matka z sobą zabrała, pokazując nam różne upominki, w orzełkach srebrnych, wstążeczkach orderowych i pendentach od pałaszy, jakimi nasi wojacy je obdarzyli, opowiadały nam w zachwycie, jak dzielnych i pięknych obrońców ojczyzny tam widziały. W zbyt małej niestety, lecz bohaterskiej garstce tych wojowników, oprócz osiwiąłego w bojach wodza, który łaskawie rozmawiał z niemi, poznały tam siostry kilku krewnych i sąsiadów rodziców z Wołynia. Ignacy Cyryna, urodzony z Zaleskiej, Anastazy Dunin, Edward Potrykowski, Miaskowski, Radwański, sławny artylerzysta, Lipski i tylu innych, którzy po zwycięskich laurach nad w trójnasób liczniejszym wrogiem, pod Poryckiem i Boremlem, otoczeni przemagającą siłą całego korpusu Rittigera, pod dziedziczną wioską wspomnianego wyżej Edwarda Potrykowskiego, w powiecie krzemienieckim, do Galicyi wkroczyć i tyle razy wyszczerbioną broń na karkach ciemieńców ze łąz w oku a rozpaczą w sercu złożyć byli zmuszeni.

Wskutek tak niepomysłnego zwrotu wyprawy zacnego generała Dwernickiego na Wołyń,

wielu mniej więcej skompromitowanych obywateli tej prowincyi wobec rządu, pragnąc uniknąć rozpoczętego prześladowania, schroniło się też z całemi rodzinami do Galicyi. Lwów był przepełniony wychodźcami, a nie było prawie domu obywatelskiego w cyrkułach nadgranicznych, gdzieby nieszczęśni tułacze, choć czasowo, bratniego przytułku nie doznawali. W Łuczycach i sąsiednich folwarkach dziada mojego nie tylko wszelkie pomieszkania dworskie, lecz i wiele włościańskich, przepełnionemi zostały. Pani Ludwikowa Stecka, z domu Ponińska, bawiąc w domu dziadka miesięcy kilka, powiła córeczkę i wkrótce tamże stratę jej opłakała. Pani Bejzymowa, siostra pułkownika Mikołaja Kamińskiego, z trzema córkami i dwoma synami w Leszczotowie, folwarku klucza łuczyckiego, cały rok prawie przemieszkała. Jenerał Krupiński z córką, rodziny Wieczwińskich, Lisieckich, Wiszniewskich i wiele innych, równie długi czas składały kolonię emigrantów w Łuczycach.

Staruszek Lisiecki, eksprofesor liceum krzemienieckiego, wywdzięczając się za doznaną gościnność, codziennie godzin kilka na elementarne nauki nam dzieciom poświęcał. Wprawdzie przy tych lekcjach bywało więcej figlów i pu-

stoty, jak nauki, gdyż starzec, zupełnie prawie ociemniały i niezmiernie dla dzieci pobłażliwy, nie dostrzegał lub udawał, że nie widzi, różnych psot i swawoli, jakich dopuszczaliśmy się w czasie jego lekcyi, które bardziej ku zabawie, jak nauce nam służyły. Ale kochaliśmy go za to, tem więcej, że ówczesna guwernantka sióstr, panna W., niezmiernie sroga i popędliwa, rażącą różnicę z poczciwością Lisieckiego nam przedstawiała. Michał Wiszniewski, późniejszy profesor literatury polskiej, na wszechnicy krakowskiej, był zięciem tego pierwszego mentora naszego.

Przy wspomnieniu figlów dziecinnych, muszę tu przytoczyć fatalny wypadek brata mego Aleksandra, moją niestety nierozwagą wywołany. Między wielu innymi zabawkami, któremi dziadek nas obdarzał, mieliśmy dość dużego konika drewnianego na biegunach w całym rynsztunku wierzchowca. Czyszczenie i przystrajanie wierzchowca było najulubieńszą zabawą moją. Jednego dnia tak energicznie do tej pracy się zabrałem, że oderwany ogon konika został mi w rękę. Radząc tej biedzie, zdobyłem gdzieś dużego gwoźdźca, i o ile pięcioletnich sił przy pomocy odłamka cegły, zamiast młotka, wystarczyło, umocowałem ogon we właściwem miejscu, po-

krywając włosieniem znaczną część wystającego gwoździa. Nieszczęście chciało, że brat, dosiadłszy bieguna z pałaszykiem w rękę i rogatywką krakusa na uchu, tak silnie na wroga w wyobraźni nacierał, że zbyt rozhojdany wierzchowiec spał się dębem na biegunach, mały wojak straciwszy równowagę spadł na wznak, a porywając się z ziemi, tak silnie zaczepił twarzą o sterczący gwóźdź w ogonie, że na wylot przebił sobie dziurę w policzku.

Po takiej katastrofie, która bratu na całe życie bardzo widoczną bliznę zostawiła, koń z polecenia matki poszedł na strych, a niedorośli wojownicy na piechotę skazani zostali. Lecz gromadkę dziatwy, przy najpilniejszym nawet dozorze, od różnorodnych wypadków ustrzedz trudno. Wkrótce potem, polewając kwiatki w ogrodach naszych, przechyliłem się zbyt mocno dla naczepiania wody w wielkiej kadzi, u ścieku rynien pałacowych, i wpadłszy głową na dół, z pewnością byłbym utonął, gdyby starsza siostra, dojrawszy z daleka zniknięcie moje w kadzi, szalonym pędem na ratunek mój nie pośpieszyła, i omdlałego już, z wielką biedą za nogi nie wyciągnęła.

Od ojca, który zostawał przez całą zimę na Wołyniu lub Podolu, wiadomości dochodziły bardzo rzadko i matka niepokoila się już niezmiernie, gdyż słuchy o licznych aresztowaniach coraz częściej dolatywały, kiedy jednego poranku Łozińska pobudziła nas wcześniej jak zwykle, mówiąc, że wielka niespodzianka nas czeka, ubrała wszystkie co prędzej w odświętne sukienki i wyprowadziwszy do ogrodu, ukazała matkę przechadzającą się u ramienia dorodnego mężczyzny, w którym, za zbliżeniem dopiero, poznaliśmy z największą radością ukochanego ojca.

Jednocześnie przybyło też do Łuczyc kilku młodych krewnych i dobrych znajomych rodziców z Podola. Ludwik i Konstanty Bratkowscy, Józef Cieszkowski, Jan Iwanowski i inni, których nazwisk nie przypominam sobie. Wszyscy ci panowie, mając zamiar dostać się przez Galicyę na plac boju, wyczekiwali stosownej pory, a ojciec, jako exwojskowy, gdyż w młodocianym wieku kilka lat przesłużył w szkole podchorążych gwardyi W. Ks. Konstantego w Warszawie, codziennie konno i pieszo ćwiczył tę młodzież w sztuce żołnierskiej. My z bratem, przypatrując się temu z wielkiem zajęciem, staraliśmy się potem ich naśladować i żałowaliśmy niezmiernie,

iż wiek dziecinny pozbawiał nas szczęścia, walczenia przy boku ojca z wrogiem ojczyzny.

Ale niestety, czara nieszczęść naszych przepełniła się raz jeszcze. Bolesna wieść o wzięciu stolicy rozległa się gromem żalości i zwątpienia po kraju całym. Znikły świetne nadzieje i ułudy, a rozpacz, łzy i żałoba, stały się złowrogiem następstwem bohaterskiej, lecz zbyt nierównej na siłach walki.

Któż nie zna srogich następstw? Kto nie zna rzewnych trenów, jakimi wieszcz nasz¹⁾ ten nowy upadek nieszczęsnej ojczyzny potomności przekazał?

Pod Brodnicą jak woda,
Stoi wojsko na błoni;
Szkoda Polsko, oj szkoda,
Takiej dziatwy i broni!
 Jak ją ludzie zobaczą,
 To w Poznańskiem zapłaczą;
 Będzie klątwy i żalu
 Tam na ciebie Moskalu.
Nad granicą tuż droga,
Bieży młoda kobieta,
Zapłakana nieboga
I ułana zapyta:

¹⁾ W. Pol. Przyp. wyd.

- »A cóżeście to panowie
- »Najlepszego zrobili?
- »A cóż Bóg na to powie
- »Żeście Polskę rzucili?«

Ale ułan nie słucha,
Krew zapiekła się w oku,
A źrenica tak sucha,
Jak broń jego przy boku.

Cisnął kaszkiet pod nogi,
Wicher rozwiął włos siwy:
»Bądź zdrów koniu pocziwy,
»Tu się dzielą już drogi.

- »Nie dostaliśmy kroku,
- »Źle też płacą'nam obu;
- »Dla cię niema obroku,
- »Dla mnie niema i grobu!
- »Odkąd słońce nie świeci,
- «Kraj raz trzeci upada,
- »I ta ręka po raz trzeci
- »Oszczerbioną broń składa!«

I zapłakał na boje,
I o lancę tłukł głowę;
Chorągiewkę rozdarł w dwoje,
I łzy obtarł połową.

W drogę wzięwszy garść ziemi,
Razem z krzyżem zawinął,
I w świat ruszył z młodszymi,
I jak wszyscy gdzieś zginął...

Po krwawych bojach, które nie tyle prze-
magająca siła, jak brak wiary i błędy wodzów
o zgubne następstwa przyprawiły, stokroć sroższa

niedola dotknęła znowu kraj nieszczęśliwy. Wybrańcy poświęcenia popędzeni byli na zaludnienie stepów i puszczy Sybiru lub gnili w podziemnych kazamatach rozwścieklonego satrapy. Szczęśliwszym, którzy uszli przed niewolą, nędzny żywot tułaczy po obcych krajach jako jedyny środek ocalenia wybrać przychodziło. A najmniej skompromitowani w oczach wroga pospieszali co rychlej do zagród swoich, by korzystając ze znanej przedajności nasłanych siepaczów, ocalić osobistą swobodę i okruchy pozostałego jeszcze mienia. Ojciec i większa część przebywających w Łuczycach, jako nie biorący jawnego i zbrojnego udziału w powstaniu, udali się także niezwłocznie z powrotem w rodzinne strony. W gościnnych zaś progach dziadka, pozostało tylko kilku wołyniaków, z tej liczby emigracyi, którzy poddali się opiece rządu austriackiego. Między tymi Marcin Rusińkiewicz, były nauczyciel rysunku w liceum krzemienickim, cały rok jeszcze w Łuczycach dosiadywał, i kilka prac jego, a mianowicie pięknych widoków tej miejscowości, dotąd w rodzinie naszej się przechowuje. Wkońcu jednak rząd austriacki, spełniając dzikie domaganie się z Petersburga, ściągnął wszystkich tych biedaków do Tryjestu,

a ztamtąd pomimo oporu i protestacyi, bez żadnych prawie zasiłków, na starych okrętach, wysłał kilkanaście tysięcy ofiarników gorącej miłości ojczyzny do Ameryki.

Po bardzo długiej i obfitej w dramatyczne przejścia podróży, w jakiej znaczna część wysłanych wyginęła, Marcin Rusińkiewicz dostał się szczęśliwie na miejsce i w pierwszych latach pisywał do rodziców moich z Nowego Yorku i Filadelfii, przysłał nawet w jednym liście malutki widoczek dzikiej miejscowości z okolic tego ostatniego miasta. Ale od 1837. r., korespondencye jego się przerwały i zapewne sprawdziło się na nim przedwcześnie orzeczenie wieszczka, że:

. . . w świat ruszył z młodszymi,
I jak wszyscy gdzieś zginął! . . .

Powrót wuja Ignacego Komorowskiego, który odbył całą kampanię jako adjutant generała Umińskiego i uszedł szczęśliwie przed szponami wroga, ożywił nieco osmutniały dom dziadka. Po całodziennych zajęciach, wieczorem zwykle dziadek zasiadał na wolterowskim fotelu w salonie, podawano mu fajkę na sążnistej antypce, z wielkim bursztynem, wszyscy domownicy dokoła go obsiadali, a wuj, który przy

wesołem usposobieniu, miał wielki dar opowiadania, udzielał zebranemu towarzystwu, ciekawych i niezmiernie zajmujących szczegółów, epizodów i własnych przeżyć ze świeżo odbytej, a tak nieszczęśliwie skończonej kampanii. Nie tylko starsi, ale i dzieci przysłuchiwaliśmy się z taką uwagą i przejęciem kilkogodzinnym zwykle naracyom jego, które dla rozweselenia towarzystwa, w najsmutniejszych zdarzeniach, wuj humorystką zabarwiać umiał, że kiedy godzina wcześniejszego spoczynku dla dzieci wybijała, wypraszaaliśmy się u matki, aby nam choć kwadransik dłużej pozostać było wolno. Dziadek dopiero stanowczo wnuki do spania zapędzał, a dobry wuj przyrzekał nam, że nazajutrz coś ciekawszego jeszcze opowiadać będzie.

Wkrótce jednak spokojny i miły tryb patryarchalnego życia w Łuczycach znowu smutnie przerwany został. Strata jedyne go synka dziadka, z drugiego małżeństwa, sześciolatniego Władzia, który pomimo starań i ratunku zmarł na szkarlatynę, tak bolesną była dla niepokieszonej matki, że zmiana miejsca, które jej na każdym kroku nieodżałowanego jedynaka przypominała, okazała się konieczną. Zdawszy więc administrację swojego majątku na syna, dzia-

dek z żoną przeniósł się na pomieszkanie do Bybła, pięknej wsi, jaką małżonka jego posiadała w okolicach Przemyśla. Matka nasza z siostrą swoją Franciszką wyjechała na dłuższy czas do Rosyi dla połączenia się z ojcem, a my dzieci pod opieką wuja i zacnej staruszki, przyjaciółki domu, pani Czyżowej, zostaliśmy na miejscu.

Interesa majątkowe rodziców wskutek urzędowania ojca i nieszczęsnych wypadków w kraju tak się pokrzyżowały, iż najpiękniejsze dwie wsie na Podolu Juchimowce i Bahłaje musiały być sprzedane. Na chwilę zabłysła była jeszcze nadzieja utrzymania całego mienia, gdy stryjeczny brat ojca Wiktor Zaleski, marszałek piatyhorskiego powiatu na Ukrainie, bardzo majątny a mający jedną tylko córkę, czując się w długi wdzięczności dla dziada naszego a stryja swojego Antoniego, który po wczesnie zmarłym ojcu Wiktora przez długie lata był opiekunem jego i przysporzył mu znaczne kapitały, z całą szlachetnością i prawdziwie rodzinnem sercem postanowił przyjść w pomoc ojcu naszemu. Dwa razy sztafetą wzywał on usilnie ojca na kontrakty do Kijowa. Zaklinał, żeby majątków nie sprzedawał, i dozwolił mu z wierzycielami ojca

wedle własnego uznania ułożyć się i załatwić. »Mam jedną tylko córkę« pisał zacny ten krewny, »na dostatkach zbywać jej nie będzie; tobie Bóg dał pięcioro dzieci, nie masz więc prawa odmówić braterskiej pomocy od tego, który znaczną część swego mienia ś. p. ojcu twojemu zawdzięcza. Proszę cię tedy najusilniej, przyjeżdżaj na kontrakty i wezwij tam wszystkich wierzycieli swoich«.

W tak szczęśliwym i niespodziewanym zwrocie materyalnych kłopotów swoich, parę tygodni przed terminem kontraktowym, wybrał się ojciec na Ukrainę do Krzywca, rezydencyi pana Wiktora, by przedewszystkiem wyrazić mu osobiście całą wdzięczność swoją za tak niezwykły objaw braterskiego serca i niepomiernej hojności, z jaką on w pomoc przyjsć zadeklarował. Fatalność jednak inaczej mieć chciała.

Dwa dni przed przybyciem ojca do Krzywca pan Wiktor, rażony apopleksją, przeniósł się do wieczności i leżał na katafalku, a wdowa po nim nie czuła się w obowiązku spełnienia zamiarów swojego zmarłego męża, które, jak mówiła, były jej zupełnie niewiadome. I wkrótce pocieszyła się po stracie najlepszego męża, wy-

chodząc za rządcę dóbr jego, młodego i urodziwego Ramma.

Ojciec tedy z największym smutkiem i żalem oddawszy ostatnią chrześcijańską posługę zmarłemu stryjcznemu bratu, pośpieszył na kontrakty do Kijowa, gdzie zapewnieni wierzyciele, iż wszelkie rozrachunki z nimi załatwione zostaną, tem bardziej natarczywymi się okazali. Skończyło się na tem, że Juchimowce przeszły na własność majora wojsk rosyjskich Wincen- tego Chylińskiego, Bałłaje nabył stryj Wilhelm, a Semiduby z przyległościami wydzierżawione zostały na lat sześć, po bardzo niskiej cenie, dla pokrycia reszty pozostałej jeszcze należności kredytorom.

Przy tak niepomysłnych warunkach bytu Łuczyce stały się jedynem schronieniem dla rodziców z całą rodziną, a kiedy wuj Ignacy, w 1833. roku ożeniwszy się z wdową po Po- dlewskim, Błońską z domu, potrzebował ob- szerniejszego pomieszkania, przenieśliśmy się z pałacu do piętrowej oficyny i tam rodzice wygodnie osobny dom prowadzili.

W następnym roku ciotka Franciszka wy- szła też za mąż za spokrewnionego po ką- dzieli, lecz innego herbu, Michała hr. Korczak

Komorowskiego. Ślub odbył się w Łuczycach, a dziadek na ten akt zjechawszy, po odbytych godach, podzielił całe mienie swoje między dzieci w sposób następujący: Łuczycę z przylégłościami dostały się synowi, wieś Szarpańce z dopłatą od wuja przeznaczył dla córki Franciszki, a wieś Leszczotów także z dopłatą 3000 dukatów stała się własnością mojej matki. Ponieważ w tym majątku, o pół mili tylko od Łuczyc położonym, domu mieszkalnego nie było, dobry wuj uprosił rodziców, aby nadal w miejscu pozostali. Ojciec zajął się energicznie nowem gospodarstwem i przysposabiał powoli materyały na dom mieszkalny w Leszczotowie. Na nieszczęście, silnie nadwątlone zdrowie matki i interesa pozostałego majątku ojca na Wołyniu nie dozwoliły rodzicom długo na miejscu pozostać. Co rok prawie matka zmuszoną była szukać ratunku u wód lub u sławniejszych doktorów w kraju i za granicą, a ojciec, zwykle zaraz po świętach Bożego Narodzenia, wyjeżdżał na kontrakty dubieńskie i kijowskie i zaledwie w marcu lub kwietniu witaliśmy go z powrotem.

Tak upłynęło bez żadnej prawie zmiany całych lat trzy. Guwernantki dla sióstr, a zdolny pedagog Rachowicz dla nas chłopców, pod opieką

matki, którą z powodu częstych wyjazdów dla zdrowia zastępowała zawsze poczciwa pani Czyżowa, pracowali nad wykształceniem naszym szczerze i sumiennie. Przeszliśmy z bratem trzy klasy normalne wedle programów miejscowych szkół austrijackich, zdając corocznie egzamina przed dyrektorem szkoły rządowej i światłym proboszczem z blizkiego miasteczka Tartakowa. A usilność nasza w naukach była tem większą, że dziadek, który zwykle w lecie w odwiedziny do Łuczyc przyjeżdżał, kazał świadectwa otrzymane sobie przedstawiać i każde bardzo dobre zdanie dukatem w złocie malcom do ręki wynagradzał. Oczywiście uzyskane tak kwoty szły na nowe sukienki i buciki studentów, wielkiego jednak dodawało to bodźca, żeśmy takowe niby własną pracą zdobyć potrafili.

Dla dalszego kształcenia dzieci rodzice mieli zamiar osiedlić się na czas dłuższy w Krakowie, ale nowy grom wszelkie ich plany jednej chwili zniweczył i znowu nieobrachowane straty materialne ich dotknęły. Na wiosnę 1836. roku ojciec, powróciwszy z Rosyi daleko później niż zwykle, przywiózł smutną wiadomość zapadłego ukazu cara, aby pod karą konfiskaty majątku młode pokolenie poddanych mu obywateli by-

łych prowincyi polskich, nie pobierało nauki za granicą lecz w kraju własnym. Wskutek tego ojciec z największą trudnością zdołał uzyskać sobie paszport tylko na trzy miesiące, z nieodwołalnym zaleceniem kijowskiego generał-gubernatora Gurjewa, aby w terminie oznaczonym z całą rodziną powracał na Wołyń nieodmiennie. Nie mówiąc już o wielkiej przykrości z tej nagłej zmiany wszelkich projektów i przymusowego przesiedlenia, łatwo ocenić koszta i straty, jakie stąd koniecznie wyniknąć musiały. Świeżo zagospodarowany Leszczotów, wydzierżawiony naprędce pierwszemu lepszemu kontrahentowi, jaki się nadarzył, remanenta i wszelkie sprzęty posprzedawały się za bezcen, budowanie domu mieszkalnego przerwane zostało; a kosztowniejsze ruchomości, spakowane na dzie sięć dużych wozów, stanowiły tabor, z którym jakby koloniści amerykańscy w oznaczonym terminie pociągnęliśmy ku Wołyniowi. Ponieważ dzierzawa semidubowskiego majątku za półtora roku dopiero kończyć się miała, rodzice postanowili przemieszkać ten czas w Krzemieńcu, gdzie po skasowaniu liceum pozostało wielu profesorów, a okoliczni obywatele korzystając z tego osiedlali się tam licznie z rodzinami dla

możliwego kształcenia dzieci pod okiem własnem. Po tygodniu podróży, małymi etapami, na Tartaków, Stojanów, Druszkopol, Horochów i Dubno, stanąwszy u kresu rozlokowaliśmy się dosyć wygodnie w domu krewnego, pana Mateusza Zaleskiego. W mieście znajomych i pokrewnych znalazło się bardzo wiele; ciotka mojej matki panna Eleonora Komorowska, wysokich cnót i przymiotów osoba, uprzedzona o dniu przybycia naszego, z nieodstępniemi towarzyszkami swojemi, siostrzenicą Karoliną Komorowską, guwernantką jej panną Bilier i siostrzenicą guwernantki Henryką, wyszły na spotkanie nasze za miasto i witając radośnie towarzyszyły nam do pomieszkania, a kilka opakowanych powozów i liczny tabór, ciągnący za nami, niezwykle widowisko sprawiając mieszkańcom Krzemieńca, tłumy gawiedzi i żydów dokoła nas zbierały.

Rozlokowanie się na nowej siedzibie i urządzenie domu zajęło czasu niemało, ale że dla dzieci, każdy dzień stracony niepowetowane szkody przynosi, cała więc usilność rodziców głównie na to zwróconą była, żeby przerwane nauki nasze, choć w odmiennym zupełnie trybie, znowu jak najprędzej rozpoczęte zostały. Trudności były wielkie, gdyż obowiązujący język rosyjski we

wszystkich szkołach kraju zupełnie był nam nieznany. Przedewszystkiem tedy do abecadła, podwójnie wstrętnego dla malców, którzy świadectwami skończonych trzech klas się szczycili, wracać przychodziło. A że umówieni na godziny nauczyciele zwykle więcej na zegarek niż na uczniów swoich uwagę zwracają, szczerze mówiąc, w Krzemieńcu bardzo niewiele nowych wiadomości do głowy nam wpadło. Dla mnie zaś wyjątkowo cały tam rok zupełnie był stracony, gdyż silnie rozwinięte skrofuły często po tygodniach z łóżka zwlec się nie dozwalały. Pobyt jednak w Krzemieńcu miłe wspomnienia w dziecinnej pamięci nam pozostawił, z powodu przyjemnych zebrań i zabaw z licznymi rówieśnikami w niedziele i święta w domach obywateli okolicznych powiatów, którzy dla wychowania dzieci całemi rodzinami w tem mieście się osiedlali. Byli tam Ożarowscy, Bobrowie, Kiccy, Jełowiccy, Worcele, Borkowscy, Pruszyńscy, Starorypińscy, Małyńscy i wielu innych. Pozostały areopag dawniejszych profesorów liceum przedstawiał jeszcze świetnie Uldyński, Choński, Będziński, Milot, Domkowicz i kaligraf Puchalski. Oprócz nich było kilku młodych nauczycieli, którzy po skończeniu nauk poświęcali się świeżo

temu zawodowi. Hamann, utalentowany fortepianista, uczył muzyki, a 70-cio letnia Czehlińska, exartystka z baletu warszawskiego jeszcze za Stanisława Augusta, i mało co młodszy Piasecki udzielali lekcji tańców.

Dobrych lekarzy było kilku, między nimi wileńczyk Domher pierwsze miejsce zajmował. Bardzo to światły i miły w towarzystwie był człowiek, ale z tytułu koligacyi, przez żonę Podhorodeńską z domu, z możniejszymi rodzinami Wołynia, chorował trochę na pana i niebardzo chętnie powołaniu swojemu się oddawał. Wskutek tego oczywiście materyalne interesa często mu nie dopisywały; otóż przy spotkaniu się z dawnym kolegą z Wilna, Tomaszem Baranieckim¹⁾, gdy podziwiał jego niezwykle powodzenie w Jarmolińcach na Podolu a użalał się nad dolą swoją, Baraniecki dowcipny i jowialista powiada mu na to: »rzecz prosta kochany kolego, gdyż ja jestem pan doktor, a ty, doktor pan«.

W ciągu przepędzonej zimy w Krzemieńcu, cierpienia moje skrofuliczne tak się powiększyły, że doktor Domher zalecał koniecznie, aby z na-

¹⁾ Ojciec Dra Adryana Baranieckiego, założyciela muzeum techniczno-przemysłowego w Krakowie. Przyp. wyd.

dejściem lata wysłano mnie do kąpeli morskich i limanowych pod Odessą. Tak daleka i kosztowna wówczas podróż dla rodziców była bardzo trudną, lecz dobra księżna Dorota Lubomirska, dowiedziawszy się o tem z listów matki, z którą w ciągłej korespondencji zostawała, zaproponowała, żeby korzystano dla mnie z okoliczności, iż jej wnuk cioteczny, Henryk Stecki z Międzyrzecza, jeździ co roku do kąpeli morskich w Odessie z mentorem swoim Truszkowskim i doktorem Orzechowiczem, — dla towarzystwa więc niewiele starszego Henryka mnie z przyjemnością zaprasza. Z wdzięcznością przyjąwszy łaskawą propozycję księżnej, przy nadejściu właściwej pory, matka odwiozła mnie do Niewirkowa, letniej rezydencji księstwa, w rowieńskim powiecie, a dodawszy mi do wyłącznego dozoru kamerdynera swego imieniem Goldmanna, poruczyła opiece panów Truszkowskiego i Orzechowicza.

Henryk Stecki, syn Ludwika, urodzony z Czackiej, był sierotą, matka bowiem odumarała go w dzieciństwie, a ojciec ożeniony powtórnie z Ponińską zostawał w emigracyi z 1831. r. Księstwo Józefowstwo Lubomirscy, jako najbliżsi krewni, przyjęli opiekę nad nim; mieszkał on przy nich w osobnym dworku z mentorem

Truskowskim i dwoma jeszcze nauczycielami w Niewirkowie. Bardzo on był rad mieć towarzysza podróży, a choć starszy o lat kilka, zaprzyjaźnił się ze mną szczerze, ujął mię też niezmiernie, gdy widząc wielki mój smutek po odjeździe matki, dla pocieszenia darował mi bardzo ładną malutką fuzyjkę, z której do wróbli strzelać mnie nauczył.

W podróż wyruszyliśmy obszernym powozem, własnymi końmi Henryka, a z tyłu na wielkiej bryce mój niemiec, kucharz, i wszelkie prowizye na cały tydzień drogi. Jeden dzień odpoczynku w Jurówce, pięknym majątku Stęckiego pod Berdyczowem, a potem w Humaniu, dla zwiedzenia sławnej Zofijówki¹⁾. Zachwycenie moje tą czarowną miejscowością było tak wielkie, że od rana zwiedzając cuda tego parku, wyrzekłem się objadu i uprosiłem pana Truskowskiego, aby mi tam z Goldmannem, który przezorny wziął jakieś prowizye z sobą, do wieczora pozostać dozwolił.

W ciągu nudnej i jednostajnej podróży przez stopy chersońskie zabawiały nas tylko z Henrykiem wspinające się na łapkach i ucie-

¹⁾ Pałac i park założony przez Szczęsnego Potockiego, dziś własność rządu. Przep. wyd.

kające na wyścigi do nory susły. Kiedy zaś doktor Orzechowicz, jako zapalony myśliwy, dostrzegł w oddaleniu dropie lub stado kulonów, wysiadaliśmy wszyscy z powozu, każdy uzbrojony w fuzję, (gdyż nawet moja zawsze nabitą była), i próbowaliśmy szczęścia i trafnych strzałów. Przezorne dropie ani razu zająć się dały, lecz kulony padały ofiarą dosyć często, i mnie nawet ku wielkiej radości jednego podstrzelić się udało.

Dziś, gdy pędzi się kolejami, przestrzenie na godziny się liczą dla handlarzy i tych, co mając terminowe interesa, czas na pieniądze obracują; w pośpiechu dogodność olbrzymia, lecz przy porównaniu jałowych wrażeń podróży kolejowej, w ciągłej gorączce i absolutnej zależności od dzwonka i przeraźliwego gwizdu parowego rumaka, trudno nie przyznać, że nawet obok nudów, trudów i niewygód dawniejszego sposobu przenoszenia się z miejsca na miejsce, cała przyjemność turysty w przeszłości już pogrzebana. Dawniej przebywając kilkadziesiąt mil drogi, poznawano kraj, okolicę, mieszkańców i lada myśliciel foliały wrażeń łatwo uzbierał. Teraz przejechawszy większą część najodleglejszej podróży, zwiedzamy tylko mniej więcej po-

dobne do siebie stolice i znaczniejsze miasta a o cywilizacji krajów sądzimy z komfortu i wygod hotelowych, albo z grzeczności witających nas kelnerów.

Na ósmy dzień po wyjeździe z Niewirkowa dosięgnęliśmy szczęśliwie Odessy. Pomieszkanie było już zamówione w narożnym domu od gmachu bursy (giełdy) przy bulwarach. Wybiegłszy na balkon pierwszego piętra, wielkiego doznałem wrażenia na widok nieskończonej przestrzeni morza i lasu masztów okrętowych w dwóch portach, które z wysokości nadbrzeżnych bulwarów miasta wspaniale się przedstawiają. Henryk znał już to wszystko bardzo dobrze, gdyż trzecim nawrotem przyjeżdżał do kąpieli odesskich; widząc tedy niezmierne zaciekawienie moje, ofiarował się na cicerona i niedawszy nawet rozpakować się Goldmanowi, zbiegliśmy z nim po krętych drewnianych schodach ze stromego wybrzeża bulwaru; kolosalnych bowiem schodów dzisiejszych wówczas jeszcze nie było. Stanąwszy u brzegu morza, zdumiony i przerażony grozą bałwanów, dość silnie wzburzonego morza, pojąć nie mogłem, jak w tej straszliwej otchłani kąpać się odważę i potrafię. Następnie poszliśmy do kupieckiego

portu przypatrzeć się z bliska i podziwiać okręty, a potem, gdyśmy wrócili na bulwary, Henryk niby znużony prosił, żebyśmy przysiedli nieco na ławce, niedaleko monumentu Richelieugo, i nie posiadał się z radości, kiedy ja i Goldmann, nie uprzedzeni o zwyczaju, skoczyliśmy na równe nogi z ławki na huk wystrzału działowego o 12-ej z armaty, tuż obok monumentu postawionej. Teraz już i armaty, która była własnością ks. Worońcowa, i strzałów tych niema. Miałem jako pierwsze z większych, które w życiu mojem oglądałem, wielkie gmachy, szerokie ulice i piękne magazyny, wielką ciekawością przez pierwszych dni kilka były dla mnie, najwięcej jednak przyjemności i zachwytu sprawiła mi pierwsza bytność na operze włoskiej, która rzeczywiście podówczas była w Odessie znakomitą. Może to urok nowości i siła wrażeń dziecinnych, lecz takiej Normy, spiewanej przez Tassistrę i Mariniego, w żadnej stolicy nigdy już później nie słyszałem.

Kuracya moja rozpoczęła się od ciepłych kąpiel morskich w domu, następnie przez dwa tygodnie po jednej kąpiel w morzu, potem z rana jeździliśmy do limanu a po południu druga kąpiel w morzu. Skutek tej kuracyi był

tak pomyślny, że po dwumiesięcznym pobycie w Odessie wszystkie prawie rany i wyrzuty się pogoiły. Orzechowicz kazał więc jeszcze nawarzyć soli limanowej i zabrać z sobą do codziennego przemywania pozostałych blizn, co też dopełniając przez miesiące kilka już w domu, pozbyłem się mej biedy w zupełności i odtąd dzięki Bogu przez całe życie nigdy prawie obłożnie nie chorowałem.

W czasie bytności mojej w Odessie rodzice przenieśli się na stałą rezydencję do Semidub a ojciec na nowo gospodarski zawód rozpoczął. Dla sióstr sprowadzono guwernantkę z Francji, pannę Hühn ze Strasburga rodem, która prócz francuzkiego i niemiecki język dobrze posiadała; pedagog Huczański, krzemieńczyanin, przyjął trudy dalszego kształcenia mnie i brata, a pani Wolańska udzielała nam wszystkim lekcji muzyki. Spokojny tryb życia wiejskiego, nierównie więcej niż gwarny Krzemieniec do systematycznej pracy dla dzieci się nadawał. Nierozzerwane myśli ciągłymi wieczorkami i zabawkami w licznych gronie rówieśników snadniej do nauki się zwracały, a wyłączne zajęcie się nami sumiennego mentora o wiele korzystniejszym się okazało,

niż godzinowe lekcyje, chociaż przez specjalistów w każdym przedmiocie wykładane.

Na wyborach 1838. roku usilne nalegania panów obywateli znowu zmusiły ojca do przyjęcia trudów urzędu marszałka powiatu dubieńskiego. Dla uniknienia większych wydatków nie przeniósł się tą razą ojciec na stałe pomieszkanie do miasta, tylko dwa razy na tydzień dla załatwienia interesów urzędu regularnie do Dubna dojeżdżał. Zawsze jednak przerywało to wielce tak konieczny, codzienny nadzór w gospodarstwie, a na nieszczęście i matka wyręczać go w tem nie mogła, gdyż coraz bardziej wzmagająca się chroniczna jej choroba zatrważające rozmiary przybierać zaczynała, a doktorowie z różnych stron sprowadzani najmniejszej nawet ulgi w srogich cierpieniach przynieść jej nie potrafili.

Księstwo Lubomirscy, jak zwykle na zimę, i w tym roku do Dubna zjechali, a że Henryk Stecki z panem Truszkowskim także z nimi przyjechał, dla odwiedzenia mego towarzysza podróży do Odessy, ojciec jadąc do miasta często nas synów z sobą zabierał i na cały dzień w zamku zostawiał. Spotykało się tam wówczas całe świetne i liczne koło arystokracji wołyń-

skiej: Radziwiłłowie, Jabłonowscy, Chodkiewicz, Tarnowscy, Karwicy, Rzyszczewscy, Leńkiewicz, Chołoniewscy, Bobrowie i wiele innych. Z powodu świeżego wyjścia za mąż księżniczki Radziwiłłówny, siostrzenicy księżnej Doroty Lubomirskiej, za pana Leona Rzyszczewskiego, wydano świetny bal dla państwa młodych na zamku. Henryk uprosił ojca, aby dla jego towarzystwa nam także na tej feacie znajdować się dozwolił. I choć malcy, braliśmy czynny udział w tańcach przez noc całą.

Bez wątpienia wesołe i świetne czasy Wołynia za dziecinnych lat moich rażą i bolesną sprzeczność z wyjątkowo smutną dolą tej prowincyi obecnie przedstawiają. Prawda, że wiele niezależnych okoliczności i ogólnych nieszczęść kraju składało się na to pasmem całym, ale że niema nigdy skutku bez przyczyny, trudno nie obwiniać choć w części tych, którym tradycje rodowe i kolosalne dostatki przewodniczyły w narodzie nakazywały. Wyręczając w urzędowaniach z wyborów mniej zamożną szlachtę, bawiła się i hulała bez pamięci magnateria nasza. Milionowe fortuny na zbytki, kaprysy, widzimisia i zapamiętałą hazardowną grę w karty pękały jedna po drugiej jak bańki mydlane,

a dziś dumni potomkowie hetmanów, kanclerzów i wojewodów, szukają ratunku w swej nędzy przez ożenie z córkami bankierów, ex-żydów, antreprenierów rulety w Monacco lub właścicieli fabryk kosmetyków w Paryżu. Innym zaś z ciężkim niedostatkiem tem trudniej walczyć przychodzi, że tak niedawna świetność ojców zbyt żywo jeszcze każdej chwili przed oczy im staje, stąd też niestety i upadek moralny na każdym kroku coraz częściej napotykać się daje.

Cóż dziwnego, że niejaki Lubański, za świetnych czasów dubieńskich, powróciwszy z hucznych kontraktów do skromnej zagrody swojej w tymże powiecie, napisał złośliwy wiersz następujący:

Pokłon wam, dumne panięta,
Ach! któż nie widzi, nie czuje,
Że mina harda, nadęta,
Wyższość rodową zwiastuje?

Zwiędła, w odwiecznym błędzie,
Woła nam zewsząd hołota:
Czemuż to nie są na względzie
Zasługi, rozum i cnota?

Czyż tytuł ojcom nadany
Za osobiste ich czyny
Rzuca blask jaki na syny?
Kiedy te syny bałwany!

Czyż za to czołem bić komu,
Że w pysznym gnuśnieje domu;
Że ma poddańczych dusz wiele,
A nie ma duszy w swem ciele?

Że lśniącym powozem leci,
Że co noc sypie na kartę
Złoto ludzkości wydarte,
Łzy i krew pije swych kmieci?

— Są to zazdrości odgłosy; —
Panięta, jako świat światem,
Są w prawie zadzierać nosy,
Uboższym pomiatać bratem.

I wy, okraso narodu,
Umiecie siebie za młodu
Uczuciem własnej wartości
I heraldycznych zaszczytów
Przejąć od skóry do kości,
Od czubów aż do kopytów.

Lecz przebóg, troszczycie się o to,
By zewsząd zgartywać złoto.
Bodajto z dyablem¹⁾ być w spółce,
Gdyż biada, jak się dowie,
Że u którego w szkatułce
Tak jest już pusto, jak w głowie.

Żółci w tych wierszach za wiele, gdyż
w ogóle arystokracja ówczesna bynajmniej na

¹⁾ Gra w karty. Przyp. wyd.

miano bałwanów nie zasługiwała, przeciwnie kształcąc się za granicą, wyróżniała się powierzchniowym polem i wielkiem ugrzecznieniem w obejściu.

Dola zaś licznych poddanych w kolosalnych fortunach magnackich, z małymi tylko wyjątkami, o wiele znośniejszą była niż u drobnych właścicieli ziemskich, gdzie brak moralnych podstaw i bieda nieraz srogie nadużycia wywoływały. Ale kosmopolityzm nabyty w obczyźnie, wyradzając zupełną obojętność dla kraju, zatarł w sercach tych panów wszelkie poczucie obowiązków obywatelskich, a wrodzona plemienu naszemu lekkomyślność i marnotrawstwo, przy zupełnem braku zajęcia, rzuciła ich na drogę szalonych zbytków i popychała w przepaść gorączkowych wrażeń, jakie przy uginających się pod złotem stołach zielonych próżniactwo i nudy im zabijały.

Na obronę ich to jedno tylko przytoczyć można, że zdwojona reputacya rządowa od 1831. roku silnie ku takiemu trybowi życia napierała. Szpiegowstwo wciskało się wszędzie, a każde liczniejsze zebranie było podejrzanem u władzy; instynkt więc zachowawczy przy konieczności obcowania z ludźmi wynalazł śro-

dek bezmyślnej zabawy gier hazardowych, żeby podniecona namiętność, przy kaprysach fortuny, nieustannym brzękiem złota zagłuszała wszelkie myśli i nie dopuszczała do niebezpiecznej zamiany słowa.

II. Wspomnienia młodości.

Stan zdrowia najlepszej matki tak gwałtownie pogorszał się i zatrwał, że doktorowie, nie znajdując środków ulżenia jej cierpieniom, radzili udać się do Grefenbergu, gdzie o nowo-założonej lecznicy Prisnitz zimną wodą cuda rozgłaszano. Ojciec z powodu urzędowania nie mogąc wyjechać z kraju, uprosił listownie wuja Michała Komorowskiego, żeby chorej matce, udającej się do Grefenbergu z dwoma starszemi córkami, towarzyszyć raczył.

Po dwóch tygodniach próby Prisnitz sam jednak zdecydował, że na takie cierpienia kuracja jego bezowocną się okazuje i życzył pośpieszać co najprędzej do sławnego operatora Gräffego w Berlinie, zapewniając, iż tylko przecięcie wielkiego, zebranego tumoru w boku, zbawienny skutek sprawić może. Udano się tedy do Berlina, i wkrótce nadeszły stamtąd pocie-

szające wiadomości, że operacya powiodła się szczęśliwie, tylko Gräffe dla wypoczynku i zbadania przebiegu następstw sześć tygodni na miejscu pozostawać zalecił.

W tym czasie arcyksiążę austryjacki Karol Ferdynand, przejeżdżając przez Dubno z rewii pod Wozneseńskiem, podejmowany gościnnie przez ojca mego, jako reprezentanta szlachty powiatu, w rozmowie przy obiedzie dowiedziawszy się, że chora matka bawi w Berlinie na kuracyi, zaproponował łaskawie ojcu, żeby za jego pośrednictwem listowną wiadomość o sobie jej przysłał. Wymówić się od tak wielkiej grzeczności było niepodobna, tembardziej, że po obiedzie arcyksiążę drugi raz ponowił uprzejmą w tem chęć swoją. Niemałe też było podziwienie matki, gdy wyższy jakiś urzędnik Ambasady austryjackiej w Berlinie, zajechawszy piękną karetą przed jej pomieszkanie, prosił, aby mógł widzieć się osobiście, i doręczył jej naprędce skreślony bilecik od męża.

W jesieni 1839. roku witaliśmy radośnie podróźnych naszych z powrotem w rodzinnych progach. Po trzech miesiącach niewidzenia, siostry, świeżo przystrojone w długie suknie, wydały się nam o wiele już poważniejsze i impo-

nowały bardzo opowiadaniem ciekawych i pięknych rzeczy, jakie w dalekiej podróży a mianowicie w stolicy pruskiej zwiedzały. Świeżo tam urządzone oświecenie miasta gazem i kolej żelazna, na próbę dopiero od Berlina do Potzdamu przeprowadzona, najbardziej ciekawość naszą zaostrzały. Ja tylko tryumfowałem, że morza i okrętów w Berlinie przecie widzieć siostry nie mogły.

Niedługo jednak po powrocie cierpienia matki z taką gwałtownością rozwijać się zaczęły, że konieczność codziennych rad i opieki lekarzy, zmusiła rodziców przenieść się z całą rodziną do Dubna, gdzie zamieszkaliśmy w domu własnym, nabytym przez ojca ostatnimi laty. Przy łożu ukochanej chorej naszej, w ciągłym smutku i trwodze, cała zima tam zesza. W Lutym 1840. roku zgon generała Łoszakowa, szwagra mojego ojca, w Kijowie, powołał go tam dla oddania ostatniej posługi chrześcijańskiej zmarłemu i ułożenia interesów po nim, gdyż generał był dożywotnikiem posagowej sumy dawno już zmarłej żony, a wskutek jej testamentu suma ta przechodziła teraz na rzecz wszystkich nas jako dzieci rodzzonego brata testatorki.

Załatwienie tego interesu i rozrachunki z drugą żoną generała, Mandrykinówną z domu, wymagały dłuższego czasu. Przy końcu Marca, gdy ojca jeszcze z powrotem nie było, doktorowie, zatrwożeni coraz groźniejszym stanem zdrowia matki, uznali za konieczne wysłanie sztafety do Kijowa, sama zaś nieszczęsna chora prosiła, aby jej siostra Franciszka z Galicyi też zawezwana została. W kilka dni, pomimo najfatalniejszej drogi z powodu wiosennych roztopów, ojciec, pędząc dzień i noc bryczką pocztową, był już u łoża chorej; ciotka z mężem i dziećmi nadjechała także niedługo po nim.

Święta Wielkanocne przypadały w tym roku 15. Kwietnia¹⁾. Rozdzierający serca widok bolesnych cierpień i gasnącego życia ukochanej chorej nie dozwolił nikomu pomyśleć nawet o zwykłych przygotowaniach do tej uroczystości. Gdy jednak nadszedł dzień Zmartwychwstania Pańskiego, najdroższa matka zażądała, aby podano święcone jaja, a wezwawszy wszystkich obecnych, dzieliła je po raz ostatni z całą rodziną i domownikami, żegnała zalewających się łzami i błogosławiła łkające przy jej łożu dzieci,

¹⁾ Starego stylu. Przyp. wyd.

polecając je zaledwie dosłyszalnym już głosem pieczołowitości męża i ukochanej swej siostry.

Ostatni niestety był to wysiłek i odblask gasnącej lampy tej prawdziwie anielskiej istoty, która nam życie dała. Na drugi dzień byliśmy już sierotami, a srogi cios, jaki nas dotknął, tak głęboko zarył się w sercu mojem, iż przez całe życie uroczystość świąt wielkanocnych ten ostatni dzień ubóstwianej matki zawsze z boleścią mi przypomina. Na cmentarzu dubieńskim wznosił ojciec piękną kaplicę nad mogiłą towarzyski życia swojego. A we dwadzieścia lat potem i jego szczątki przewiezione z Warszawy, gdzie zmarł w 1860. roku, obok niej przezemnie złożone zostały.

Po zgonie rodzicielki naszej na krótki tylko czas wróciliśmy do Semidub. Ciotka Franciszka najmłodszą siostrę Annę zabrała z sobą do Galicyi, dla towarzystwa i opieki starszych sióstr w domu ojciec uprosił poważną matronę hrabinę Jezierską, wdowę po zamożnym niegdyś obywatelu na Litwie, a nas synów odwiózł przy końcu lata tegoż roku do Odessy, gdzie po zdaniu egzaminów do IV. gimnazyalnej klasy rozpoczęliśmy publiczne nauki w miejskowych szkołach, założonych wraz z liceum przez Richelieugo.

Kilka lat, spędzonych w tem mieście na ławie szkolnej, ubiegło nam bardzo prędko. Cała niemal młodzież majątniejszych rodziców prowincyi naszych garnęła się wówczas do Odessy, gdzie kosmopolityczny, jak zwykle, charakter portowego i wolnego miasta pod łagodniejszymi rządami ks. Woroncowa, ożenionego z Branicką, swobodniejszym nieco duchem był ożywiony. Nauki zaś, wykładane przez dobrych profesorów różnych narodowości, rozkrzewiały się w młodych umysłach z łatwością i korzystnie, a celującymi uczniami byli zawsze polacy i żydzi. Jedyną tylko wstrętną osobistością był tam dla nas dyrektor liceum Sinicen, dymisyonowany kapitan marynarki, który zwykle po nałogowych libacjach przy objedzie wpadał jak furia na korytarze szkolnego gmachu, a dostrzegłszy przez małe okienka w drzwiach klasowych najmniejszą swawolę uczniów, zamiast ojcowskiego napomnienia, wysypywał potok najzelżywszych wyrazów; młodszym zaś bardzo często i cielesne plagi się dostawały. Dla wielkiej odległości na wakacye nawet do domu nie jeździliśmy wcale, tylko przepędzaliśmy je zwykle na jednym z nadbrzeżnych futorów, za miastem, gdzie inspektor liceum, u którego byliśmy umieszczeni, z rodziną

na te miesiące letnie się przenosił. A kąpiele morskie, łapanie ryb na wędkę i odległe spacery, były tam codzienną jedyną rozrywką naszą.

W trzecim jednak roku pobytu naszego w Odessie i tu rzeczy niefortunnie się pokrzyżowały. Inspektor został przeniesiony na dyrektora szkół do Taganrogu, ojciec zaś zajęty urzędowaniem, nie mogąc pośpieszyć do Odessy dla umieszczenia nas w innem miejscu, przysłał sekretarza swego z zaleceniem zabrania synów do domu. Były wprawdzie różne projekta na przyszłość, — pracowaliśmy potrochę sami, marząc o zdaniu egzaminów do uniwersytetu kijowskiego; ale w ożywionej okolicy z powodu dwóch dorosłych sióstr, pod opieką pani Jezierskiej, choć na wsi, na codziennych prawie gościach nigdy nie zbywało; potem ostatni świetny karnawał w Dubnie, gdzie Lubomirscy, Chodkiewiczze, pani Ossolińska z córką, Karwicy, Rzyaszczewscy i wiele innych rodzin zjechało dla zabaw na całą zimę; następnie weselne gody najstarszej siostry Adeli, która wyszła za bardzo majątnego obywatela z Podola, Jerzego Jodkę, ani ojcu obok urzędowania wolnej chwili dla pomyślenia o dalszych naukach synów nie zostawiały, ani nam młodzieniaszkom, rozbawionym i rozmarzo-

nym ciągłymi rozrywkami, w których czynny udział przedwcześnie nas zaskoczył, do nowej pracy nad książką najmniejszej ochoty nie dawały. Wszelkie więc projekta skończyły się na tem, że brat dla pozornego zajęcia, a rzeczywiście dla możności otrzymania koniecznej w kraju rangi, zapisał się na aplikanta w urzędowej kancelaryi ojca, ja zaś, jako pasyonowany do koni wybrałem służbę wojskową w kawaleryi.

Bliski krewny Baron Rudolf Taube, urodzony z Zaleskiej, siostry zacnego Wiktora z Krzywca, był majorem w elizawetgradzkim pułku huzarów, pod jego więc protekcją, w osiemnastym roku życia, rozpocząłem mój zawód wojskowy. Pułk, do którego wstąpiłem, znajdował się w Królestwie Polskiem i był rozlokowany na zimowych leżach w okolicach miasta Chełma. Szwadron Taubego konsystował we wsi Bakowie, gdzie major miał wygodne pomieszkowanie z żoną i sześciolletnią córeczką, w niezajmowanym przez właściciela dworze. Przyjęty uprzejmie przez krewnych, stałem się niejako członkiem ich rodziny i pod opieką dobrego majora początkowe miesiące służby nie zaciężyły mi wcale. Na wiosnę 1845. r. odbyłem pierwszy marsz z pułkiem do Warszawy. Święta Wielka-

nocne zaskoczyły nas pod samą stolicą. Smutno mi było, gdy w pierwszym dniu tej uroczystości major i wszyscy oficerowie udali się na święcone do dowódcy pułku w Miłosnej, a ja, jako jedyny junkier¹⁾ w szwadronie, zmuszony byłem pozostać sam jeden w chłopskiej chacie nędznej bardzo wioseczki, gdzie służący mój w roli kucharza z największą trudnością kilka jaj i niezmiernie chudą kurę zdobyć mi potrafił. Ale na drugi dzień byliśmy już w Warszawie, a wielka radość oglądania po raz pierwszy wesołej stolicy naszej zatarła smutne wrażenie, jakiego pod samymi jej murami doznałem.

Trzy miesiące pobytu w tem mieście prędko i wesoło ubiegły. Towarzystwo w tym pułku mieliśmy prawdziwie doborowe; cały młodszy corp oficerów składali przeważnie sami prawie Polacy, mianowicie: hrabia Mostowski, trzech braci hrabiów O' Rurków, dwóch Wolskich, dwóch Pruszyńskich, Telszewski, Wisłocki, Mikulski i Romer z Litwy, — Gadon Brunat, Dąbrowski, Cichoński²⁾ i ja z Wołynia, — hr. Kazimierz Stadnicki z Podola a hr. Roniker z Królestwa

¹⁾ Podchorąży. Przep. wyd.

²⁾ Zginął w roku 1863. jako dowódca powstańców. Przep. wyd.

Polskiego. Była to młodzież wykształcona i na materyalnych środkach żadnemu nie brakowało. Z dystyngowańszych Niemców kolegowali z nami: Sagmy Mannteufel, Pahlm, Rahden, Stachelberg, Siwers i t. d. Stosunki między młodzieżą, bez najmniejszego wyróżnienia dla junkrów, utrzymywały się prawdziwie koleżeńskie i przyjazne. A że narodowość nasza przodowała w pułku i liczbą i polorem, mieliśmy więc tę wielką przyjemność, iż w codziennych stosunkach z kolegami mowa nasza wyłącznie prawie używaną była. Nie tylko Rosyanie, którzy dawniej bardzo chętnie posługiwali się takową, lecz Niemcy nawet poprawnie po polsku mówili. Oczywiście, że ciągły kwaterunek pułku w Królestwie lub w prowincjach naszych nie mało przyczyniał się do tego.

Na mającą się odbyć rewię Naj. Pana cały nasz korpus, którym dowodził generał Kreitz, ściągnął też pod Warszawę. Jako niedostatecznie jeszcze obznajomiony ze służbą, czynnego udziału w tej rewii nie brałem i tylko w cywilnym stroju, wraz z liczną publicznością, przypatrywałem się ciekawie kilkodniowym paradom i ewolucjom wojskowym, które za cesarza Mikołaja z tak wielką wspaniałością się odbywały. Iluminacya

w całym mieście, a szczególnie w parku Łazienek, gdzie rezydował monarcha, i teatr odegrany tam na wyspie, prawdziwie zachwycający widok sprawiały. Smutna tylko katastrofa spotkała na tej rewii pułkownika Mielnikowa, dowódcę hanowerskiego pułku huzarów. Ufny w silną protekcję, którą książe Paszkiewicz¹⁾ go zaszczycał, spóźniwszy się ze swoim pułkiem na pole zapowiadzianych ćwiczeń wojskowych dla całej dywizji kawaleryi, na ostre wymówki generała brygady Schilinga uniósł się tak szalonym gniewem, że odpowiadając zelżywemi słowy, przed rozwiniętym frontem całej dywizji zagroził generałowi dobytym pałaszem. Podany o tem raport Schilinga, pomimo zabiegów Paszkiewicza, doszedł do wiadomości cesarza i biedny Mielników na prostego żołnierza zdegradowanym został, brygadny zaś za taki eksces pod komendą jego przeniesionym był niezwłocznie na Kaukaz. W parę lat jednak łaska Monarchy powróciła Mielnikowowi rangę i order, tylko dowództwa pułku nigdy już nie otrzymał, i posłużwszy lat kilka, podał się do dymisyi.

¹⁾ Ówczesny namiestnik Królestwa. Przep. wyd.

Na zimowe leże korpus nasz po rewii wystąpił z Warszawy wprost na Litwę, gdzie pułk elizawetgradzki w nowogrodzkim powiecie na trzyletni kwaterunek wygodnie się rozłożył. Szwadron majora dostał w udziale miasteczko Mysza i kilka okolicznych wiosek. Dla zdania obowiązującego wówczas egzaminu naukowego, wkrótce po przybyciu na miejsce wypadło mi jechać do Wilna, gdzie był sztab korpusu. W tej podróży zwiedziłem po raz pierwszy opiewany przez wieszczka naszego, a rzeczywiście dziwnie uroczy Świtez. Stara stolica Gedymina, pomimo czarownej okolicy, przy świeżem jeszcze wrażeniu Warszawy, bardzo smutną i pustą mi się wydała. Ale ta cisza, obok licznych pięknych kościołów, a szczególnie kaplica ostrobramska i gorące modły klęczących wśród ulicy w czasie codziennego tam nabożeństwa, niewysłowioną rzewnością i tęsknicą ogarniały. Po dwóch tygodniach korepetycyi, przy pomocy jednego z oficerów świty, egzamina powiodły mi się dosyć dobrze i ze świadectwem na rzeczywistego już junkra pospieszyłem z powrotem do Myszy. Zapoznawszy się z kilku obywatelami w okolicy, którzy chętniej niż w Królestwie wojskowych w domach swoich przyjmowali, po zajęciach

służbowych, w godzinach rannych, często z kolegami szukaliśmy rozrywki w gościnnych dworach dobrych i uprzejmych Litwinów. Jednej z takich ekskursyi, w późnej już jesieni, o mało życiem a conajmniej zdrowiem nie przepłaciłem. W domu pana Ostromęckiego z powodu liczniejszego zjazdu sąsiadów i nadobnych sąsiadek zabawiłem do późnego wieczora. Noc była chmurna i bardzo ciemna, a zimno w pierwszych dniach Listopada przejmujące. W powrocie do Myszy około północy, straciwszy drogę zabrnąłem w tak głębokie bagno, że konie mi się pokładły. Nie życząc sobie nocować w tak nie miłym położeniu, po radzie z woźnicą zrzuciłem paradny mundurek i lakierowane buciki, żeby wspólnymi z nim siłami wydobyć z trzęsawiska konie i wózek. Godzina daremnych mozołów zmusiła wkońcu szukać ratunku w odległej o wiorst kilka wiosce. Furman mój powlókł się tam piechotą, a ja wydostawszy się na brzeg bagniska, zziębnięty i przemokły do nitki biegałem w kółko po łące dla rozegrzania, zanim długo oczekiwana pomoc z latarniami, drągami i sznurami nie nadciągnęła. Po wydobyciu koni i wózka przewodnik z latarnią odprowadził mnie już do samego miasteczka. Kazałem co

prędzej nastawić samowar, wypilem kilka szklanek gorącej herbaty, a okrywszy się dobrze w łożku, nazajutrz bez kataru nawet o 9tej z rana byłem już na konnej jeździe w maneżu.

Przy końcu tegoż Listopada bardzo nie-miłą niespodziankę przyniósł nam rozkaz feldmarszałka, nadesłany z Warszawy, żeby dla okazującego się zupełnego braku owsa na Litwie cała nasza dywizya kawaleryi niezwłocznie wyruszyła do Małorosyi. Dwa miesiące szkaradnej w tym roku zimy wlekliśmy się z wielką biedą na Słonim, Mozyrz, Czarnobyl, Kijów, Periasław do powiatowego miasta Piratyna w gubernii połtawskiej.

Marsz ten, który w krótkim kożuszku pod żołnierskim płaszczem, konno przy szwadronie swoim odbyłem, nieraz przypominał żywo rejteradę Francuzów w 1812. roku. Niezmiernie ostre mrozy i zaspasy śniegowe przerywane były razy kilka najzupełniejszą odelgą, która taką ślizgawicę sprowadzała, że konie nieustannie padały i przez całodzienny marsz w rękę prowadzić je przychodziło. Noclegi zaś w kurnych chatach, przepełnionych robactwem, i częsty niedostatek żywności, ze smutną stroną żołnierskiego życia dotkliwie mię zapoznały.

Oficerowie radzili sobie łatwiej, przebywając drogę w powozach lub na saniach i zatrzymując się w miasteczkach na trakcie pocztowym, ale junkier na koniu rządowym przy szwadronie trzymać się musiał, a temu, jak wiadomo, w ciągu marszu wioski w rejonie głównej drogi na noclegi się dostają. Pamiętne mi też Boże Narodzenie, które w okolicach Mozyrza smutniej i głodniej, niż Wielkanoc pod Warszawą, także sam jeden w kurnej chacie przepędziłem. Był wprawdzie dworek jakiegoś częściowego obywatela w tej wiosce, ale służący mój posłany, żeby tam choć za pieniądze jakiej strawy wyprosił, przyniósł mi miskę kwaśnego mleka i kawał jęczmiennego kołacza. Biedacy, zapewne i sami niewiele co lepszego pożywali. Wielka pożyteczność herbaty w takich okolicznościach dopiero należycie oceniać się daje. Doszły nas słuchy, że cesarz Mikołaj bardzo był niezadowolony z takiego rozporządzenia feldmarszałka. Wysłał też na spotkanie pułków naszych do Kijowa generał-adjutanta hr. Adama Rzewuskiego, a gdy ten po dokonaniu lustracyi każdego pułku z osobna o pomyślnie odbytym marszu wiadomość zawiózł, monarcha w nagrodę poniesionych tru-

dów rozkazał wypłacić całej dywizji podwójną gażę za miesięcy cztery.

Nowe miejsce kwaterunku naszego w początkach bardzo ujemnie nam się przedstawiało. Piratyn miasteczko niezmiernie liche; nędzne pomieszkania z wielką trudnością się zdobywały; garkuchnia jedna niżej zera; o cukierni, kawiarni i bilardzie, tej wielkiej rozrywce dla wojskowych, nikt tam nie słyszał, a towarzystwa co się zowie żadnego. Przytem wszystko jakieś obce, zimne i zupełnie odmienne jak w naszym kraju; nawet natrętnych, lecz zawsze gotowych na wszelkie usługi żydków, ani jednego. Zamiast więc jak zwykle osiedlać się przeważnie przy sztabie pułku w miasteczku, wszyscy młodzi oficerowie rozpierzchli się po swoich szwadronach, rozkwaterowanych dość odległe po wsiach rozległego powiatu. A tam postać rzeczy zmieniła się zupełnie. Zamożni obywatele okolicy, zamieszkując piękne i bardzo obszerne dwory swoje, z największą gościnnością wszędzie wojskowych witali, i każdy z nas, zaproszony do zajęcia pomieszkania we dworze lub w innych budynkach właściciela, stawał się niejako domownikiem miejscowym. W krótkim czasie zbraliśmy znajomość z wybitniejszymi obywate-

lami całej okolicy, a że w ogóle młodzieży w ich rodzinach było bardzo mało, gdyż służba wojskowa lub cywilna rozpraszała ją po różnych odległych stronach kraju, licznie reprezentowana płeć piękna z podwójną uprzejmością nas witała. Z majątniejszych właścicieli ziemskich poznaliśmy tam: Sieleckich, Zakrzewskich, Tarnawskich, Olchowskich, księstwo Dołgoruków, księstwo Boriatyńskich i Repninów. Wszyscy prowadzili domy otwarte i przesadzali się w gościnności i wystawie. Bale i zabawy bywały tam ciągle na porządku dziennym, a każda feta najmniej trzy dni się przeciągała. Huzarzy zaś, wszędzie mile zapraszani, główny rej w ochoczych tańcach i zabawach prowadzili.

Po przybyciu do Małorosyi, biedny major Taube, będąc od dawna już wątłego zdrowia, silnie zachorował i po ciężkich cierpieniach w Kwietniu 1846. roku przeniósł się do wieczności. Żona jego z córeczką odjechała do rodziny swojej na Ukrainę, a ja szczerze opłakawszy stratę dobrego krewnego i opiekuna, mieszkałem odtąd z porucznikiem Cichońskim z Wołynia, łączyła nas bowiem znajomość od dzieciństwa i koligacya rodzinna, gdyż jego matką była Zaleska z domu. Szwadron nasz

kwaterował w majątku ks. Dołgorukiego, który pozwolił nam uprzejmie rozlokować się bardzo wygodnie w jednym z folwarków swoich. Bywaliśmy też bardzo częstymi gośćmi w pięknej rezydencji jego ze wspaniałym parkiem, w Tiepłowce. Żona księcia, Wiszniewska z domu, była siostrą sławnej z piękności pani Pisarew, małżonki znanego dobrze z przedajności naczelnika kancelaryi generał-gubernatora Bibikowa w Kijowie. Pomawiano pana generał-gubernatora o gorące afekty dla tej uroczej pani, i stąd kursowała zabawna anegdota, którą za rzeczywisty fakt podawano. Pisarew tak mało ukrywał przedajność swoją, że generał-gubernator widział się zmuszonym zapytać go czy to prawda, iż on od interesantów pieniądze bierze. — »Panie generale«, odrzekł zagadnięty, »wszystkim plotkom wierzyć niepodobna. Złe języki utrzymują, że pan romansujesz z moją żoną, ja przecież najmniejszej wiary temu nie daję«. Odtąd generał drażliwej kwestyi już nie wznawiał, a pan naczelnik jego kancelaryi szczyił się nieograniczonym zaufaniem zwierzchnika swojego. Między wielu innymi, kursowała też o tym panu wersja następująca: Ojciec pewnego młodzieńca skompromitowanego politycznie wiedząc, że pan Pi-

sarew bawił się w literata, przy prośbie za uwięzionym synem przyniósł mu bardzo piękną edycję nowo wyszłego dzieła jakiegoś ze znakomitych autorów ówczesnych, zapewniając, że odczytanie takowego sprawi niezawodnie wielką przyjemność panu naczelnikowi kancelaryi. Książki te oczywiście nafaszerowane były sturublówkami. W kilka dni potem Pisarew, spotkawszy petycyонера na licznem gdzieś zebraniu, dziękuje mu uprzejmie za udzielone książki, ale razem wymawia, że zapewne w roztargnieniu przepomniał przynieść mu najciekawszy tom ostatni. Nazajutrz mniemane przepomnienie skwapliwie dopełnionem zostało, a oskubany ojciec wkrótce radośnie witał uniewinnionego zupełnie syna.

W domu ks. Dołgorukiego w Tiepłowce spotykałem pana Pisarewa kilka razy i pamiętam, jak przez cały wieczór dowodził nam z największym cynizmem, że niema szczęśliwszego kraju jak Rosya, gdzie za pieniądze wszystko zrobić i najweselej bawić się można. Nikt jednak z licznych słuchaczy nie rzucił mu pytania, jak radzić wypada, żeby ten złoty motor szczęścia nieustannie zasilanym bywał. Piękna pani Pisarew zjeżdżała także dosyć często do siostry

i innych krewnych w piratyńskim powiecie, a za nią zawsze student uniwersytetu kijowskiego Kociorzyński, który jakoby zaszczycony był wyjątkowymi względami tej pani.

W czasie tego pobytu w Małorosyi, cesarz Mikołaj mianował ukochaną swą córkę Olgę szefem pułku naszego i przemieniono nam mundury z granatowego sieraczku na białe i niebieskie ze złotem. Było to ładne, ale bardzo brukliwe i kosztowne. Na wesele wielkiej księżniczki, wychodzącej za następcę tronu wirtemburskiego, dowódca pułku otrzymał rozkaz stawienia się w Petersburgu z jednym z młodszych oficerów i wachmistrzem 1go szwadronu dla reprezentowania pułku w czasie weselnych godów. Pułkownik Hochhauzen udarowany tam został przez szefa brylantową tabakierką, a porucznik Raden pierścieniem. Wachmistrz otrzymał 200 rubli; dla pułku zaś przysłała W. ks. Olga piękny swój portret w mundurze huzarskim.

Po roku, mile przepędzonym w okolicach Piratyna, gdzie więcej zabawy i wdzięki nadobnych małorosyjanek niż służba nas zajmowały, powołany zostałem wraz z innymi kolegami do dywizyjnej komendy junkrów w Periasławiu. Tu nie było już tak wesoło a codzienne ćwiczenia

konno i pieszo o rozrywkach zbyt często myśleć nie pozwalały. Wprawdzie generał dywizyi Glazenap, mający 6 córek dorosłych, zaszczycał nas junkrów po kolei zaprosinami na obiady i wieczorki, ale że wszystkie panny były nieurodziwe, a junkrowi na salonach generała zbyt swobodnie być nie mogło, zaliczaliśmy takie zaprosimy do najniemilszego obowiązku służby naszej. Jak tylko udało się wyprosić u dowodzącego komendą junkrów, podpułkownika Orłaja, urlop na dni kilka, pędziliśmy pocztą do Piratyna odległego wiorst 80, żeby brać czynny udział w fetach i zabawach, jakie w tamtej okolicy zawsze się gdzieś organizowały. Jedną z takich ekskursyi odpokutowałem nawet dosyć ciężko. Po trzydniowym balu u państwa Tarnawskich w Kaczanówce, na który urlop sobie wyrobiłem, całe towarzystwo zaproszone zostało na drugą trzydniówkę w następnym tygodniu do Zakrzewskich, a potem zaraz na ostatki karnawału do Olchowskich. Panna Marya Sielecka, córka marszałka piratyńskiego powiatu, a siostra tego, który ostatniemi laty spełniał urząd gubernskiego marszałka w Kijowie, już nie z wyborów lecz z naznaczenia rządu, była tyle łaskawą na mnie, że przy ostatnim szalonym

mazurze w Kaczanówce, który tańcząc z nią prowadziłem, ofiarowała mi wszystkie pierwsze mazury na następujących balach. Pospieszywszy z powrotem do Periasławia, prosiłem usilnie pana podpułkownika o nowy urlop na dni 8, a gdy stanowczo odmówił przyzwolenia, składając się zaleceniem generała dywizji, żeby bez jego wiedzy junkrowie nie wydalali się nigdzie, prosiłem kolegów, żeby mnie podali za chorego, i ufny w skuteczność takiego wybiegu, popędziłem stawić się do zamówionych mazurów. Zabawy były świetne i karnawał zakończyliśmy bardzo przyjemnie i wesoło. Ale na biedę podpułkownik w chorobę moją nie uwierzył i, przekonawszy się o rzeczywistości, na odpoczynek po balach skazał mnie na dwa tygodnie służby podoficerskiej bez zmiany, w stajniach komendy junkrów, o dobre pół wiorsty za miastem w czystym polu położonych. Zawieje śnieżne i silne mrozy nie uprzyjemniały wcale tej rekolekcji dzień i noc w mundurze i przy szabli, lecz wspomnienia miłych chwil w mazurówem kole wynagradzały to sownie. Tylko przemrożone wówczas ręce i nogi dotąd jeszcze każdej ostrzejszej zimy ten wybryk młodości dokuczliwie na pamięć mi przywodzą.

Na wiosnę 1848 roku, zaszczycony rangą oficera, powróciłem do pułku, a wkrótce cała dywizya nasza otrzymała rozkaz wymarszu z Małorosyi do Królestwa polskiego.

Zacna staruszka, pani generałowa Olchowska, u której przez dwa lata pobytu naszego w Piratynie bywaliśmy bardzo często, gdyż gościnny dom jej był głównem ogniskiem licznych zebrań całej okolicy, na pożegnanie huzarów ogłosiła wielki bal u siebie. Trzy powiaty zjechało się na tę fetę, a przy ochoczych tańcach młodzieży niejedno tęskne westchnienie podsłuchać i łezki w pięknych oczkach dopatrzeć się można było. Ale znalazła się tam niestety i strona odwrotna, która o smutne następstwa nas przypawiła. Przy licznych toastach w czasie kolacyi, jeden z obywateli okolicy, p. Wiktor Zakrzewski, rozmarzony pieniącym się nektarem, którego wielkim był amatorem, gdy na wymysł nowego toastu konceptu mu nie stało, zaproponował bezmyślnie wychylenie kielicha za pomyślność nowo ogłoszonej francuskiej rzeczypospolitej. Na to siedzący obok niego porucznik Cichoński, równie podochocony libacją, odzywa się półgłosem: »Lepiej już, panowie, wypijmy na chwałę przyszłej rzeczypospolitej małorosyjskiej!« Oczywiście

ście nikt tego niewczesnego wniosku nie poparł i co prędzej wstano od stołu, żeby rzecz się zatarła. Tylko księżę Dołgoruki szepnął mi cicho: »Au nom du ciel, tachez de remettre, votre camarade à la raison, car vous pouvez avoivre tous, de grande désagrément». Ale w tej chwili tańce na nowo się rozpoczęły i nikt już więcej o nierozważnym wyskoku nie wspominał. Jakież więc zdziwienie nasze było, gdy w kilka tygodni potem generał-adjutant Aurep, wysłany przez cesarza, dopędził pułk nasz pod Żytomierzem i zacząwszy od pułkownika każdego z oficerów brał na indagację z osobna, wypytując o najmniejsze szczegóły tego wielkiego jakoby politycznego przestępstwa. Pokazało się, że pan marszałek powiatowy, dymisyonowany generał Sielecki, znajdujący się z córkami na tym balu u pani Olchowskiej, czuł się w obowiązku zaraportowania bezmyślnego zajścia przy kieliszku do szefa żandarmeryi w Petersburgu. Generał Aurep pojął całą bezzasadność tego i przyrzekł w rzeczywistem świetle rzecz, a bardziej nedorzeczną, monarsze przedstawić. Jednak zaledwie przyszliśmy do miasteczka Parczewa w Królestwie polskiem, gdzie pułk stanął kwaterą na zimowe leże, pułkownik Hochhausen

otrzymał dymisyę, stosownie zaś do ukazi cesarskiego Cichoński przeprowadzonym został do pułku ułanów czugujowskich w głębi Rosyi, a pięciu młodszych oficerów, w liczbie których i ja się znalazłem, przeniesiono do różnych pułków tej samej broni w całej armii. Ponieważ prócz Cichońskiego wszyscy byliśmy najzupełniej niewinni w całej tej głupiej sprawie, przypuszczać trzeba, iż tak znaczna liczba Polaków w pułku wywołała ten wielce przykry i dotkliwy dla nas rozkaz monarchy. W każdym razie był to skutek dwuletniej zażyłości i przyjaźnych stosunków z domem przedstawiciela szlachty powiatu piratyńskiego. Miłość prawdy nakazuje mi jednak dodać, że ten zacny dygnitarz w ogóle bardzo był tam nie lubiany, a dowiedzieliśmy się później, że córki ze łzami na kłęczkach go błagały, aby tego nikczemnego donosu nie wysłał. I Wiktorowi Zakrewskiemu płazem to nie uszło. Wezwany do Petersburga, musiał się osobiście stawić przed szefem żandarmów Dubeltun, ale że stary małoros sprytnie umiał się podszyć w głuptaszka, przytem powierzchowność miał rzeczywiście dosyć komiczną, udało mu się rozśmieszyć jenerała i otrzymał pozwolenie wrócić do domu, z ostrem zaleceniem, aby odtąd w za-

dne toasty z huzarami wdawać się nie ważył. Nabawiła go tedy chwilowa sympatya dla Francuzów po pianemu niemałego strachu i znacznych kosztów na przymusową podróż do stolicy.

Dla nas zaś nie biorących najmniejszego w tem udziału skutki o wiele dotkliwsiemi się okazały. Pułk huzarów następcy tronu, do którego przeniesiony zostałem, znajdował się w Warszawie, podróż więc była niebardzo daleka, ale odmiennej maści konie i inne mundury, wielki uszczerbek skromnej kasie mojej przyniosły, a najprzykrzejsze dla nas wszystkich było rozłączenie się z dobrymi kolegami, z którymi przez lat kilka w najszczerzej przyjaźni wesoło się przeżyło i tyle różnorodnych wrażeń w wspólnej pamięci się zapisało. Dymisya pocziwego dowódcy, który tak niesłusznie całą karierę utracił, także bolała nas niezmiernie; rzewne też było pożegnanie nasze przy odjeździe z pułku, a że pociechy i frasunki huzarów zarówno szampanem się oblewają, niezliczona więc liczba butelek pękła w Parczewie, jako strzemienne każdemu w inną drogę. Oprócz pułkownika inni bliżsi naczelnicy niewiele żalu po sobie nam zostawiali. Jenerał brygady Bagaut był bardzo porządną osobistością, wyzyskiwał tylko

kieszenie nasze w preferansa, do którego jun-
krów nawet zapraszał, a przegraną najczęściej
płacić zapominał. Jenerał zaś dywizyi Glazenap
niezły człowiek, ale bez taktu i powagi. Język
francuski, świeży mundurek i białe rękawiczki
więcej ważyły u niego, niż rzeczywista znajomość
służby. Czasami znowu miewał kaprysy, które
na śmieszność go narażały; raz naprzykład, kie-
dyśmy stali w Piratynie, wydał rozkaz do dywizyi,
że zważywszy: iż oficerowie pułku W. Ks. Olgi,
uczęszczając ciągle na bale i zabawy, doskonale
tańczą polki i mazury, pragnie przekonać się,
czy i w obowiązkach służby równie dobrze są
wyćwiczeni, poleca zatem, aby w oznaczonym
dniu wszyscy młodzi oficerowie tego pułku zebrali
się w Piratynie, gdzie on przybędzie dla sro-
giego egzaminu ze wszelkich ćwiczeń wojsko-
wych. Podrażniona tem młodzież postanawia
wyzwolić się od tych egzaminów figlem. Choroba
od służby uwolnić musi, na kilka dni więc przed
oznaczonym terminem, większa część młodszych
oficerów podaje raport o niezdroziu. Jenerał
zjeżdża, a widząc zaledwie kilkunastu zebranych
w maneżu, z gniewem i podziwieniem pyta puł-
kownika, dlaczego wedle jego rozkazu wszyscy
nie zebrani?

»Chorzy panie jenerale« — była odpowiedź.

»Jako chorzy?« — krzyknie jenerał. —

»O żadnej epidemii w pułku wiadomości nie miałem. Ja tych panów nauczę żartować z naczelnika«. I w największej pasyi wybiegł z maneużu, wsiadł do powozu i pojechał wprost z powrotem do Perejasławia, gdzie był sztab dywizyi.

Na trzeci dzień doktor dywizyi i podpułkownik hanowerskiego pułku, z polecenia jenerała przybyli do Piratyna na indagacyą. Badano wszystkich chorych oficerów z osobna, lecz przekonanie o udanem cierpieniu było trudne. Jednego zęby szalenie bolały i zepsuty ząb o tem świadczył, drugi dostał chwilowej niestrawności, inny bał się przeziębic w silnym katarze, który przy zachowaniu przeszedł szczęśliwie, ów zacządział, o czem przekonać może pęknięty piec w jego kwaterze. A u niektórych i jawna dolegliwość jakaś się znalazła i szczęśliwi byli, że mogli zasięgnąć światłej rady pana doktora dywizyi. Słowem wytłómaczyli się wszyscy i żadnych egzaminów już nie było.

Ale jenerał na biedę swoją o figlu tym zapamiętał. Przy nadejściu wiosny, gdy na kament cała dywizya zebrana była pod Perejasławiem, pierwszego dnia, podczas defilady

w ceremonialnym marszu, wszystkim pułkom dziękował generał i chwalił wzorowy ich porządek i zachowanie w szyku; dopiero gdy nasz pułk, czwarty z porządku, obok naczelnika przechodził, zatrzymał go na miejscu i wygłosił na całe gardło: »Żołnierze bardzo dobrze; panowie oficerowie obowiązku swego nie znają i za takie zaniedbanie służby skazuję wszystkich oficerów pułku na 24 godzin aresztu na odwachu miejscowym«. Była to zbyt jawna niekonsekwencya, gdyż rzeczywiście pułk prezentował się wzorowo, a jak wiadomo, oficerowie są w każdym razie odpowiedzialnymi za podkomendnych sobie żołnierzy. Orzeczenie więc takie nie zgadzało się z dyscypliną wojskową i było tylko niewczesnym objawem za wypłatanego figla przy zamierzonych egzaminach, a rozdrażniało tem bardziej, iż wobec całej dywizyi przed frontem zostało wygłoszone. Kiedy więc nazajutrz wyszedł dzienny rozkaz generała, żeby dla braku miejsca na odwachu aresztować naprzód samych tylko kornetów czyli podporuczników, których było 16, młodzież zabrawszy się z łózkami, stolikami i innymi sprzętami dla wygody, zajechała gromadnie przed odwach w rynku miasta, a nie mogąc się pomieścić w ciasnym odwachu, urządziła humo-

rystyczne widowisko tłumnie zebranej gawiedzi, rozlokowując się z licznymi manatkami na placformie odwachu pod gołym niebem. Dzień zeszedł jeszcze dosyć spokojnie, lecz z nadejściem nocy 16cie nastawionych samowarów kipiało z ponczem nieustannie, szampan lał się obficie, śpiewy, śmiechy i złożeczenia generałowi po całym rynku się rozlegały, a zaciekawione współstwo, gromadnie zebrane na ulicy, każdy wystrzał szampana i wesołe pieśni hucznymi oklaskami przyjmowało.

Następnego dnia pan generał, jakby nie wiedząc o niczem, pozostałym oficerom mniemaną winę łaskawie przebaczyć raczył. Na paradzie niedzielnej, przez nasz pułk dokonanej, znajdował już wszystko doskonałym i w dowód wielkiego zadowolenia raczył zaprosić cały corp oficerów na obiad do siebie.

Była to niejako rehabilitacya oficjalna, w uznaniu której koledzy moi przesadzali się w grzecznościach dla całego pół tuzina córek pana generała i odtąd pułk nasz wyjątkowymi względami jego się zaszczycał.

Trudno jednak nie przypuszczać, że w czasie indagacyi generał-adjutanta Aurepa poufne przedstawienie naczelnika dywizyi nie miało wpływu

na wybór przeniesionych oficerów z pułku. Bo chociaż ja, będąc jeszcze junkrem, do powyższych demonstracji nie należałem, mówiono mi potem, że generał, wyrażając się o mnie korzystnie, zarzucał mi tylko przyjaźń i mieszkanie na jednej kwaterze z Cichońskim, którego dla zarozumiałości i pyłkiego charakteru bardzo nie lubił. Inni zaś z przeniesionych, jak Ronikier, który zginął w kampanii tureckiej 1876. roku, Przedziecki i Radowicki, byli rzeczywiście wybitniejszymi osobistościami w pułku, a tacy zwykle w despotycznym rządzie podejrzany bywają.

W pułku następcy tronu, do którego ukaz cesarski mnie przeniósł, rodaków zastałem także kółko niemałe. Byli to przeważnie Podolacy i Wołynianie, ale jako synowie mniej zamożnych rodzin, nie mieli tu oni wybitniejszego znaczenia, jakiem dawniejsi koledzy moi się odznaczeni. Nie było też tej przewagi wobec innych żywiołów, jaką tam solidarność, samodzielność i wyższa towarzyska ogłada rodakom naszym nadawały.

W Warszawie staliśmy jeszcze całych 6 tygodni. Służba nie była wtedy bardzo miłą z powodu nocnych rozjazdów i placówek na znaczniejszych punktach miasta, z obawy ruchów

rewolucyjnych, które całą niemal Europę silnie minowały. Charakterystyczna też karykatura kursowała wówczas po świecie. Z butelki szampana, za wysadzonym korkiem, wylatywał w powietrze w koziołkach Ludwik Filip z rodziną, a za nim Guizot et compagnie. Z szumowiną przepełnionego piwem kufła lecieli na wszystkie strony: Ferdynand austriacki z Metternichem, Fryderyk pruski i liczni książęta rzeszy niemieckiej. Trzeci zaś wizerunek przedstawiał sztof spirytusu, opieczętowany kazonną¹⁾ pieczęcią, przyciśniętą silną dłonią cesarza Mikołaja, a w płynie jakby zamarynowany u spodu karny lud, nad nim policya i żołdactwo, kozacy z nahajami i cała zwierzchność wojskowa i cywilna.

Więcej jeszcze niż owe służby nocne nieprzyjemnymi dla nas były częste ordynanse u feldmarszałka Paszkiewicza na zamku i główny rozjazd z całym plutonem przez 24 godzin, przy ordynanshausie na saskim placu. Na zamku bowiem karmiono nas fatalnie, dźwiganie munduru huzarskiego w pełnej formie przez całą dobę wcale wygodnem nie było, a w ordynanshausie komendant Tutczyk, bardzo srogi i gburowaty

¹⁾ Rządową. Przyp. wyd.

za najmniejsze uchybienie regulaminu strofował ostremi i niewyszukanemi słowy.

Największą przyjemnością dla mnie była wtedy ekskursya pierwszy raz w życiu koleją żelazną do Częstochowy. Silnie przejęty i wzruszony pięknem nabożeństwem w kaplicy cudownego obrazu i tłumami pielgrzymów, bijących czołem u stóp ołtarza Przenajświętszej Patronki naszej, wymodliłem się też gorąco przez trzy dni pobytu, a nabywszy ładny i dość duży medalik z wizerunkiem Niebiańskiej Królowej kraju naszego, dotychczas nieprzerwanie noszę go na mej piersi.

Pod jesień otrzymaliśmy rozkaz wymarszu z Warszawy do Hrubieszowa. Dość silna cholera, która i mnie w szpony swoje chwytała, jako też reputowane błocko tej mieściny niewiele miłych wrażeń po sobie zostawiły. Miałem jednak przyjemność spotkania tam poczciwego doktora Domhera z Krzemieńca, który nabywszy niewielki mająteczek o kilka wiorst od Hrubieszowa zamieszkał, i poznałem niektórych obywateli z okolicy mianowicie: Grothusów, Podhorodeńskich, Skrzyńskich, Cieszkowskich i innych.

Na początku zimy dla strategicznych widoków niespodziewanie przeniesiono nas do Krze-

mieńca. Uszczęśliwiony tem pojechałem wprost do domu, ale nie zastawszy ojca w Semidubach, gdyż ożeniony powtórnie z Józefą Zaleską, córką Seweryna, bawił w jej dobrach Pilipach, w okolicach Berdyczowa, udałem się w tamte strony, a po przepędzeniu świąt Bożego Narodzenia z rodziną, powróciłem do pułku.

Krzemieńiec był bardzo ożywiony w tym roku. Karwicy, Szwejkowscy, Rzyszczewscy, Pruszyńscy, Mężyńscy, Jełowiccy i wiele innych domów obywatelskich zebrało się tam dla weselszego przepędzenia zimy. Kółko panien było wyborowe i liczne, a oprócz miejscowych młodzież pułkowa ochoczych danserów dostarczała sownie; cały więc karnawał bawiliśmy się bez przerwy doskonale, a i wielki post przy ciągłych rautach, szlichtadach i muzykalnych wieczorach zszedł mile i niepostrzeżenie.

W ciągu tej zimy w Krzemieńcu, oprócz bliższej znajomości z obywatelstwem okolicy, miałem zaszczyt być przedstawionym po raz pierwszy dwom tak wielce zasłużonym mężom Wołynia: księciu Romanowi Sanguszcze i pułkownikowi Marcinowi hr. Tarnowskiemu. Tego ostatniego widywałem wprawdzie będąc dzieckiem w domu mojego ojca i byłem raz w rezydencji

jego Berescach mając lat 10. Zaczny więc starzec przypomniał to sobie łaskawie i powitał mnie uprzejmie jako dawnego znajomego. Obok znanych w kraju wielkich zasług tego pana, była to osobistość niezmiernie miła i sympatyczna, a pomimo tak podeszłego już wieku lubił towarzystwo młodzieży i przez wszystkich bez wyjątku był wysoce szanowanym i kochanym. Książę Roman, jako pozbawiony słuchu, w liczniejszym zebraniu okazywał się smutnym i miał nieco ponure wejście, lecz w poufnym kółku znajomych ożywiało się i mówił sam dużo, a przy pomocy ołówka i rozrzuconych karteczek po stole wszyscy łatwo w rozmowie z nim udział brali.

Na święta Wielkanocne pojechałem do siostry Jodkowej na Podole, ale zmuszony byłem wracać co prędzej, gdyż wskutek ogłoszonego manifestu cesarza Mikołaja, którym deklarował pomoc Austrii przeciw Węgrom, korpus nasz wraz z innymi otrzymał rozkaz wymarszu za granicę.

III. Kampania węgierska.

Dnia 25. Kwietnia 1849. roku żegnani przez licznych znajomych, którzy aż za miasto nas przeprowadzili, wystąpiliśmy z Krzemieńca i na drugi dzień przeszliśmy granicę w Radziwiłłowie.

Nie podaję tu żadnych szczegółów politycznych ani strategicznych tej niepopularnej w rosyjskiem wojsku nawet kampanii, gdyż jako młody oficer armii zebrać i ocenić wszelkich czynności należycie nie mogłem. Sam cesarz Mikołaj zawyrokował o tem najlepiej, gdy, będąc później w Warszawie i z okien Łazienkowskiego pałacu spoglądając na konny monument Sobieskiego, miał jakoby powiedzieć: »Dwóch najnierozważniejszych królów miała Polska: Sobieskiego, który wyratował Austryaków pod Wiedniem, i mnie, który dałem im pomoc przeciw Węgom«.

Zostawiając przeto ocenę rzeczy kompetentniejszym, zanotuję tu tylko własne wrażenia i czynności oddziały, w którym kampanię odbywałem.

Na pierwszym zaraz noclegu w Brodach doznaliśmy w ogóle bardzo sympatycznego przyjęcia od mieszkańców Galicyi. Żydzi nawet w tem mieście z wielką gościnnością nas podejmowali i żadnego wynagrodzenia od oficerów, zakwaterowanych w ich domach, przyjmować nie chcieli. Obywatelstwo zaś pod bolesnem wrażeniem tak niedawnej jeszcze rzezi nie taילו się z życzeniem, aby Galicya do Rosyi przyłączoną być mogła. W dalszym marszu do Lwowa wypadł nam dzienny odpoczynek w miasteczku Zasowie¹⁾. Była to niedziela. Przechodząc z rana przez ulicę koło świątyni, w której nabożeństwo się odbywało, zaszedłem tam dla zmówienia pacierza. Okazało się, że to nie kościół katolicki lecz unicka cerkiew; przypomniały mi się dawne czasy w Łuczycach, gdzie dla odległości kościoła w niedzielę do miejscowej cerkwi uczęszczaliśmy z matką, i z przyjemnością do końca nabożeństwa pozostałem. Jakież jednak zdziwienie moje

¹⁾ Prawdopodobnie Sasów. Przep. wyd.

było, gdy ksiądz, odchodząc od ołtarza z krzyżem w rękę, podszedł wprost do mnie na środku cerkwi stojącego i z wielką uprzejmością mnie jednemu tylko podał krzyż do ucałowania. Tak jawna demonstracja przychylności dla munduru rosyjskiego przez tych, których wówczas władza krajowa protekcją zaszczycała, sądzę, że i dla rządu austriackiego niebardzo pochlebna być mogła.

Drugą wielką nieprzyjemnością dla mnie w Zasowie było opatrzenie się, że zgubiłem tyle drogi mi medalik z wizerunkiem Boga Rodzicy Częstochowskiej. Zasepiony tą stratą, która nasuwała myśl złej wróżby w spodziewanych bojach z Węgrami, ciągnąłem konno na uboczu przy szwadronie, gdy jeden z kolegów zbliżywszy się zaczyna opowiadać, że udało mu się kupić za cwancygiera śliczny medalik od żołnierza, który go znalazł na szosie. Okazało się, że to moja zguba, i medalik tak szczęśliwym trafem odzyskany jeszcze cenniejszym stał się od-tąd dla mnie.

We Lwowie, gdzie także tylko dzień jeden pułk się zatrzymał, ominięła mnie nadzieja zastania kogo z bliższej rodziny. Szukając wuja Ignacego, znalazłem innego Komorowskiego

tegoż imienia. Ten, nieznany mi daleki krewny mojej matki, przyjął mnie bardzo uprzejmie i cały dzień w rodzinie jego mile mi zeszedł.

Pod Przemysłem, korzystając z jednego dnia odpoczynku, odwiedziłem w Byble wdowę po dziadzie, generałową Komorowską, gdzie miałem przyjemność widzieć po raz ostatni staruszkę panią Czyżową, pod opieką której drobne jeszcze dzieci tak często zostawaliśmy w Łuczycach w czasie nieobecności rodziców.

Między Przemysłem a Duklą dano nam tydzień odpoczynku; bardzo to było potrzebne, gdyż większa część koni obozowych pod mantelzakami naszymi i niemało wierzchowych odsednionymi się okazały. Mój koń ciężarowy tak fatalnie był zepsuty, że zmuszony byłem wymieniać go z wielkim dodatkiem na innego. A choć wszelkie bryczki i wózki pod bagaże zabronione były srodze i tylko generałom i pułkownikom przysługiwało prawo powozu, ratując się w biedzie, żeby powtórnie konia nie tracić, kupiłem jednokonny wózek i, choć miałem stąd trochę kłopotu i nieprzyjemności, całą kampanię pakunki moje na nim przejeździły.

Pierwsze obozowanie i nocleg pod gołem niebem doświadczyliśmy pod Dubieckiem, wła-

snością hr. Krasickiego. Ulewny deszcz przez noc całą nie przyczyniał się do przyjemności tej pierwszej próby, a na biedę dla mnie wypadło mi być w tym dniu dyżurnym pułku. Rząd austriacki przyjął na siebie obowiązek dostarczania wojskom rosyjskim w ciągu marszu przez Galicyę słomy i opałowego drzewa, lecz tak jedno jak drugie nigdzie przygotowanem nie było. Pod Dubieckiem rozlokowano oddział nasz na polu obok folwarku i zabudowań gospodarskich właściciela. Przy ulewnym deszczu i błocie po kostki brak słomy i opału podwójnie był dotkliwym, żołnierze tedy, korzystając z bardzo ciemnej nocy, uwinęli się tak cicho i zręcznie, że dopiero przy rozświcie zdumiony rządcą pana Krasickiego spostrzegł, iż jednej stodoły mu nie stało.

Proces z wojskiem monarchy, który pomocy udzielał, trudny i drażliwy, nie wytaczał go też pan Krasicki i nazajutrz wyruszyliśmy dalej. W kilka dni dopiero, gdy nasz generał korpusu przejeżdżając przez Dubiecko nocował w pałacu, poszkodowany właściciel opowiedział mu dziwny wypadek zniknięcia stodoły, nadmieniając, że pułk huzarów następcy tronu najbliższej tego budynku owej nocy był rozlokowany. Na takiej

zasadzie pan generał wysłał srogi rozkaz do dowódcy pułku naszego, żeby niezwłocznie odkomenderował oficera z powrotem do Dubiecka dla ocenienia i wynagrodzenia szkody.

Naczelnik pułku, generał Einanten, wpadł nieszczęśliwie na myśl, że ja, jako były dyżurny a mający krewnych, więc zapewne i dużo znajomych w Galicyi, najwłaściwiej i najłatwiej interes ten przeprowadzić mogę. Dano mi tedy rozkaz na piśmie, a nie udzielając najmniejszych funduszów dla wynagrodzenia szkody, zalecono koniecznie przywieść pokwitowanie pana Krasickiego, że żadnej pretensyi do pułku nie ma.

Zafrasowany wielce tak trudnem i drażliwem zadaniem, wlokąc się na pocztowym wózku do Dubiecka, przemyślałem nad praktycznem wywiązaniem się z polecenia. Gdyby chodziło o paręset guldenów, chętnie własnymi, choć bardzo ograniczonymi środkami, wykupiłbym się od przykrej i upokarzającej misyi, ale o odbudowaniu stodoły funduszami szczupłej kasy oficerskiej marzyć było niepodobna. W takim więc smutnem położeniu bez wyjścia widziałem się zmuszonym wystąpić w roli przebiegłego adwokata. Gdyby jeszcze pan Krasicki przyjął mnie gościnnie w domu swoim, z pewnością

nie potrafiłbym wypłacić mu długu wdzięczności wykrętami, ale kiedy po całodziennej nużącej podróży bez posiłku ofiarowano mi w pałacu za całe jadro filiżankę kawy, a potem na zły nocleg odprowadzono do komisaryi, głodny i zirytowany postanowiłem wywzajemnić się równą monetą.

Nazajutrz tedy gdy mi galonowany sługa oznajmił, że hrabia prosi do siebie, aby razem pojechać dla opatrzenia i ocenienia szkody, udałem się do pałacu i oznajmiłem gospodarzowi, że przede wszystkim potrzebuję wiedzieć, jakie dowody posiada hrabia, iż stodoła przez żołnierzy naszego a nie innego pułku rozebrana i zniszczoną została?

»Rzecz prosta i jawna — powiada pan Krasicki — gdyż jak wiadomo panu porucznikowi, ten pułk właśnie najbliżej obok budynku tego obozował«.

»Daruje mi hrabia, odrzekłem, lecz argument taki dowodzi przeciwnie. Wedle przysłowia wiadomo, że wilk w bliskości gniazda nigdy szkody nie wyrządza, a że żołnierz w czasie wojennym ma dużo z natury wilka, jasne więc dla mnie, iż sama obawa podejrzenia z powodu sąsiedztwa nie dozwalała żołnierzom mojego

pułku dopuścić się takiej psoty, i silnie przeświadczony jestem, że posądzenie hrabiego mylne, a prędzej może to być sprawka ułanów, kozaków lub artyleryi, którzy nieco dalej rozlokowani, przewidywali łątko większą trudność podejrzenia«.

»Mniejsza o to, kto mianowicie był sprawcą wyrządzonej mi szkody, lecz przecież przybyłeś pan z polecenia generała korpusu, żeby ją ocenić i bonifikować«.

»Tak, panie hrabio, ale dlatego właśnie muszę żądać dowodów«.

»Ja panu stu świadków postawię, że po waszym tu noclegu stodoły mojej nie stało«.

»I bez świadków, niestety, przekonany o tem jestem, ale ja proszę o dowody, na zasadzie których hrabia pułk nasz obwinia«.

»Wyłącznych na to dowodów żadnych nie mam«.

»Pozwoli więc hrabia, że i zasady bonifikaty dojrzeć nie mogę«.

»Więc pocóż pan przyjechałeś?«

»Polecono mi wyjaśnić rzecz należycie, a potem dopiero wedle tego postąpić«.

»Ależ przecie sam pan przeświadczonym jesteś, że wasi żołnierze tę psotę wyrządzili«.

»Najzupelniej, lecz każdy pułk odpowiada tylko za siebie«.

»Mogę więc obwiniać wszystkie pułki razem«.

»Bardzo słusznie, lecz każdy z osobna o dowody prosić będzie«.

»A że wyjątkowych dowodów nie mam, to nikt mi nie zapłaci«.

»Sądzę, że hrabia sam uzna słusność takiego wyniku wobec każdej jednostki i zbiorowej korporacji, która o swej winie przekonana nie została«.

»Więc mam zaniechać poszukiwań mej szkody?«

»Bynajmniej, mniemam tylko że inny obrót rzeczy nadać wypada. Wiadomo hrabiemu, iż rząd austriacki ma obowiązek dostarczania nam słomy i opału w Galicyi. Udowodnić łatwo, że tego jak nigdzie, tak i tu nie dopełnił; przechodzące wojska rosyjskie, pozbawione w czasie słotnej nocy tak nieodzownych zasobów, dopuściły się nadużycia, które miejscowa władza stwierdzić może; najsluszniej tedy bonifikata hrabiemu nie od nas, ale od rządu austriackiego przysądzoną być powinna«.

»Może pan masz rację, nie pojmuję jednak, po co mianowicie delegowanym tu zostałeś?«

»Wytłómaczę to panu hrabiemu niezwłocznie. Obwiniłeś pan przed korpuśnym generałem pułk nasz wyraźnie, polecono mi tedy sprawdzić to na miejscu. Kiedy zaś okazuje się jawnie, że dowodów na dokonany czyn przez żołnierzy pułku naszego nie ma, obowiązkiem moim prosić hrabiego o wydanie mi deklaracji na piśmie, że chociaż rzeczywiście w czasie noclegu oddziału wojsk rosyjskich stodoła zniszczoną została, dla braku dowodów, jaki mianowicie pułk tę szkodę wyrządził, hrabia do naszego pułku »żadnej o to pretensyi nie ma i mieć nie może«.

Oponował długo pan Krasicki tak jałowej dla niego konkluzyi, ale oświadczyłem stanowczo, że bez takiego dokumentu odjechać nie mogę.

Znudzony zapewne obecnością moją podpisał, co chciałem i na tem sprawa ulotnionej stodoły się skończyła.

Co do gościnności, może dlatego filiżanka hrabiowskiej kawy więcej mnie tu podrażniła, że w ogóle obywatelstwo galicyjskie szczerze i uprzejmie nas podejmowało, polacy zaś w wojsku rosyjskiem z serdecznością nawet w ich domach przyjmowani byli. W czasie tygodniowego odpoczynku w Sanockiem bywałem co

dziennym gościem u państwa Łępickich, a choć nie przypominam sobie nazwiska majątku, przechowuję w mem sercu wdzięczność dla godnej siostry pana Łępickiego, która po tygodniowej uprzejmej gościnności całą wiązaną różnymi zapasów na drogę mnie obdarzyła. Krążek spory bulionu, który między innymi wiktuałami od niej się znalazł, niejednokrotnie w czasie kampanii nie tylko mnie lecz i kolegów szwadronu od głodu ochronił.

Pan Łępicki był jedną z licznych niewinnych ofiar niecnej rzezi. Namówiona tłuszcza napadła dom jego w nocy, wywleczonego z łóżka w jednej koszuli, zbito drągami tak, że przytomność stracił. Omdlałego przywiązano do sanek na wznak i z wlokącą się głową po ziemi popędzono dwie mile do cyrkułowego miasteczka. Tam oddany komisarzowi, wrzucony został wraz z innymi rannymi i trupami do szopy, skąd po okropnych męczarniach dopiero na drugi dzień uwolniony został. Biedak od silnych razów w głowę ogłuchł prawie zupełnie. Nieszczęśliwa jego żona wyskoczywszy z łóżka uciekła tylnymi drzwiami do ogrodu, a stamtąd do przyległego lasu. Po długich poszukiwaniach znaleziono ją skuloną w śniegu pod drzewem;

była pozbawioną zmysłów i wkrótce potem umarła.

Tym podobnych okropności nasłuchaliśmy się tam b \acute{e} z miary, nic wi \acute{e} c dziwnego, że ze wstr \acute{e} tem i oburzeniem szliśmy na t \acute{e} wypraw \acute{e} , przy ka \acute{z} dej za \acute{s} okoliczno \acute{s} ci upominali \acute{s} my srodze wło \acute{s} cian, że się podobnych bezprawio \acute{w} dopuszczali. Jedni z nich milczeli ponuro lub wypierali się udzia \acute{l} u, a drudzy tłumaczyli się tem, i \acute{z} to przez w \acute{l} adz \acute{e} nakazanem by \acute{l} o i że w cyrku \acute{l} ach p \acute{l} acono za trupa szlachcica 10, a za żywego 5 guldeno \acute{w} . Ten szczeg \acute{o} ł niejednokrotnie od wło \acute{s} cian na w \acute{l} asne uszy s \acute{l} ysza \acute{l} em.

Przy przej \acute{s} ciu g \acute{o} r, oddzielaj \acute{a} cych Galicy \acute{e} od W \acute{e} gier, zabawne spotka \acute{l} o mnie zdarzenie. Nocuj \acute{a} c sam jeden w do \acute{s} c n \acute{e} dznej chacie rozrzuconej wioski w g \acute{o} rach i lasach, zosta \acute{l} em przebudzony wyra \acute{z} nym cho \acute{c} bardzo ostro \acute{z} nym dobywaniem się do okna, kt \acute{o} re nad mojem po \acute{s} łaniem się znajdowa \acute{l} o. Siadam na ł \acute{o} zku, przys \acute{l} uchuj \acute{e} się lepiej, a dostrzeg \acute{l} szy w tafelkach okna cie $\acute{n$ niby g \acute{l} owy, podejrzewaj \acute{a} c zł \acute{o} dzieja lub zasadzk \acute{e} , si \acute{e} gn \acute{a} łem jak najciszej po stoj \acute{a} c przy po \acute{s} łaniu pa \acute{l} asz i dobywszy go bez szmeru, z broni \acute{a} w r \acute{e} ku czekam, co dalej b \acute{e} dzie. Usi \acute{l} owania, by wyrwa \acute{c} , jak mi się zdawa \acute{l} o, okno,

trwały jeszcze niemal minut kilka, w końcu usuwają się tafelki i pada coś na moje łóżko. Uderzam płazem pałasza w to miejsce, a żałosne miauczenie kota przekonywa mnie, że on nie chybił i że on nie kto inny był sprawcą tego wtargnięcia do mojej kwatery. Pokazało się, że biedny kotek domowy, wyrzucony z powodu mnie, umiał odsuwać małe okienko chaty i niebaczny na wojenną załogę pana porucznika czuł się w prawie odzyskania zwykłego legowiska swojego za piecem. Ucieszyło mnie bardzo zrana przekonanie, że mądrymu kotowi nic złego się nie stało.

Przejście przez Karpaty było dosyć uciążliwe dla kawaleryi, gdyż musieliśmy zabierać na trzy dni owies i siano dla koni; żołnierze przeto, prowadząc wierzchowce w rękę, przebywali góry piechotą.

W pierwszych zaraz wioskach na granicy węgierskiej zastaliśmy jeszcze świeże napisy kredą na drzwiach chat włościańskich i innych pomieszkań, świadczące o niedawnym tam kwaterunku legionu polskiego; były tam nazwiska Dąbrowskiego, Ponińskiego, Fredry i wielu innych. Przykre to niezmiernie na nas Polakach wrażenie wywierało. Nie pojmwaliśmy, dlaczego

ze strony Węgrów żadnej przeszkody, tak łatwej w górach, nam nie stawiano, ale razem szczęśliwi byliśmy, że nie przychodziło nam na samym wstępie walczyć z rodakami.

Przeszedłszy Bardiów i Koszyce, odebrałszy rozkaz spieszyć do Preszowa, gdzie oddział I. korpusu, który nas wyprzedził, miał pierwsze starcie z Węgry na ulicach tego miasta a potem w polu. Dawny mój pułk był tam głównie czynnym; pod kolegą Mikulskim mojego ulubionego wierzchowca, którego mu przy wyjeździe z pułku Olgi odstąpiłem, zabito, a on sam lekko ranny z kilku innymi oficerami tegoż pułku, rannymi w szarży na pałasze, znajdował się w szpitalu miasta. Jednego tylko majora Holstejna zrabali tam huzarzy węgierscy na śmierć. Stamtąd bez przeszkody doszliśmy do miasteczka Torczala pod Tokajem. Tu cały tydzień odpoczynku zszedł mi bardzo przyjemnie na kwaterze u młodej wdowy, która karmiła mnie doskonale i poiła dobrem winem pięknej winnicy swojej. Wyuczyła mnie ona wiele frazesów po węgiersku, zapomocą których jednałem sobie niejednokrotnie sympatyę i przychylność mieszkańców. Była to zagorzała patriotka, a dowiedziawszy się, że jestem Polakiem i nie-

nawidząc Austryaków sprzyjam szczerze jej rodakom, zalecała, żeby nawet w boju przy spotkaniu z Węgrami wygłosić dwa słowa: »Lengel wodiung«, co znaczy, jestem Polak, a z pewnością włos mi z głowy nie spadnie. Wywdzięczając się za przyjazną gościnność tej pani, pilnowałem dzień i noc, aby żołdactwo najmniejszej szkody jej nie wyrządziło. Dla ulżenia mi w tem zadaniu, które rzeczywiście ciągłej czujności w owocowym sadzie, wielkiej pasiece i rozległej winnicy wymagało, wpadła ona na doskonały koncept wywieszania mundurów moich i innych oznak oficerskich w różnych miejscach obejścia swojego. Żołnierze widząc takowe już zbliżać się nie odważali; nieraz też czapki, ładownicy, pałasza lub giwera doszukać się nie mogłem, gdyż dobra pani M. O. i sąsiadom je rozdawała.

Po tygodniowym wypoczynku, za ledwie wyciągnęły się pułki po szosie ku Tokajowi, nadbiegł stamtąd ordynans jenerała korpusu Czigadajewa z rozkazem pośpiechu, gdyż oddział węgierski, z Debreczyna wysłany, przeprawie przez most na rzece Teisie (Cisa) opór stawia. Ruszyliśmy tedy forsownym marszem, a na odgłos coraz gęstszych strzałów działowych kawalerya, sformowawszy się po sześć od prawego, i konna

artylerya kłusem kilka wiorst do miejsca związanej walki z awangardą naszą przebiegła. Pomoc ta jednak niepotrzebną już była, gdyż Węgrzy spaliwszy drewniany most pod Tokajem, ostrzeliwując się tylko wpływ wysłanym Kozakom, ku Debreczynowi się cofnęli. Naprawa mostu dla braku materiałów dłuższego czasu wymagała, staliśmy więc obozem pod Tokajem przez dni kilka. Ciągłe deszcze dokuczały tam niemiłosiernie, przytem cholera, zapewne wskutek niedojrzałych winogron, z których żołnierze barszcz sobie gotowali, dość silnie we wszystkich pułkach grasować zaczęła. Radzi więc byliśmy, jak urządzony most dozwolił ruszyć się z rozgrzęzionego niezmiernie legowiska. Podczas przeprawy przez most wielki był kłopot z wózkami i bryczkami obozowemi, których z powodu odsednionych koni coraz więcej się namnożyło. O dobrą wiorstę odsunęliśmy się już od rzeki, gdy służący dał mi znać, że pomimo usilnych próśb wszystkie pociągi niższych oficerów zatrzymano u mostu. Wracam co prędzej w nadziei, że uda mi się wyjednać pozwolenie u strzegącego przeprawy oficera choć dla mojego jednego wózka, ale uparty piechur składa się srogiem rozporządzeniem wyższej władzy i radzi

udać się do generała, czasowego komendanta w Tokaju. Na szczęście był nim dobrze mi znany jeszcze z Dubna, częsty gość w domu mojego ojca, generał Biełogurcew. Otrzymałszy od niego pisemne zalecenie, żeby mi żadnych trudności nie robiono, tak zaimponowałem tem piechotnemu koledze, że nie tylko mój ale wszystkie znane mi pociągi naszego pułku przepuścił.

Widać, że siły węgierskie były tu niedostateczne, gdyż do Debreczyna dano nam wejść bez wystrzału. Ta druga stolica Węgier dosyć rozległa i niezłe zabudowana, ale zupełny brak bruku bardzo nieawantażownie miasto przedstawiał. Artylerya i ciężary grzęzły tam w bezdennem błocie wśród niezmiernie szerokich ulic. Tu znowu zatrzymano nas dni kilka, pułki stały obozem w polu, ale większa część oficerów dla lepszego posiłku i wygody garnęła się do miasta. Mieszkańców nie widać było zupełnie, majątniejsi powyjeżdżali w głąb kraju, a reszta kryła się w zamkniętych domach, ze szczelnie zamkniętymi żaluzyami. Jedyne więc miejsca oparcia naszego były hotele i restauracye. Dla rozweślenia przygrywała nam w czasie obiadów i wieczorami niezła muzyka z cyganów złożona. A najoryginalniejsze w tem było, że cały reper-

tuar orkiestry, prócz czardaszów i marszu Kosuta, składał się z samych prawie patriotycznych pieśni naszych z 1831. roku. »Grzmia pod Stoczkiem armaty«, »Jeszcze Polska nie zginęła«, »Nasz Skrzynecki wojak« i tym podobne marsze i mazury z wielką werwą odgrywane rozlegały się nieustannie wśród tłumnie zebranego oficerstwa różnej broni, tej armii samowładcy północy, która na stłumienie wszelkich marzeń swobody wysłaną była.

Wystąpiwszy z Debreczyna, kręciliśmy się przez cały miesiąc między Mezökeweczem, Myszkołcem i wsią Kapolną, wsławioną dwukrotnem tam pobiciem Austryaków przez powstańców węgierskich. Widocznie przeznaczeniem naszym było trzymać ciągle w szachu siły węgierskie, gdy feldmarszałek Paszkiewicz z główną operacyjną armią zamierzał zadać im cios stanowczy pod murami Debreczyna.

W czasie tych nieustannych marszów i kontrmarszów różne przygody nas spotykały. Tragicomiczny wypadek spotkał tam pułk huzarów arcyksięcia Ferdynanda z brygady naszej. W marszu przez rozległe stepy dowódca pułku, pułkownik Gulanko, dostrzegł w oddali od drogi stożek siana, którego brak czuć się nam dawał.

Otrzymałszy przyzwolenie generała dywizyi Zassa, zwrócił cały swój pułk ku stożkowi dla zabrania pożądaney zdobyczy. W chwili, gdy żołnierze zsiadłszy z koni i przewiesiwszy odpięte pałasze i karabiny na kulbakach, zostawiając jednego szeregowca na pięć wierzchowców, pospieszili rozbierać siano, nieszczęśliwy zając, wypłoszony siłą zbrojną z kotliny pod stożkiem, w szalonym pędzie wpada pod nogi rumaków. Przerażone konie rwą z kopyta, karabiny i pałasze tłuką je i kaleczą, krzyk żołnierzy dopełnia zamieszania, i w jednej chwili cały pułk rozlatuje się na cztery wiatry a osoviała gromada żołnierzy bez broni zostaje wśród stepu w najkrytyczniejszym położeniu. Gwar niezwykły i tentent uciekających koni wywołują trwogę zasadzki i napadu w całym oddziale. Bębnią i trąbią na alarm we wszystkich pułkach, ordynanse lecą dla zbadania katastrofy, i ja między nimi miałem zaszczyt odraportować pierwszy panu naczelnikowi dywizyi, że jeden węgierski zając cały pułk huzarów rozbroił i zdemontował. — Dwie sotnie wysłanych kozaków do późnego wieczoru łapały rozhukane po stepie konie; kilkunastu jednak odszukać nie zdołano, a połama-

nych pałaszy i karabinów i porwanych rynsztunków było bez liku.

Za drugą czy trzecią bytnością naszą pod Kapolną, w pierwszych godzinach nocy naczelnik oddziału Zass został zawiadomiony przez szpiegów, że Węgrzy z przemagającą siłą okrążyć nas zamierzają. Dla uniknięcia takiej niespodzianki zebrana rada wojenna postanowiła, nie odkładając jednej chwili, cofnąć się do głównych sił naszych w Myszkolcu. Wydano natychmiast odpowiednie rozkazy i wśród ciemnej nocy, podnieciwszy bardziej jeszcze rozpalone ogniska w obozie dla omylenia wroga, cały oddział w możliwej cichości wyciągnął ku Myszkolcowi. Odszedłszy spory kawał drogi przypomniano sobie dopiero, że rozesłane awanposty o niczem nie wiedzą. Jako stały ordynansowy oficer przy jenerale Zassie zostałem wysłany z powrotem do opuszczonego obozowiska, żeby doczekawszy ściągnięcia nadedniem awanpostów pospieszyć co prędzej za oddziałem. Wydając mi ten rozkaz, dodał jenerał: »Weź pan z sobą jednego żołnierza, starajcie się podtrzymywać ogniska i patrz dobrze, żebyś w cudze ręce się nie dostał«. »Bóg łaskaw ochroni, panie jenerale« odrzekłem i nawróciłem do Kapolna.

Czas dłużył się w oczekiwaniu przy dogorywającym ognisku, gdy szczęk broni doleciał uszu moich z oddali. Odskokczywszy od światła, żeby nie być na widoku, szepnąłem do żołnierza: »Przypatruj się pilnie, czy to moi, czy Węgrzy?«
»Klnę się na Boga, Węgrzy, panie poruczniku, uciekajmy!« — Nie dowierzając strachowi młodszego żołnierza wyteżyłem wzrok wśród pierwszego brzasku jutrzemki a bielejące siwosze ferdynandskiego pułku, który dnia tego pełnił służbę awanpostową, przekonały mnie, że u stracha wielkie a bardziej niepewne oczy. Pospieszam na ich spotkanie, a koledzy Artur Russanowski i Zagórski pytają zdumieni, co się stało z całym oddziałem. »Wymordowali wszystkich Węgrzy, ja jeden tylko szczęśliwie ocalałem, — mówię im żartobliwie, — lecz nie traćmy czasu, żeby na prawdę bieda nas tu nie spotkała, gdyż oddział chyba pod samym Myszkolcem już napędzimy«. Rzeczywiście, szliśmy dzień cały bez odpoczynku i dopiero o zachodzie słońca połączyliśmy się ze swoimi.

Znajomość języka niemieckiego i poduczenie się mniej więcej węgierskiego było powodem, że bardzo często polecano mi furażerówkę owsa, chleba, krup i słoniny po odleglejszych wioskach

okolicy, któraśmy przebywali. Dwudziestu kilku żołnierzy z podoficerami składało zwykle komendę moją. Przybywając do wsi, zajeżdżałem wprost do dworu, lub w braku takowego na plebańię; wezwany wójt gminy (biro) otrzymywał stosowny rozkaz, a że komendzie mojej prócz nakarmienia najmniejszego nadużycia popełnić nie dozwalałem, w kilka godzin wyładowane wozy prowizyami, jakich wieś udzielić mogła, były już w pogotowiu. Czy szczerze były oznaki przychylności, ręczyć nie będę, wszędzie jednak bez wyjątku doznawałem uprzejmego i gościnnego przyjęcia. Nieraz, gdy wypadł nocleg, bieliznę mi wyprano, butelka moja podróżna zawsze była napełniona lepszym węgrzynem, za który pomimo nalegań zapłaty nie przyjmowali, a jeden staruszek ksiądz taką sympatyę powziął do mnie, że odprowadziwszy piechotę wiorst kilka, przy pożegnaniu powiada mi z rozrzewnieniem: »Ich segne dich, mein Sohn, du sollst glücklich sein«. — Raz tylko jeden komenda moja, dorwawszy się śliwowicy (wódki), podchmielona dobrze zaczęła plondrować po chatach, ale z nahajką kozacką w jednej a pistoletem w drugiej ręce przyprowadziłem wkrótce

rabusiów do porządku; za przybyciem zaś do pułku winniejsi dla przykładu ukarani zostali.

Pierwsze krwawe spotkanie oddziału naszego z Węgrami miało miejsce pod wsią Garsani 11. Lipca, a na drugi dzień pod wsią Gierunboli. W tych dwóch potyczkach czynnego udziału nie brałem, gdyż pułk nasz z innymi formował rezerwę, dopiero na trzeci dzień pod wsią Zołcą przypadło nam w udziale stać przez cały prawie dzień okrutnej spiekoty letniej w asekuracyi dział, które tam grały 12 godzin z rzędu. Lekka artylerya kozacka zdemonstrowaną tam została po kilkunastu wystrzałach, nasza ucierpiała także niemało; dopiero rakietnicy austriacy, spaliwszy wieś Zołcę, pod zasłoną której prażyły baterye węgierskie, i ciężka artylerya rosyjska zmusiły dzielnych madziarów do odwrotu; dokonali tego jednak już po zachodzie słońca w największym porządku. A my po zagrzebaniu trupów i zabraniu rannych cofnęliśmy się na noc do przyległego Myszkolca.

Nazajutrz generał Czigadajew z głównymi siłami wyruszył w tropy powstańców ku Peterwardainowi, a generał Zass z brygadą kawaleryi, pułkiem kozaków i baterją lekkiej artyleryi miał zlecenie bocznemi drogami odciąć lub okrążyć

lewe ich skrzydło. Nasz pułk składał część tego oddziału. Miejscowość górzysta i okryta lasami nakazywała baczność podwójną; dwa szwadrony pułku naszego pod dowództwem podpułkownika Zasickiego, rozciągnięte łańcuchem, plondrowały przydrożne lasy. Zasicki wiedząc, że mam niezłą perspektywę zawsze w kieszeni, polecił mi nie oddalać się od niego. Z pagórka wyrąbanego lasu dostrzegliśmy na przeciwległym wzgórzu niewielki oddział kawaleryi, stojący w miejscu. Przez lunetę nawet niepodobna było rozpoznać, czy to Węgrzy, czy Kozacy wysłani na rekonesans. Ofiarowałem się poskoczyć naprzód, dla stanowczego przekonania się o tem. »Kiedy ochota, ruszaj w imię Boże, — powiada mi podpułkownik, — ja mam żonę i dzieci, bez potrzeby ani siebie ani komendy mojej narażać nie myślę i zatrzymam się tu do powrotu pana«. Zaledwie kilka tysięcy kroków naprzód się posunąłem, rozległ się strzał z pistoletu z krzaków i konna pikietta pomknęła w tył ku oddziałowi na wzgórzu. Dowód był jawny i przekonujący, pospieszyłem więc z pewną wiadomością, a gdy Węgrzy, unikając widocznie spotkania, cofnęli się i znikli za górą, przeszliśmy jary i lasy bez przeszkody i wydostawszy się

na otwartą równinę, połączyliśmy się z naszym oddziałem pod wsią Nijek już przy zachodzie słońca. Nie mając żadnej wiadomości o czynnościach głównych sił korpusu i miarkując tylko ze słyszanych przez cały dzień strzałów o posuwaniu się takowego równolegle z nami, generał Zass wysłał mnie do naczelnika korpusu po nowe rozkazy. Misya była wcale niezabawna. Góry i głębokie jary przedzielały nas od przypuszczalnego miejsca, w jakim korpus znajdować się musiał. Oficer inżynierji wskazał mi pozycję okolicy na karcie topograficznej. Wziawszy żołnierza ze sobą wyruszyłem we właściwym kierunku na los szczęścia. W małej osadzie pod lasem przy pomocy danego guldena z góry a przyrzeczonego drugiego znalazłem przewodnika, który pomimo dość ciemnej nocy przeprowadził mnie szczęśliwie przez góry i lasy na szosę debreczyńską, gdzie przy rozświcie spotkane obozy korpusu wskazały mi miejsce głównej kwatery.

Węgrzy cofnęli się spieszenie na całej linii, bez poważniejszego starcia posuwaliśmy się tedy za nimi znowu ku Debreczynowi i weszliśmy do tego miasta na drugi dzień po krwawej rozprawie feldmarszałka Paszkiewicza z całą

armią Giergieja. W tej morderczej bitwie dowódca 1go korpusu generał Kupryjanow stracił nogę od kuli działowej, a generał dywizyi Glazenap z całym pułkiem smoleńskim ułanów tak się zabłąkał w polu kukurudzy, że rozesłani na wszystkie strony adjutanci i ordynanse Paszkiewicza przez cały dzień odszukać go nie mogli. Pomawiano generała, iż to zrobił z umysłu dla uniknięcia zbyt trafnych strzałów artylerji węgierskiej, a musiało być w tem nieco prawdy, gdyż rozgniewany feldmarszałek kazał mu się podać do dymisyi.

Po tej bitwie ostatecznej Węgrzy zwrócili się ku Groswardajnowi, i widząc niemożność dalszego boju, złożyli tam broń przed ścigającym ich korpusem generała Rittigera. Przy układach o tę smutną ostateczność z Giergiejem feldmarszałek jakoby zaręczył danem słowem, że wyjedna ogólną amnestyę dla wszystkich powstańców bez wyjątku, rząd jednak austriacki nie czuł się w obowiązku dotrzymania zobowiązań głównodowodzącego armią sprzymierzeńca i 36 generałów węgierskich skończyło waleczny żywot na szubienicy w Aradzie. Wykonawca tych wyroków generał Hainau odpokutował to potem, jak wiadomo, w browarze

londyńskim, przy zwiedzaniu którego zelżony i zbity przez robotników ledwie z życiem uciec zdołał.

Oburzenie też w całej armii rosyjskiej było niezmierne i przy każdym spotkaniu z oficerami austriackimi bez ostrych przymówek i pojedynków nigdy prawie się nie obchodziło. W Groswardajnie, pod okiem feldmarszałka, porucznik Karp z ferdynandskiego pułku huzarów, wyzwany przez oficera austriackiego, trupem go położył. A kiedy generał austriacki poszedł ze skargą do Paszkiewicza, ten powiedział mu z ironią: »Źle pan generał jesteś uwiadomionym, gdyż ja wiem z pewnością, że wasz major rażony został apopleksją«. Karp zaś wkrótce dostał order i awans na sztabsrotmistrza.

Do Debreczyna nadjechał wielki księżę Konstanty i z owacyami go tam przyjmowano. W czasie pochodu z pochodniami pod okna mieszkania, jakie zajmował, ta sama muzyka cyganów, która nas rozweselała, i jemu między innymi odegrała bojowego mazura »Grzmia pod Stoczkiem armaty«. Przypuszczam, że nuta i pieśń nieznanemi mu były, ale dla nas Polaków pociecha stąd była wielka.

Po odjeździe wielkiego księcia rozlokowano pułki na dwutygodniowy odpoczynek w dalszej okolicy miasta. Nam dostała się w udziale duża wieś Nagy-Kalo. Kwaterowałem tam we dworze częściowego dziedzica i szczerze zaprzyjaźniłem się z całą rodziną jego. Przy końcu dwóch tygodni otrzymany rozkaz wymarszu z marszrutą na Munkacz, Stryj, Brzeżany, na zimowe leże do Tarnopola, ruszył nas z miejsca. Mianowany kwatermistrzem dla pułku i sztabu dywizji pociągnąłem z komendą 24 godzin naprzód. Nie miły to był obowiązek, gdyż najczęściej w nocy marsze odbywać przychodziło, a rozkwaterowanie wyższych panów naczelników nieraz narażało na wymówki i niezadowolenia. Wywiązywałem się jednak z zadania dosyć dobrze, i kiedyśmy dochodzili do Stryja, generał dywizji Zass objawił życzenie, aby wysłano mnie naprzód do Tarnopola dla zajęcia kwater dla całej dywizji. Stosowne rozporządzenie było już wydane, kiedy w Stryju otrzymany został rozkaz sztafeta, żeby bez zatrzymywania się dłuższego w Tarnopolu powracać na Wołoczyska do kraju. Było to podobno niezłomne choć poufne żądanie Anglii i innych mocarstw europejskich, które się obawiały, aby zamierzone zimo-

wanie nasze w Galicyi zbyt długo się nie przeciągnęło. Francuskie przysłowie: »ce qui est bon à tenir, est bon à garder«, musiało zapewne wzbudzać obawy naruszenia równowagi europejskiej w przyszłości. I bez wątpienia Austria sama się o to postarała, żeby wspaniałomyślny jej obrońca nie zapragnął skorzystać z okazywanej wówczas sympatyi tak Węgrów jak i Galicyan.

Zawiedziony w nadziei, że w czasie zimy będę mógł przepędzić dłuższy czas u bliskich krewnych w Galicyi, wyrobiłem sobie urlop na dni kilkanaście i ze Stryja pojechałem przez Lwów do Łuczyc, gdzie mieszkała ciotka Franciszka Komorowska, a stamtąd w Złoczowskiem odwiedziłem wuja Ignacego.

Przy odjeździe ze Stryja zaskoczyła mnie bardzo drażliwa propozycya rotmistrza naszego pułku barona Korffa, abym zabrał z sobą do Lwowa, w charakterze niby słuźącego, niejakiego majora węgierskiego, który jako dezertter z wojska austriackiego uciekając przed groźącym mu stryczkiem, krył się w jego szwadronie z zamiarem dostania się z nami do Rosyi. We Lwowie miał biedak narzeczoną, pragnął więc ujrzeć ją raz jeszcze i pożegnać przed emigracją.

Trudne to i niebezpieczne zadanie było dla mnie, ale usilnym prośbom odmówić nie umiałem. Zdarzenie chciało, że w czasie naradzania się z tymi panami u mnie nadszedł adjutant pułku Borysow, a domyśliwszy się o co rzecz idzie, powiedział stanowczo, że nie dopuści, abym majora z sobą zabierał, gdyż jako Polak podwójnie mogę być odpowiedzialnym. Natomiast przyrzekł Korffowi wyrobić od generała Ejnantena, szwagra swojego, urlop do Lwowa i radził żeby on, jako mający silną protekcję w Petersburgu, tej przysługi biednemu Węgrowi nie odmawiał. Korff zdecydował się na to chętnie, ale uczynność jego bardzo smutny obrót wzięła. Wskutek jakiejś nikczemnej denuncyacji zatrzymano jadących przy wjeździe do Lwowa a nieszczęsny dezterter poznany przez dawnych kolegów wojskowych, skazany na powieszenie, życiem przypłacił uczucie patriotyzmu i gorącą miłość dla narzeczonej. Korff tylko po kilku dniach aresztu wykrcił się szczęśliwie bez żadnej odpowiedzialności.

IV. Pod strzechą rodzinną.

W Łuczycach zastałem zmiany niemałe. Wuj Ignacy odsprzedał ten majątek szwagrowi swemu, Michałowi Komorowskiemu, który zmarł przedwcześnie na skira, zostawiając wdowę i dwoje nieletnich dzieci, syna i córkę. Ciotka Franciszka gospodarowała więc tam sama wedle możliwości, ale nieobyta z interesami i zbyt łatwowna, przytem niezmiernie pobłażliwa dla ukochanego syna, który mając zaledwie lat 16 udawał już dziedzica, bardzo niepraktycznie administrację rozległego mienia prowadziła. Niestety, dziś zbyt ciężko biednej ciotce pokutować za to przychodzi.

Z Łuczyc dobra ciotka z dziećmi odpro-wadziła mnie do Lwowa; zabawiłem tam z niemi jeszcze dni kilka, a następnie pospieszyłem od-wiedzić wuja Ignacego, mieszkającego z żoną

i jedyną córką w Chorobrowie o milę od Zborowa. Wuj po całorocznem ciężkiem więzieniu na Spielbergu wskutek politycznych wypadków 1846. i 1848. roku postarzał niemało i ogłuchł niezmiernie. Szczerze rad z przybycia mojego, jako dawny żołnierz wypytywał ciekawie o szczegóły świeżo odbytej kampanii i w zamian opowiadał mi smutne przejścia swoje, ale że to wszystko opisał dokładnie w »Pamiętnikach więźnia stanu« Czaplicki, powtórzę więc tylko za nim, że wuj Ignacy zdobył sobie tak wielkie poważanie współwięźniów, iż był ich wyrocznią i jednomyślnie prezydentem rzeczypospolitej więziennej na Spielbergu przez wszystkich towarzyszy mianowanym został. Jako dobry muzyk, spełniał tam także obowiązek organisty w kaplicy więzienia, a wszechstronnie i gruntownie wykształcony udzielał codziennie z wielkiem powodzeniem różnych lekcji kilku młodszym kolegom swoim. Pomimo tych zajęć srogość tego więzienia znana z opisów Silvia Pelico i wilgoć podziemnych lochów tak zgubnie na zdrowie oddziaływała, iż biedny wuj po roku tej męczarni czuł, iż niedługo śmierć go oswobodzić nie omieszka. Za to, gdy po amnestyi wracali wszyscy do kraju, takie owacy zebranych tłu-

mów od samego Berna na wszystkich stacyach ich spotykały, iż, jak powiadał żartobliwie dobry wuj, dopiero we Lwowie po raz pierwszy wyspać się i wytrzeźwić dozwolono. A i stąd wkrótce postanowił wyjechać na wieś z obawy, jak się wyrażał, zbankrutowania na odnawianiu kapełuszy, które psuł ciąglem uchylaniem w lewo i w prawo przed witającą go serdecznie na każdym kroku, najczęściej nieznaną mu nawet publicznością.

Po kilku dniach, najmiej spędzonych w Chorobrowie, musiałem spieszyć dla przebycia granicy w Wołoczyskach z ostatnim wracającym do kraju pułkiem ułanów dywizyi naszej. Pierwsze powitanie rodzinne spotkało mnie u siostry Jodkowej w Bębnówce, o trzy mile od Wołoczysk położonej. Stamtąd, otrzymawszy dwutygodniowy urlop od jenerała dywizyi, udałem się niezwłocznie do Zasławia, gdzie mój ojciec znajdował się na hidropatycznej kuracyi, założonej przez miejscowego doktora Dropsego w pięknym sąsiednim parku książąt Sanguszków, Klimówce. Ojciec, ucieszony niezmiernie powrotem moim bez szwanku z odbytej wojaczki, zatrzymał mnie dłużej, a że kuracya jego miała się ku końcowi, zabrał mnie z sobą do Semidub.

Tam naradziwszy się z ojcem, postanowiłem zamienić oręż na lemiesz i dla rozpoczęcia starań o dymisyę, którą wówczas pod pozorem tylko słabości zdrowia z niemałą trudnością otrzymywano, musiałem spieszyć do Winnicy¹⁾, gdzie pułk na zimowych leżach był rozlokowany. Jenerał dywizyi Zass, któremu oznajmić życzenie moje należało, zaszczycił mnie pochlebnemi słowy i usiłował zatrzymać na służbie, ale złożywszy się niezmienną wolą ojca i rodzinnemi nagłacemi okolicznościami, otrzymałem w końcu przyzwolenie jego. Głównym jednak warunkiem było otrzymać świadectwo dywizyjnego lekarza o nadwątłonym zdrowiu. Trudność w tem i niechęć pana sztabsdoktora usunęło kilkanaście półimperiałów, zostawionych mu na stoliku, i wkrótce prośba o dymisyę z żądaniem świadectwem nieuleczalnej jakoby choroby, gdzie należy, po komendzie wysłaną została. Ostatecznej rezolucyi nie mogłem się spodziewać wczesniej, jak na wiosnę, ale że służba już mnie niejako nie obowiązywała, przez całą zimę więcej przesiadziałem u drugiej siostry mojej Zieleniew-

¹⁾ Miasto powiatowe na Podolu. Przyp. wyd.

skiej, mieszkającej wtedy w okolicach Latyczowa ¹⁾, niż przy pułku.

W czasie karnawału owego roku bawiono się często i wesoło w okolicach Winnicy. Najświetniejszy i najliczniejszy bal, w którym udział brałem, odbył się w Autopolu u księżnej Czwertyńskiej, także w Szpikowie u państwa Leonostwa Swiejkowskich, dokąd niezwykle wdzięki sławnej z piękności i zalotności samej pani (Lachman z domu) całe roje wielbicieli ściągaly. Siła uroku tej pani tak była potężną, że po różnych a zbyt znanych przejściach w czasie kilkunastoletniego pożycia małżeńskiego ze Swiejkowskim, zostawszy wdową i mając już lat około 40, potrafiła ona wydać się powtórnie za markiza de Noaille i jest dzisiaj ²⁾ panią ambasadorową francuską w Konstantynopolu.

Powracając pamięcią moją do Winnicy, przypominam sobie jeszcze weselne gody uroczej córki państwa Russanowskich w Jakuszyńcach, wychodzącej za hr. Bielińskiego z Trojanowa pod Żytomierzem. Była to także jedna z licznych ówczesnych piękności podolskich; pod względem

¹⁾ Miasto powiatowe na Podolu. Przyp. wyd.

²⁾ W roku 1884. Przyp. wyd.

klasyczności kształtów ciała i rysów twarzy nawet palma pierwszeństwa słusznie by jej należała, ale zupełny brak ożywienia sprawiał tylko miłe wrażenie posągowego ideału. W licznej grupie weselników poznałem tam po raz pierwszy kwiat towarzystwa podolskiego: Komarów, Orłowskich, Grabianków i wielu innych.

W Kwietniu dopiero 1850. roku doczekałem się mojej dymisy i pożegnawszy kolegów w Winnicy, udałem się pod rodzinną strzechę do Semidub.

Przy końcu lata tegoż roku najmłodsza siostra moja Anna wyszła za Wojciecha Skrzyneckiego, dziedzica wsi Strakłowa¹⁾ i Wolicy, w bardzo bliskim sąsiedztwie Semidub. Ojciec nasz tedy spokojny o przyszłość wszystkich już córek, zachowując na rzecz swoją dochody z dzierżawy majątku ś. p. matki naszej, wsi Leszczotowa w Galicyi, i korzystając z pięknego mienia drugiej żony swojej, oddał nam synom cały majątek semidubowski, składający się z 4 wiosek, w bezpośrednie władanie i używalność dochodów, z wyłączeniem dla siebie mieszkalnego domu na lato w pięknym bardzo parku

¹⁾ Dziś kolonia czeska. Przyp. wyd.

i malowniczej miejscowości przy sąsiedniej wiosce Zlińce; zimy przepędzał ojciec w Dubnie, gdzie posiadał dom własny.

Brat mój Aleksander, nie mając zamiłowania do gospodarstwa wiejskiego, zdał na mnie w zupełności całą administrację, a oddawszy się książkom, muzyce i towarzyskim rozrywkom, przy ciągłych wycieczkach do Warszawy, Kijowa i różnych miejscowości prowincyi naszych, gdzie jak w Antoninach Sanguszków, Białej Cerkwi Branickich, doroczne wyścigi konne i polowania, a w Czarnym Ostrowie Przeździeckich, Kuryłówce Iwanowskich, Mizoczu Karwickich, Warkowiczach Młodeckich, Ostapkowcach Grabianków, częste zabawy i serdeczne uczucia zmienną koleją go pociągały, rzadkim tylko gościem bywał w Semidubach. Ale że kochaliśmy się z bratem serdecznie, bez względu na wyłączny mój udział w trudach i kłopotach gospodarstwa czerpał on w wspólnej kasie naszej na potrzeby swoje bez żadnych rozrachunków, i nigdy, dzięki Bogu, najmniejsze nieporozumienie między nami z kwestyi tego czasowego wspólnego dziedzictwa miejsca nie miało.

W owych to latach, kiedy Liszt pojawił się na kontraktach dubieńskich, brat mój zaprzy-

jaźniejszy się z wirtuozem towarzyszył mu przez większą część kilkumiesięcznej wycieczki jego po Wołyniu, Podolu i Ukrainie. Następnie i Antoni Kątski doznał takiej samej uczynności mojego brata, ale miasto wdzięczności wypłacił się tak niewłaściwym zachowaniem w pewnym obywatelskim domu, że brat mój zmuszony był zniewolić aroganta, żeby się wynosił co prędzej. Przy znakomitym talencie artystycznym była to osobistość tak nieznośna w towarzyskiem pożyciu, że w kilku innych miejscach to samo go potem spotkało.

W wolniejszym czasie od zajęć gospodarskich i ja od miłych rozrywek i zabaw nie stro- niłem. Jako wielkiego amatora koni wyścigi i polowanie z chartami wabiły mnie przede- wszystkim, ale przy zdarzonej okoliczności i do tańca na ochocie mi nie zbywało. Nie było też prawie świetniejszego balu na Wołyniu i Podolu, żebyśmy z bratem zaprosin nie otrzymali.

W drugim roku gospodarki mojej w Semi- dubach przypadające imieniny ciotki Skibniew- skiej, które zwykle solennie obchodzono, ścia- gnęły mnie na Podole. Zjazd na tę fetę w Po- rzeczu, dzisiejszej niestety własności hr. Igna-

tiewa¹⁾, był bardzo liczny. W uroczem kole dziewic poznałem tam po raz pierwszy pannę Zuzannę Krokowską, córkę majątnych sąsiadów Porzecza. Mając zaledwie lat 25 o ożenieniu wcale jeszcze wówczas nie myślałem i tylko sympatyczną powierzchownością ciągnięty, tańczyłem z panną Krokowską więcej niż z innymi i rozmawiałem z nią z prawdziwą przyjemnością. Ale, że nadchodzące żniwa nagliły mnie z powrotem do Semidub, nie mogłem nawet złożyć uszanowania mego w domu rodziców miłej danserki mojej. W jesieni dopiero tegoż roku krewny nasz a bliski sąsiad państwa Krokowskich, pisząc do mego ojca, nadmienił między innymi szczegółami z okolicy, że panna Zuzanna K., którą widuje często, zawsze wspomina bardzo mile wesołe imieniny i dobrego dansera w Porzeczu; a potem, niby nawiasem, zapytuje zacny krewny, czy nie przybędę też znowu kiedy w ich strony?

Przyjęty szczerą wdzięcznością za to przychylnie wyróżnienie panny, długo jednak wahałem się ze stanowczą decyzją w tak ważnym

¹⁾ Prezes słowiańskiego błagotworitelnego komitetu w Petersburgu. Przyp. wyd.

kroku. Ale dobry ojciec, wzięwszy do serca odezwę krewnego, który przedtem nigdy prawie nie pisywał, przynaglił mnie niejako do przedszego odwiedzenia licznych krewnych na Podolu, między którymi oczywiście łaskawy korespondent w pierwszym rzędzie się znajdował.

Wybrawszy się tedy w tamte strony, z samego niby towarzyskiego obowiązku, wypadało mi złożyć służby moje i państwu Krokowskiemu w pięknej ich rezydencji Żagłówce. Uprzejme tam przyjęcie zachęciło do powtórnej wizyty, a gdy w rozmowie z panną dowiedziałem się o projekcie wyjazdu ich do Kamieńca na karnawał, który świetnie się zapowiadał, postanowiłem także wziąć czynny udział w tych zabawach.

Dla samych trudności paszportowych i braku kolei żelaznych nie było jeszcze wtedy tej ogólnej dziś gorączki szukania rozrywek li tylko po za granicą kraju, przytem urzęda wyborowe, choć o wiele już zmniejszone i ścieśnione, miały jeszcze głównych przedstawicieli z koła obywatelskiego tak w guberskiem jak powiatowem mieście. Każdy więc przybyły z prowincyi znajdował na miejscu zawiązek sympatycznego i nieobcego mu towarzystwa, które ułatwiając

wzajemne poznanie, rozszerzało koło bliższych stosunków między zebranymi dla rozrywki i zabawy.

W Kamieńcu był wtedy guberskim marszałkiem Jan Sulatycki, wdowiec bezdzietny, bardzo poważany przez współobywateli, a jako człowiek majątny prowadził dom otwarty, kuchnię miał doskonałą i przyjmował u siebie codziennie ze staropolską gościnnością.

Na długi karnawał w owym roku wyborowe towarzystwo Podola zjechało zabawić się w guberskim mieście. O ile sobie przypomnieć mogę, byli tam: Giżyccy, Orłowscy, Komarowie, Grabiankowie, Gadomscy, Rościszewscy, Witośławscy, Krokowscy, Mniszkowie, Markowscy i wielu innych. Dla braku obszerniejszych lokali, oprócz guberskiego marszałka, nikt prywatnych balów nie wydawał, ale dwa razy na tydzień resursy, pikniki i wielki bal kawalerski, który urządziliśmy świetnie w bardzo obszernej sali gimnazyalnej, przy licznych redutach, proszonych objadach i tańczących wieczorkach bez wielkiej wystawy i kosztownych strojów, zapełniły cały karnawał i najmilsze wrażenia na długo nam zostawiły.

Trzydzieści lat zaledwie upływa od tego czasu, a jakaż niepomierna zmiana we wszystkim. Teraz gdy szlachcic z prowincyi zmuszony interesami do guberskiego miasta się przywlecze, tak wszystko obce mu i niemiłe, że pragnąc wyrwać się jednej chwili, płaci niepomierny haracz panom przysięgłym adwokatom, złoży czołobitność, a gdzie można dotykalny dowód swej głębokiej atencji członkom juryzdykcyi, od której sprawa jego zależy, i zostawiając interes sumieniu tych panów i miłosierdziu Opatrzności, wynosi się coprędzej do wiejskiej zagrody swojej, szczęśliwy gdy i tu pan pisarz wołosny¹⁾, uriadnik²⁾ i cała korporacya rozlicznych władz miejscowych spokojnie ciężkimi i mozolnymi kłopotami gospodarstwa kierować mu dadzą. Trudno też naprawdę dziwić się i zarzucać możniejszym, że wydzierzawiwszy majątki chociażby żydom, szukają spokoju i rozrywki po za granicami własnego kraju. Bez wątpienia, szkoda, wielka szkoda tych olbrzymich sum, które po obczyźnie się rozsiewają, ale nieraz czytając bezwzględne wyrzekania na to w gazetach, chęćka mnie

¹⁾ Pisarz gminny.

²⁾ Rodzaj żandarma wiejskiego. Przep. wyd.

bierze zaprosić gromiącego recenzenta z trójnoga wygodnego stołka przy biurku na miesiąc tylko próby dzisiejszych rozkoszy własności ziemskiej, a przekonany jestem, że jak to mówią: urwałby się i uciekł i z pewnością łaskawszymby się stał odtąd w sądach swoich. Wszędzie i we wszystkim są wyjątki, lecz ogół nigdzie i nigdy od dobrego nie stroni. Przy znośnych tylko warunkach każdy zdrowo myślący chętnie pilnowałby sam swego i ogólnego dobra. Wymaganie zaś od ogółu nieustannego poświęcenia i zaparcia z naturą ludzką w żaden sposób pogodzić się nie daje:

Wiadomo, że niema skutku bez przyczyny,
Lecz bodaj, że przyczyna nie z naszej tu winy.

Nie uprzedzając jednak wypadków powracam do dawniejszych wspomnień moich.

Po wesołym karnawale w Krzemieńcu, bywałem coraz częstszym gościem w Żagłówce, a że zdawało mi się dostrzegać wyróżniającą przychylność panny i rodzice jej zawsze równie uprzejmie mnie przyjmowali, korzystając ze sposobności na balu imieninowym w dniu św. Heleny u pani prezesowej Grabianczyny w Ostapkowcach, ośmieliłem się wyrazić szczere uczucia moje i zamiary pannie Zuzannie. Po-

mieszanie jej było tak wielkie, że przez chwil kilka słowa wypowiedzieć nie umiała, lecz kiedy powtórzyłem ją prośbę o promyk nadziei, drżącymi usty wyrzekła, iż szczerze wdzięczną mi jest za powzięte uczucia dla niej, ale że będąc jeszcze tak młodą, nie może się decydować na krok tak stanowczy, prosi jednak o zachowanie jej nadal szczerzej przyjaźni mojej.

Zbity z tropu tym niespodziewanym zwrotem uważałem grzeczną odpowiedź za chęć osłodzenia przykrej pigułki, a dotknięty w miłości własnej i zawiedzionem uczuciu nie nalegałem więcej; złorzecząc tedy w duchu krewnemu, karnawałowi i zwodniczemu pozorom, z goryczą w sercu pospieszyłem do przerwanej gospodarczej pracy mojej.

Zatrudnienia i oddalenie najlepszym lekarstwem na doznane zawody w uczuciu. Młodość ma także niezaprzeczone swe prawa, a że nigdy pojąć nie mogłem nie gasnących płomieni serca bez wzajemności, kilka miesięcy czasu wystarczyło mi na zatarcie w pamięci minionych marzeń, tem bardziej, gdy doleciała mnie wiadomość, że panna Zuzanna zdaje się przyjmować łaskawie nowego konkurenta, pana Wielamowskiego.

Przy końcu lata 1852. roku zapowiedziana była wielka rewia cesarza Mikołaja pod Łuckiem¹⁾. Młodzież okoliczna, ciekawa nieznanego widoku ewolucyi wojskowych, wybrała się gromadnie na oznaczony termin do Łucka z wierzchowymi końmi. Ponieważ między innymi pułk, w którym służyłem, miał się znajdować na tej rewii, postanowiłem także odwiedzić niedawnych jeszcze kolegów moich. Pierwszego dnia rewii wystąpiliśmy wszyscy w liczbie kilkunastu na dzielnych rumakach, dla łatwiejszego przyjrzenia się paradzie ceremonialnego marszu, w jakim dwa zebrane korpusy występowały; a że między zebraną młodzieżą ja jeden tylko byłem ekswojskowy, prosili mnie towarzysze, abym objął niejako komendę nad nimi, żeby wybrać stosowne miejsce dla przypatrzenia się z bliska defilującym szeregom. Po skończonej paradzie staliśmy jeszcze wszyscy na uboczu, gdy cesarz, otoczony niezliczoną świtą, w pełnym galopie w naszą stronę się zwrócił. Przerażona tem komenda moja chciała umykać z placu. »Stójcie na miejscu, na Boga! — krzyknąłem — bo Kozaków za nami w pogoń rozeszle«. I uszy-

¹⁾ Miasto powiatowe na Wołyniu. Przep. wyd.

kowawszy szlachtę w jeden szereg, stanąłem na skrzydle od strony zbliżającego się cesarza. Kiedy był już na kilkanaście kroków, odkryliśmy wszyscy głowy. Przelatując tuż obok naszego frontu, cesarz zmierzył nas swem groźnem wejrzaniem, lecz razem przyłożył rękę do kapelusza. Czy to niezadowolony, żeśmy na jego wojskowe pozdrowienie nie krzyknęli hura, czy też jak zwykle nie lubiący obecności widzów na paradach, minąwszy już nasz szereg, raptem osadził konia w miejscu i skiwnąwszy ręką, zawołał donośnym swym głosem: »Pożałujcie siuda!«¹⁾. Moja szlachta strapiona, nie wie co ma robić, ja tedy, jako ekswojskowy spiąłem co prędzej konia i w jednym skoku stanąłem przed cesarzem. »Czy wy tutejszego powiatu obywatele?« — zapytał po rosyjsku oczywiście. »Tak jest, najjaśniejszy panie« — odpowiedziałem patrząc śmiało w oczy. »Wyjechaliście przypatrywać się, a sami nic nie robicie; wstyd, każdy, co ma honor, służyć powinien. Ja was zmuszę służyć«. I nie czekając żadnego objaśnienia, dał ostrogę gniademu rumakowi i z miejsca znowu galopem poskoczył do miasta.

¹⁾ »Proszę tutaj«.

Łatwo pojąć, jak nas ta niespodzianka zdziwiła i przepłoszyła. W obawie, żeby naprawdę niezwłocznie w szeregi nie pociągnięto, z szesnastu improwizowanych kawalerzystów dwóch tylko, Włodzimierz Swiejkowski, ówczesny marszałek krzemieniecki a później guberski, i ja, dotrwaliśmy do końca rewii i codziennego konno wyjeżdżaliśmy znowu, trzymając się tylko na uboczu; wszyscy inni, złoścąc ciekawości, niezwłocznie powynosili się z miasta.

Skutek jednak tego spotkania z cesarzem był taki, że wkrótce wyszedł ukaz zmuszający całą młodzież Królestwa polskiego i wszystkich dawnych prowincyi naszych, pod berłem rosyjskiem, do bezwarunkowego zaciągania się do wojska, kto zaś dla wątłego zdrowia na żołnierza był niezdatnym, miał obowiązek udania się na służbę cywilną do wielkorosyjskich gubernii przynajmniej na lat cztery.

Zestawiając ten ukaz ze słowami cesarza, że »kto ma honor, ten służyć powinien«, można by wyprowadzić wniosek, że cesarz Mikołaj wcale honoru Rosyanom nie przyznawał, kiedy w rozkazie swoim nas jednych bez wyjątku na służbie widzieć pragnął.

Obecnie wprawdzie wszystkie stany zarówno do służby wojskowej są obowiązane, ale zostaje losowanie, wyjątki dla jedynaków, starszych w rodzie przy wiekowym ojcu i nie kwalifikujących się pod karabin dla ułomności lub wątłej budowy ciała, przytem lata służby wcale niedługie i ograniczone; ukaz zaś po łuckiej rewii jedną tylko szlachtę polską obejmował, żadnych wyjątków nie dopuszczał, a wątłym nawet cztery lata w dalekiej obczyźnie koniecznie bawić nakazywał.

Zasadnicze zaś prawo wojskowe wówczas innej dymisji dla szlachcica, jak z powodu słabości zdrowia, nie przyznawało. Bez obejścia więc prawa przez uzyskanie świadectwa lekarskiego całe życie wypadało zostawać w szeregach. Cóż dziwnego, że przy takich warunkach nie każdy do munduru spieszył, a przedajność i wybiegi z musu się rozkrzewiały. Zdarzały się wprawdzie dymisye dla wyjątkowych powodów rodzinnych, lecz te z największą tylko trudnością otrzymywano.

W kilka tygodni po powrocie moim z owej rewii nadszedł wcale niespodziewany gość, dobry kolega z pułku Olgi, Kazimierz hr. Stadnicki, będący jeszcze jako remonter na służbie, lecz

z tego tytułu przesiadujący prawie stale w majątkach swoich na Podolu. Ucieszyłem się niezmiernie odwiedzinami poczciwego kolegi i na miłej gawędzie i wspomnieniach wesołych czasów wspólnej żołnierki naszej parę dni prędko i przyjemnie nam zeszło. Przy odjeździe dopiero zapytuje mnie kolega niby od niechcienia, dlaczego przestałem bywać u krewnych jego, państwa Krokowskich w Żagłówce? »Odpowiedź bardzo łatwa, powiadam na to, wiesz przecie, że panna Z. wychodzi za Wielamowskiego«. »Bajki — mówi Stadnicki — były wprawdzie projekta, popierane silnie przez rodziców, lecz jak przyszło do stanowczej decyzji panny, oświadczyła najsolenniej, że po długiej rozwadze, nie czując żadnej sympatii dla młodziana, nigdy wyjść za niego nie chce i nie może. Posłuchaj przyjacielskiej rady, dodał w końcu, jesień nadeszła, gospodarstwa odjechać teraz możesz bez szkody, nie odwlekaj i wybierz się w nasze strony, a pamiętaj, że na družbę zamawiam się koniecznie«.

Przygłuszona już nieco pamięć szczerych uczuć moich odezwała się żywo w sercu mojem na tak niespodziewane zapewnienie kolegi i nie namyślając się długo, w rozmarzeniu o błogiej

przyszłości, pospieszyłem ku Podolu wprost do Żagłówki.

Samego prezesa nie było w domu, powiedziano mi, że wyjechał do szwagra na dni kilka. Panie powitały mnie ze szczerą uprzejmością, jednak pomieszenie ich i jakiś ciężki frasunek były tak widocznymi, że zbity z tropu pojąć nie mogłem przyczyny zbyt jawnych objawów ich niepokoju i rozdrażnienia, a posądzając Standnickiego o lekkomyślne zgotowanie mi takiej kabały przez niedokładne zbadanie rzeczy, silnie wzburzony postanowiłem odjechać co najprędzej.

Po objedzie, przy którym nadrabiając fantazyą siedziałem rzeczywiście jak na szpilkach, kiedy konie moje już zaszły, służący wniósł list i podał go samej pani. Spojrzawszy na pismo, z gorączkową ciekawością matka i córka zerwały się z miejsca i jakby niepomne na obecność moją wybiegły z odebraniem listem do dalszych pokoi. Wkrótce jednak panna Z., blada jak chusta i z widoczną łzą w oku, weszła z powrotem do salonu i drżącym głosem, przepraszając za chwilowe zostawienie mnie samego, oznajmiła o wielkiem zmartwieniu z powodu silnej choroby jedyniej córki ukochanej ciotki swojej. Ale niejasność wypowiedzianych przytem półsłów

i smętne jakieś myśli, które w oczach jej czytałem, naprowadzały mnie na pewny wniosek, że podana choroba kuzynki jest tylko pokryciem boleśniejszego wrażenia nieodgadnionej dla mnie tajemnicy.

Przy pożegnaniu, które tem bardziej przyspieszyłem, szczere uściśnienie mej dłoni i wypowiedziane przez panną Z. tkliwym, przytłumionym głosem: »au revoir j'espère...« pomieszało wszystkie domysły moje. Nie wątpiąc tedy, że bliski sąsiad i przyjaciel prezesa a mój krewny Władysław Cieszkowski wyjaśnić mi wszystko może i nie odmówi, udałem się wprost do niego. »Fatalny dzień wybrałeś na odwiedziny do Żaglówki, kochany Marcinie, powiedział on witając mnie w progach swoich. Widzę, że nic nie wiesz, co tu zaszło; chodź bracie do moich pokoi, opowiem ci wszystko«. I zabrawszy mnie do kancelaryi swojej, poczciwy pan Władysław dał mi relację następującą.

Panowie Krokowski i Wielamowski, jako koledzy szkolni, zachowując niezmienną przyjaźń w dalszem życiu, pragnęli usilnie połączenia węzłem małżeńskim dzieci swoich; ktokolwiek więc zamyślał o pozyskaniu względów panny Z., krzyżując plan ułożony przez rodziców, nie mógł

znajdować ich poparcia. Dobra córka pod wpływem przedstawień i rady ojca, które nigdy nie były arbitralnemi i zawsze głębokie zbadanie uczuć jej serca stawiały na pierwszym względzie, długo na stanowczy krok zdecydować się nie mogła. — To wyjaśniło mi dwuznaczną odpowiedź, jaką od niej otrzymałem. — Dopiero gdy dla niewiadomych nikomu powodów, objaśniał dalej krewny, moje częste nawiedzanie Żaglówki nagle przerwanem zostało, panna Z. zdawała się skłaniać do życzeń rodziców i młody pan Wielmowski był już pewnym spełnienia zamiarów swoich; kiedy jednak przyszło do stanowczego wyrzeczenia słowa, panna padszy do nóg rodzicom wyznała, że wobec powziętego uczucia, jakiego pomimo całej usilności wyrwać z serca nie może, niepodobna jej przychylić się do ich woli i żądania. Zawiedziony i dotknięty w miłości własnej młodzieniec użył niewłaściwej drogi ostrych wymówek ojcu panny, w obecności szwagra jego, marszałka powiatu proskurowskiego Langa. Ten ostatni, prędko i gwałtowny, wyrzucał mu tę niewłaściwość z uniesieniem; zamiana niepomierne gorących i dotkliwych słów wywołała rozprawę honorową między Wielmowskim i Langiem. Prawdziwa fatalność chciała,

żeby termin ich spotkania zszedł się z dniem przybycia mojego do Żagłówki, list zaś, który panie w obecności mojej otrzymały, przyniósł im bolesną wiadomość, że zapamiętały Wielamowski, jedynak u ojca, padł trupem na miejscu. Grom tych nieszczęsnych wieści poraził mnie nad wyraz. Z rozpłomieniem w dwójnasób uczuciem dla tej, która miłość swą dla mnie tak bolesnemi przejściami okupiła, nie mogłem oczywiście pomyśleć nawet o natrętnem stawieniu się przed jej oczy wobec tak świeżej smutnej katastrofy.

Wszechwładna siła czasu przedstawiała mi środek jedyny; wynurzywszy więc myśli moje zacnemu krewnemu, pożegnałem go nazajutrz i ze sprzecznem uczuciem smutku i przygnębienia, obok błogiej nadziei w przyszłość, powlokłem się z powrotem do mojej zagrody.

Długa zima zesłała mi tam bardzo niewesoło, ale umiałem czas zapełnić pracą fizyczną i umysłową. Przy końcu Maja dopiero państwo Krokowscy, udając się dla młodszej córki do Druskienik¹⁾, zatrzymali się w przejeździe dzień jeden w Dubnie i prezes odwiedził mnie w Se-

¹⁾ Wody mineralne na Litwie. Przyp. wyd.

midubach. Odprowadziwszy go do naszego miasta, powitałem ze wzajemnem wzruszeniem i nietajoną radością pół roku niewidziane panie. — Raz przełamane pozorne lody uniosły nas szybko potokiem długo tłumionych uczuć i szczęśliwie przy końcu sierpnia tegoż roku stanęliśmy u ołtarza.

Weselne gody przy liczmem zabraniu krewnych i życzliwych odbyły się w Żaglówce; brat mój i Kazimierz Stadnicki oczywiście byli moimi drużbami. Kilka dni świetnych festynów zachmurzone tylko zostały smutnym wypadkiem tak nieszczęśliwego uderzenia mego stangreta przez cugowego konia, że biedak pomimo wszelkiego ratunku do tygodnia ducha wyzionął.

Po odwiedzinach z żoną bliższych krewnych w okolicy, z obawy nadchodzącej słotnej pory jesiennej, postanowiliśmy wyruszyć do własnego gniazda. Przy odjeździe z Żaglówki, kiedy rodzice w rozrzewnieniu żegnali i błogosławili u progu swego ukochaną córkę i przybranego syna, dziwnem zrządzeniem szóstka dzielnych moich rumaków w karecie tak zakaprysowała, że kiedy już wsiedliśmy do powozu, z miejsca ruszyć nie chciała ani kroku. Znaglono nas wysiąść, konie zażyte ostro obleciały dziedziniec

bez żadnego narowu. Wsiedliśmy powtórnie, i, trudno uwierzyć, trzy razy taką samą historię wypróbowane i spokojne konie nam wyprawiały; w końcu przełamać się dały i ruszyliśmy szczęśliwie małymi etapami w kilkudniową drogę. O dwie już tylko mile od Semidub, kiedy dla przybycia przed nocą wyciągniętym kłusem pospieszaliśmy po gładkiej drodze, nagle dyszlowy utknął na jakiejś nierówności w lesie i upadł tak fatalnie, że w dwóch miejscach nogę sobie zgruchotał. Nie mam żadnych przesądów i wiem, że wypadki bywają nieprzewidziane, jednak ta nowa wielka przykrość u samego już kresu podróży silnie mnie dotknęła. Nie dałem wszelako poznać tego zmartwionej żonie i zostawivszy biednego konia wśród drogi, choć późno, dociągnęliśmy szczęśliwie do domu, gdzie uprzedzony ojciec i siostra moja Skrzynecka z wielkim już niepokojem nas wyczekiwali.

Wkrótce, po rozgospodarowaniu się młodej gosposi w naszej rodowej siedzibie, miłą niespodziankę sprawiła nam ciotka Franciszka Komorowska przybyciem z Galicyi na dłuższy pobyt w domu naszym. Słotna jesień i pierwsza połowa zimy przebiegły prędko i przyjemnie w najmiłszem jej towarzystwie. Wszechstronne

wykształcenie ciotki, przy wyjątkowej tkliwości jej złotego serca i niezwykłych przymiotach i cnotach, od pierwszego dnia tak wielką sympatyę żony mojej zjednały, że te panie pokochały się wzajemnie z prawdziwą serdecznością. A jakimi zaletami i słodyczą w obejściu obdarzoną była ta, z którą dozgonne węzły mnie połączyły, ocenić łatwo z tego, że słudzy i cała dość liczna dwornia nasza jednogłównie utrzymywali, iż pan szczęśliwy nie żonę ale anioła do domu swego pozyskał.

Na święta Bożego Narodzenia rodzice usilnie zapraszali nas do Żaglówki, chociaż zdrowie żony mojej wymagało właściwego zachowania i ostrożności; że sanna była doskonała, nie mogłem odmówić tej uciechy równie dla żony jak rodziców. Świąteczne tygodnie zbiegły nam przyjemnie i wesoło w ludnej i ożywionej okolicy, a gdy nadeszły styczniowe kontrakty dubieńskie, na które interesa mnie powoływały, że zima była bardzo śnieżną, stąd zaspasy i wyboje po drodze, uradziliśmy z rodzicami żony nie ruszać jej z miejsca, tembardziej, iż dla bliskości znakomitego i zaufanego doktora Willerta z okolicy życzeniem rodziców było, aby córka spodziewaną słabość w ich domu pod opieką

matki odbyła. Wielką przykrość pierwszego rozłączenia pocieszała myśl troskliwości i miłej rozrywki, jakie ukochane kółko rodzinne żonie mojej zapowiadało; a upewniwszy wielce zasmuconą mym odjazdem, że postaram się powrócić jak najprędzej, wyrwałem się z jej objęć, i zło-rzecząc interesom, wskoczyłem do sanek.

W Dubnie gwar kontraktowy i załatwianie interesów tęsknocie oddawać się nie dozwalały, ale gdy w drugiej połowie Lutego kwestya powiększonej rekrutacyi w tym roku, z powodu krymskiej wojny, zmuszała mnie wysiadywać w pustym domu semidubowskim dla załatwienia niemiłej powinności, która wówczas jeszcze wyłącznie obywateli ziemskich obowiązywała, smutek, niepokój i tęsknica ogarniały mnie coraz bardziej.

Pewnego dnia wieczorem, a było to 4. Marca 1854. r., gdy siedziałem sam jeden i rozmyślałem przy kominie, niepojęta jakaś trwoga owładnęła mną w jednej chwili tak gwałtownie, że zerwałem się z miejsca i pomimo wszelkiego wyrozumowania nielogiczności w przywidzeniach, przez cały wieczór uspokoić się nie mogłem. Po bezsennej nocy walczyłem dzień cały z uporczywie trapiącą mnie czarną myślą, gdy o zmroku

nadjechał bliski mój sąsiad i przyjaciel Aleksander Ittary. Przez długi czas wstydząc się niejako niewytłumaczonego wrażenia, jakie mnie bezwiednie ogarnęło, starałem się podtrzymać zwykłą sąsiedzką pogadankę, ale nie powiodło mi się omylić przenikliwości przyjaciela; gdy mię więc zapytał ze szczerem współczuciem co mi dolega, wywnętrzyłem się przed nim z całą otwartością. Oczywiście sąsiad nie szczędził mi rozsądnych i przekonywujących perswazyi; nie wiele mi to jednak ulżyło, i powziąłem stanowczy zamiar nie wyczekiwać dłużej załatwienia interesów i bez względu na rozpoczęte już wiosenne roboty pospieszyć nazajutrz ku Podolu. Uspokojony nieco tą decyzją rozmawiałem już nieco swobodniej, zatrzymawszy na noc sąsiada, gdy sługa mój niezmiernie pomieszany wpadł do pokoju z listem w ręku.

»Co się stało? krzyknąłem, pewnie posłaniec z Żaglówki?«

»Tak panie«, była odpowiedź drżącym głosem.

Rozerwaszy list, przebiegłem go już zamglo-nemi od gwałtownego wzruszenia oczyma. Treść była krótka: »Żona twoja mocno chora. Przybądź co prędzej«. Ha! przeczucie mnie nie zawiodło.

W pół godziny byłem już na bryczce, a przewidując przeszkody w pospiechu z powodu topielisk i przerwanych grobel, kazałem osiodłanego wierzchowca uwiązać u tyłu bryczki.

Dziesięć wiorst szeroko wyciętą linią w lasach semidubowskich, choć po ciemnej nocy, przebiłem się dość prędko bez przeszkody, lecz gdy wpadłem na kręte drogi coraz gęstszych borów ku Krzemieńcowi, konieczność powolnej jazdy z obawy połamania bryczki lub kości tak potęgowały gorączkę niepokoju, że zaleciwszy ludziom pospiech wedle możliwości, wskoczyłem na konia i zaufany w doświadczoną dzielność mego umiłowanego wierzchowca, pomknąłem przodem pewny, że w ten sposób najprędzej się dostanę.

Walcząc z różnemi przeszkodami wśród wiosennych roztopów a zatrzymując się tylko dwa razy po godzinie dla pokarmienia i wypoczynku bieguna, późnym wieczorem dnia następnego przebyłem nareszcie trzynaście mil najfatalniejszej drogi. Zbliżenie do miejsca podwoiło tak gwałtownie trwogę niepewności i obawy, że zsunąwszy się z konia u zamkniętej bramy dziedzińca, drżący jak liść osiczyzny, chwiejnym krokiem powlokłem się z wielką trudnością ku

dworowi, który przerażająco smutnym i ponurym mi się wydawał.

U wchodu do sieni jedno wejrzenie na pomieszana niezmiernie ukazaniem się mojem służbę, wykryło mi zbyt wymownie okrutną a utajoną w liście prawdę. Bezwiednie wtoczyłem się już jak obłąkany do dalszych pokoi i w odrętwieniu padłem u nóg zrozpaczonych rodziców.

Prawdziwa boleść serca słowami wyrazić się nie daje. Dzień 4. Marca 1844. roku zapisał się czarnym kirem w mojej pamięci. Kto opłakiwał stratę ukochanej osoby, łatwo oceni srogość gromu, który tak nagle i niespodziewanie zdruzgotał ideał szczęścia na ziemi i pokrył całunem żałoby nadzieję coraz jaśniejszej przyszłości w pierwszym jej zaledwie rozkwicie.

Po złożeniu drogich szczątków zbyt krótkiej niestety towarzyszki życia i zmarłej z nią w chwili przyjścia na świat dzieciny na parafialnym cmentarzu miasteczka Satanowa, w bezwładnej obojętności na dalsze losy moje, nie znosząc najprzyjaźniejszej nawet pociechy, wysiadywałem zamknięty w ustronnym pokoju tak wesołego jeszcze niedawno domu rodziców wydartej mi okrutnie przez nieubłaganą śmierć anielskiej i ukochanej żony. Przybycie tam stryja mego

Wilhelma, który na widok mój rozplakał się, pierwsze dopiero łzy mi wycisnęło; zabrał on mnie prawie przemocą do siebie, tu otoczony serdecznem współczuciem licznej jego rodziny, przeniosłem w pozornem uspokojeniu pierwsze tygodnie mego żalu i przygnębienia.

Myśl o konieczności powrotu do normalnych zatrudnień w opustoszałej zagrodzie mojej długo nieprzezwyjężenie wstrętną mi zostawała, ale po stanowczej walce z odrętwieniem odradzająca się siła woli przemogła odwlekanie z dnia na dzień tej nowej próby i boleści, a pożegnawszy z wdzięcznością najlepszych krewnych, przy końcu Kwietnia, pociągnąłem do Semidub, by rozpocząć w samotnej tęsknicy smutny żywot wdowi, jaki z niezbadanych wyroków nieba stał się udziałem moim w 27. roku życia.

Przybycie do miejsca, gdzie każdy kąt, każdy sprzęt w domu przypomina tak żywo nieodwołalną nieobecność tej, która do koła siebie to błogie ciepło domowego ogniska, swobodną wesołość i życie rozsiewała, bez wątpienia do najśroższych i najboleśniejszych wrażeń zaliczonem być może. Ale potęga czasu wszystko na świecie uśmierza i koi; po ciężkich, nadmiar

ciężkich chwilach pierwszych dni kilkunastu przywykłem powoli do smętnej i cichej samotności. Przez całe dwa lata nie ruszałem się prawie na krok z miejsca, — bliskie sąsiedztwo siostry mojej Skrzyneckiej i poczciwego Aleksandra Ittarego stanowiło jedyny prawie towarzyski stosunek, jaki w owym czasie zachowywałem. Brat mój zaślubiwszy w tymże 1854. roku Martynę Grabianczankę, zamieszkał w jej pięknych dobrach Ostapkowcach na Podolu, a ojciec z żoną przeniósł się na stały pobyt do Warszawy.

Straciwszy główny bodziec i cel materyalnych zabiegów i pracy, bardzo mało zajmowałem się wtedy gospodarstwem, które pod kierownictwem dobrego rządcy i tak aż nadto dostateczne dochody mi przynosiło. Dla zabicia czasu w początkach, a potem niejako z namiętnością oddałem się czytaniu książek przeważnie historycznych, których biblioteka skrzętnie uzbierana przez ojca sownie mi dostarczała, a czasami i w wyrzuceniu własnych myśli na papier ulotnym wierszykiem lub prozą sił moich próbowałem. Niektóre nawet artykułiki pod mianem korespondencyi z Wołynia, »Gazeta Warszawska« uprzejmie razy kilka drukowała.

Przy umysłowej pracy konna jazda zachowała też dla mnie powab niezmierny, a letnie burze z piorunami, które w długich samotnych wycieczkach konnych zaskakiwały mnie nieraz wśród gór i lasów pięknej okolicy Semidub, odpowiadając usposobieniom serca, najmilsze wrażenia mi sprawiały. Tylko stary sługa, po długim wyczekiwaniu z objadem, patrząc z ganku na powrót mój stępo przy największej ulewie z takich wycieczek, które mi o potrzebie posiłku zapominać dawały, zgorszony kiwał posępnie głową i ściągając przemokłą do nitki odzież moją mrucał sobie pod nosem, że pan chyba o życie nie dba i nieszczęścia jakiego nabawić się pragnie. W słotne dni jesienne i zimową porą zastępowałem ruch konnej jazdy stolarską pracą pod dyrekcją dobrego majstra z zakładu stolarskiego włocho Testorego w Dubnie. Choć zakład ten od lat 30 już nie istnieje, we wszystkich niemal możniejszych dworach prowincyi naszych meble Testorego przeważnie jeszcze salony przystrajają.

Kampania krymska, na które w owe lata ostatnie już niemal siły zbrojne kraju zewsząd ciągnęły, wywołała dość silną cholere, jaką przechodzące pułki wszędzie po trakcie swoim roz-

siewały. Semiduby, leżące przy głównej wojennej drodze z Królestwa i Litwy ku Krymowi, nie mało też od tej epidemii ucierpiały. Trzeci to już raz w życiu z tą biedą spotykałem się; obznajomiony przeto dostatecznie ze środkami ratunku, a nie ulegając najmniejszej obawie zarazy, doznawałem niemałej pociechy, gdy bez pomocy doktora, którego przy grasującej chorobie w bliskim Dubnie na wieś zaciągnąć było prawie niemożliwem, udawało mi się własnem staraniem wyrwać niejednego z kmiotków wiosek mojego ojca od grożącej już natarczywie śmierci. Raz nawet sam w nocy uczułem się bardzo niedobrze, ale użycie odpowiednich specyfików i kąpiel gorąca odpędziły лихо po kilku godzinach wcale niemiłego cierpienia.

Kiedy w braku regularnego wojska pospolite ruszenie (opołczenie) w całym kraju nakazanem zostało, jako dawny wojskowy otrzymałem też wraz z innymi wezwanie, czy nie pragnę przyjąć udziału w takowem. Złożyłem się oczywiście nadwątlonem zdrowiem, nie mniej co chwila obawiać się przychodziło, aby gwałtem do wojskowych szeregów nie pociągnięto; dopiero nagły prawie zgon cesarza Mikołaja przerwał tytaniczne zapasy na wybrzeżach da-

wnej siedziby Tatarów, a wstąpienie na tron więcej humanitarnych i pokojowych usposobień Aleksandra II. zdawało się zapowiadać zmianę dawnego teroryzmu i absolutnego wszechwładztwa.

Wojna skończyła się upokorzeniem zbyt ufnej w potęgę bagnetów Rosyi, a kongres paryski wyniósł Napoleona III. na szczyt trójnoga chwały, który w następstwie tak kruchym i dla niego być się okazał. Niedarmo też wkrótce potem w czasie bytności mojej w Paryżu sławny kaznodzieja włoch, ks. Ventura, niebardzo poprawnie wysławiający się po francusku lecz śmiało wypowiadający bezwzględne prawdy, na jednej ze swych konferencyi w cesarskiej kaplicy Tuilleriów wypowiedział Napoleonowi w żywe oczy: »Oui sire, on pent faire beaucoup avec les baïonnettes, mais jamais s'asseoir dessus«.

Nawyknienie łatwo staje się drugą naturą człowieka. Po dwóch latach nieprzerwanej samotności tak umiłowałem cichy i spokojny tryb życia na wsi, że nie doznawałem nawet najmniejszej chęci zmiany jego, gdy nieprzewidziane okoliczności rzuciły mnie znowu w wir

i odmęt towarzyskich stosunków tak zwanego wielkiego świata.

Siostra moja Adela Jodkowa po urodzeniu ostatniego syna zapadła na ciężką chorobą, na jaką najznakomitsi lekarze prowincyi rady dać nie umieli. Stroskany mąż a ojciec licznej rodziny pragnął szukać ratunku dla chorej u sławionych doktorów paryskich, ale że obowiązki dla drobnych dzieci i administracya bardzo znacznego mienia nie dozwalały mu wyjechać się osobiście na czas dłuższy, zaproponowałem mu sam przyjęcie opieki nad biedną chorą i nieodstępne towarzyszenie jej w tej dalekiej podróży.

Starania o paszport dla siebie w Żytomierzu a dla siostry w Kamieńcu, przy znacznych kosztach i licznych formalnościach, kilka miesięcy czasu mi zabrały. W końcu, gdy mój paszport nadszedł pierwszy, żeby nie stracić prawa wyjazdu, które zarówno jak dziś jeszcze przez trzy tygodnie tylko przysługiwało, pierwszych dni wielkiego postu 1856. roku przejechałem granicę w Wołoczyskach, z zamiarem wyczekiwania siostry we Lwowie.

V. Podróż. — Powtórne ożenie.

Gdym przybył do Galicyi, zatrzymały mnie tu nieco dłużej bliskie po matce i miłe wspomnieniem z lat dziecinnych stosunki rodzinne. Potem, zaczynając od Krakowa zwiedzałem szczegółowo jedne po drugich, wszystkie prawie znaczniejsze miasta Prus, Niemiec i Austrii, poświęcając każdej miejscowości tyle czasu, ile dokładniejsze poznanie wszelkich ciekawości tego wymagało. Archeologicznych, etnograficznych i artystycznych w tem poglądów i wrażeń moich zapisywać tu nie mam zamiaru, gdyż nierównie kompetentniejsze pióra tylokrotnie już to na pożytek ogółu wypowiadały. Dodam tylko, iż w bardzo mało sympatycznym Berlinie i innych miastach pruskich uderzał mnie na każdym kroku ład, porządek, oszczędność i poszanowanie praw i władzy. Zasadzając też na tem przekonanie moje, gdy w 1870ym

roku wypowiedzianą została wojna francusko-pruska, nie wątpiłem na chwilę, że brandeburczyk zwycięstwo zdobędzie. W Dreźnie i Monachium przy podziwianiu artystycznych utworów nowego rozwoju na tem polu, w ostatniem mieście uderzyła mnie dekadencya i upadek samodzielnej siły władczej monarchów miejscowych. W krajach zaś austryackich, pomimo ruchliwej wesołości Wiednia i sympatycznego oblicza młodego wówczas cesarza Franciszka Józefa, którego miałem sposobność widzieć z bliska kilka razy, raziła bardzo zawzięta nienawiść podwładnych jemu Włochów i mniej więcej silne niezadowolenie innych krajów składających tę monarchię.

Co do Włoch, zwiedziłem wtedy tylko czarowną swym wyjątkowym ustrojem Wenecyę, następnie Veronę, Peschierę i okoliczne miejscowości, lecz podrażniony nieznaną języcznym, co bez nudnego cicerone kroku ruszyć się nie dawało, postanowiłem po nabyciu tej łatwej a tak spiewnej mowy powrócić tam raz jeszcze. W dalszej zaś wędrówce turysty, począwszy od miasteczka Rivy, przy pięknem jeziorze lago di Garda, w miłym towarzystwie młodych pań i panów z Drezna, przebiegłem pieszo lub na

wózku cały prawie Tyrol i jego najwznioślejsze góry, potem sześć tygodni w Marienbadzie z wycieczką do Karlsbadu, a następnie na Monachium, Frankfurt, Wiesbaden, uroczym Renem, nawiedzając po drodze znajomych w Kreuznach i Ems, do Kolonii. Stamtąd dla kąpieli morskich przez Bruksellę do Ostendy, a w końcu na zimę do Paryża.

Że ta stolica cywilizowanego świata zachwycała mnie niepomiernie, o tem chyba notować tu zbytecznie, a że wówczas po świeżych jeszcze tryumfach kampanii krymskiej ów niedocieczony Sfinks, jak go wtedy mianowano, Napoleon III., wielki urok do koła siebie rozciącał, wszystko więc w Paryżu w bardziej jeszcze spotęgowanej świetności się przedstawiało. Wyszukawszy sobie wygodne pomieszkание w quartier de la Madeleine, w tak zwanych chambres garnies, pierwsze tygodnie poświęciłem lepszemu poznaniu olbrzymiego grodu i wybitniejszych ciekawości takowego, oraz przyległego Wersalu, St. Cloud i Fontaineblau, gdzie po raz pierwszy poznałem luminarza rodziny naszej, a słowika kraju, przezacnego Bohdana Zaleskiego, który z nieodstępным krewnym i przyjacielem Józefem stale przemieszkiwał wtedy

w tem miasteczku. Pocziwy Józef Zaleski za czasów księcia Konstantego w Warszawie był kapitanem szwadronu konnych strzelców, w którym służył niegdyś mój ojciec, a Bohdan rodził się w Bohaterce, własności stryjecznego brata mojego ojca, Wiktora. Oprócz więc szczęścia z osobistego poznania znakomitości plemiennej i rodzinnej w tym ostatnim, ileż wspomnień i szczegółów czerpałem od nich obydwóch chciwie z minionej przeszłości. Za każdą też razą, gdy który przyjeżdżał do Paryża, raczyli oni nawiedzić lub dać wiadomość o sobie, żebym do nich pospieszył. Mniej sympatyczną znajomość zrobiłem w domu Bohdana z panem pseudo- jenerałem Mirosławskim; była to osobistość wymowna i pozornie energiczna, lecz nie wzbudzająca ufności i poważania, dostrzegłem też, że zacny Bohdan nie miał dla niego wielkiej konsyderacyi. Z innych luminarzy emigracyi 1831. roku poznałem także wysokich przymiotów i zasługi doktora Gałęzowskiego, a dobrych chęci lecz szorstkiego nieco usposobienia i nieświetnej erudycyi w kazaniach księdza Aleksandra Jełowickiego. Między młodzieżą emigracyjną z wojny węgierskiej wyróżniał się tam towarzyskimi przymiotami Poniński z Po-

znańskiego, późniejszy generał włoski, i Aleksander Fredro, syn autora znakomitych komedyi naszych, z Galicyi. Po nieco dłuższym zaś pobycie na miejscu miałem zaszczyt być zaprezentowanym w hotelu Lambert i bywałem tam przez całą zimę każdej prawie środy na wieczornych przyjęciach z tańcami, którym tyle poważny wiekiem i zasługami księżę Adam zwykle parę godzin z przyjemnością się przypatrywał. Domowe koło oprócz księcia Adama z żoną składali tam syn księcia Witold, ożeniony z Grocholską, jedyna córka ks. Izabela, zaręczona już hr. Działyńskiemu z Kórnika, i bardzo wiekowa matka księżny Adamowej, księżna Sapieżyna. Drugi syn ks. Władysław, ożeniony z infantką hiszpańską, przybywał tylko czasami z żoną dla odwiedzenia rodziców, a stale mieszkał wtedy w Hiszpanii.

Weselne gody księżniczki Izabeli na wiosnę dopiero z niezmierną świetnością się odbyły. I tam będąc łaskawie zaproszonym, miałem dobrą sposobność bliskiego przypatrzenia się nieprzeliczonej liczbie zebranych dostojników wszelkich prawie narodowości. Ślub w kościele św. Ludwika na wyspie dawał arcybiskup Paryża, cesarz Napoleon III. był reprezentowanym na

takowym przez generała adjutanta, którego nazwisko z pamięci mi uleciało, a wszystkie ambasady, prócz rosyjskiej, znajdowały się w całym komplecie. Do tego dodając wielką liczbę znakomitości rodzinnych, różnych ministrów i dygnitarzy miejscowych, jako też najbardziej doborowego lokalnego towarzystwa i przybyłych z naszego kraju, można mieć wyobrażenie, jak wszystkie salony i galerye gmachu Lambert tego dnia świetnie przepełnione były.

Po pierwszym zaspokojeniu mojej ciekawości wędrowca, jak to wyżej powiedziałem, nie tracąc darmo drogiego czasu i tyle wszechstronnej sposobności, postanowiłem zaprządz się na seryo do umysłowej pracy. Najprzód odpytawszy profesora Vimercatiego, który świeżo ułożył swój system prędkiej nauki języka włoskiego, wedle metody Robertsona, nie tylko uczęszczałem co drugi dzień na jego publiczne w tem wykłady, lecz trzy razy w tygodniu przychodził on do mnie dla prędszego przełamania pierwszych trudności. Do angielskiego, z którym także choć trochę zaznajomić się pragnąłem, zarekomendował mi poznany doktor Raciborski jakąś biedną wdowę angielską, która z ośmioletnią córeczką na godziny lekcyi do mnie uczęszczała. Nie wiem

jednak, czy z winy ucznia, czy nauczycielki, angielszczyzna z wielką trudnością mi przychodziła i w praktyce przy wycieczce na wiosnę do Londynu okazała się zupełnie niepomocną, gdy przeciwnie włoski język przyswoiłem sobie z wielką łatwością, a profesor Vimercati poczytywał mnie za jednego z lepszych uczniów swoich, którzy tej zimy na jego publiczne wykłady dość gromadnie się zbierali. A kiedy potem całe Włochy zwiedzałem, nawet z nieapolitańskimi fachinami i łazaronami rozumieliśmy się doskonale.

Nie przestając na tej lingwistyce, zapisałem się też na wolnego słuchacza w conservatoire des arts et métiers i uczęszczałem tam z wielką przyjemnością i pożytkiem prawie codziennie na godzin kilka.

Takie zajęcia były mi nieraz miłszemi od teatrów, a zawsze dawałem im pierwszeństwo nad nudnymi rautami, tańczącymi wieczorami lub najświetniejszymi nawet balami, gdzie mnie znajomi przymusem prawie zaciągali, a ciekawość tylko nie dała wyzwać się od nich w zupełności.

Kolonia polska owej zimy bardzo silnie w Paryżu reprezentowaną była: hr. Aleksandrostwo Branicki, hr. Adamostwo Potoccy,

księżna Władysławowa Sanguszkowa z synem i córką, ks. Adam Sapieha z żoną, pani Walewska z siostrzenicą panną Celiną Karwicką, pani Franciszkowa Wodzicka z córką, pani Zygmuntowa Krasińska, księstwo Eu. Czetwertyńscy z córkami, państwo Pusłowski, Moszyński, Karolostwo Przezdzieccy, pani Leonowa Swiejkowska i wiele innych, których przypomnieć już mi trudno. Przytem szykownej młodzieży był także zastęp dość liczny, a że wszyscy dla zabawy się zjechali, z małym więc bardzo udziałem miejscowego towarzystwa liczne wyjątkowo zebrańia naszej narodowości były przez całą zimę na porządku dziennym. Prócz środowych tańczących wieczorów u księstwa Czartoryskich, gdzie doborowe koło zawsze duży salon zapełniało, najświetniejszy bal, w którym udział brałem, urządziła dla młodych panien wiekowa już pani hrabina Kisielew, Potocka z domu, żona ambasadora rosyjskiego, ale rozłączona z mężem. W mniejszych nieco kołach ochoczo się bawiono prawie u wszystkich po kolei; mieliśmy przytem jeden bal angielski u lady Bonbury, matki pani Konstantowej Jasińskiej z Wołynia.

Na balach dworu także dość łatwo w Tuileries znaleźć się było można przez chętną

uczynność ambasadora Kisielewa; obowiązującym był tylko w takim razie mundur. Chociaż więc ciekawość nęciła, nie chcąc ponosić tego dość znacznego w Paryżu wydatku i prosić o łaskawe pośrednictwo, odmówiłem sobie tej przyjemności, którą mniej więcej zadowolić mogłem, uzyskawszy bez wielkiego trudu bilet wejścia na bal w ratuszu (hôtel de ville), wydany z przepychem i najświetniejszą iluminacją na ufetowanie wielkiego księcia Konstantego¹⁾ w czasie jego gościny u dworu francuskiego. Prócz całej rodziny cesarskiej, wszyscy ministrowie, ambasady i t. d. występowali na tym balu w oficjalnych galowych strojach, zwykłym zaś śmiertelnikom trzewiki tylko na wyróżnienie w stroju wystarczały.

Przy paradzie wojskowej na polu Marsowym dla tegoż wielkiego księcia urządzonej, zdobywszy doskonałe okno za 20 franków na galerii jakiegoś poddasza, dokładnie przypatrując się wszelkim ruchom zebranych pułków, pomimo ogólnie świetnego wyglądu takowych, jako ekswojskowego raził mnie brak precyzji w obrotach i nieustanne łamanie linii, szczególnie w ka-

¹⁾ Brat cesarza Aleksandra II. Przyp. wyd.

waleryi, chociaż ją doborowe pułki składały. Dowodziło to jawnie, że ćwiczenia wojskowe za Napoleona III. wiele do życzenia pozostawiały.

W czasie następnej bytności króla bawarskiego znowu miałem sposobność oglądać z bliska cały świat oficjalny w wielkim teatrze. Wprawdzie nieco drogo to kosztowało, gdyż za fotel, w stalle d' orchestre z wielkim mozołem zdobyty, zapłaciłem franków 80, ale widok rzeczywiście był wspaniały, gdyż środkowa loża cesarska rozszerzona przyległemi i całe pierwsze piętro, zaćmiewały oczy blaskiem klejnotów pięknych pań i orderowych brylantów umuduirowanych dostojników.

Wielki post w mieszczkańskim Paryżu zabaw nie przerywa wcale; kolonia polska przechowując mniej postępowe zwyczaje, poświęca ten czas obowiązkom dobroczynnym, które się rozpoczynają od wenty w hotelu Lambert na korzyść biednych emigrantów. Potem jedna ze zwykłych konferencyi religijnych w notre Dame de Paris, jakiej owej zimy wygłaszał arcywymowny abbé Félix, ma od dawna przywilej zbierania składek w tym samym celu; panie z kwiatu towarzystwa zasiadają z woreczkami u kilku wejść do świątyni, a gdy publiczność tłumnie wychodzi, obo-

wiązkiem asystujących każdej damie panów odzywać się o jałmużnę do przechodzących: Pour les pauvres polonais, s'il vous plait!

Powołany między innymi na takiego asystenta, wyznam szczerze, iż ta żebracza odezwa w imieniu nieszczęsnych rodaków do obojętnych cudzoziemców dławiła mi gardło, i pani Walewska z siostrzenicą, przy których służbę spełniałem, często napominać mnie musiały. Kto jednak nie wie, co to jest nędza w Paryżu, życzę niech zajrzy tam na jakie poddasze w zakątnej ulicy, gdzie na niechlujnej przestrzeni kilku łokci dwóch lub trzech starych i schorzałych ofiarników ojczyzny na zgniłej słomie pod łachmanami wyczekuje miłosierdzia, choćby kawałka chleba, którego dla braku sił zdobyć już nie są w stanie.

Pod koniec postu korzystając z pięknej pogody, wybrałem się w towarzystwie Kazimierza Stadnickiego na dziesięć dni do Londynu. Przejazd wypadł niebardzo fortunnie dla mnie, gdyż z powodu zawiania na pokładzie parowca w czasie dość silnej burzy sparaliżowało mi a przynajmniej ubezwładniło prawą rękę. Pierwsza więc czynność w Londynie musiała być skierowaną do doktora; pocieszył on mnie, że takie wypadki na morzu się przytrafiają, lecz użycie

energicznych środków złe uchyli z pewnością. I rzeczywiście parowa łaźnia przy silnych frykcyach spirytusami ulgę mi sprawiła, długo jednak na temblaku rękę nosić musiałem i dopiero za powrotem do Paryża gimnastyka zupełną siłę ręce przywróciła. Przy tej niemiłej okoliczności poznałem dobry i praktyczny zwyczaj lekarzy angielskich; sami oni udzielają pacjentowi potrzebnych medykamentów, a potem stosowny rachunek i rozplata, bez ceremonii, jakby w magazynie.

Londyn zadziwił nas przedewszystkiem bezmiernym ogromem swoim i zupełnie odrębną cechą miasta. Przy kolosalnych publicznych budynkach, w ogóle domy niewielkie i co najwięcej trzypiętrowe, każdy bowiem Anglik lubi być u siebie i nawet mniej możny najczęściej cały dom zajmuje, a w takich razach mieszkanie tak urządza, że salony na pierwszym, sypialnie i pracownia na drugim, a służba na trzecim piętrze. Przy wejściu nie ma dzwonek, tylko młotki z kowadełkami; kto nie chce czekać na próżno lub być poczytanym za nieśmiałego petycyanta czy natrętnego żebraka, niech głośnych razów młotkowych nie szczędzi. Takie skromne rozmiary domów, przy pięciu olbrzymich parkach

wśród miasta i wielkich ogrodach obok rezydencji prywatnych lordów i milionerów w odrębnej dzielnicy, przyczyniają się oczywiście do tej bezmiernej rozległości grodu. Piechotą chodzić tam prawie niepodobna, gdyż czasu nie wystarczy, lecz koleje żelazne, parowce na Tamizie, tramwaje, omnibusy i szybko kłusujące jednokonki, tak zwane keby, ułatwiają komunikację na wszystkie strony; trzeba tylko posiadać doskonale znajomość takowych, inaczej dużo pieniędzy darmo się wydaje.

Co do nas, mieliśmy przezorność zaopatrzyć się w adres zacnego enigranta Jachowskiego, który opiekował się nami od rana do późnej nocy; bez tej jego uczynności bodaj żebyśmy sobie rady dać nie potrafili, gdyż mojej angielszczyzny nikt tam nie rozumiał, a w najlepszych nawet magazynach i restauracjach francuski język robi wrażenie co najmniej chińskiego.

Zapewne, że na oględziny nagromadzonych ciekawości w tej metropolii dziesięć dni było nieco za skąpo, lecz przy uczynnej praktyczności p. Jachowskiego w kierowaniu codziennych obrotów naszych, choć trochę pobieżnie, zwiedziliśmy prawie wszystko i jeden dzień nawet mógł być

poświęconym na śliczną ekskursję do Windsoru. Przenoszenie się z miejsca na miejsce koleją żelazną w Anglii jest tak szybkie, że nerwowych nie małym strachem przejmować musi. Niedarmo też Anglik mówi, że czas jest złoto, które, o ile można, oszczędzać trzeba.

Wielkanoc spędziliśmy już w Paryżu, który po Londynie dziwnie małym się nam wydał. Cała kolonia polska zaproszoną była jak zwykle na święcone w gościnne progi hotelu Lambert, mnie jednak niemoc ręki tak jeszcze swobodę ruchów krępowała, iż ku wielkiej przykrości musiałem sam jeden wysiadywać w domu.

Z ustaleniem ciepła, że niejaki dolegliwości czuć mi się dawały, idąc za radą doktora Raciborskiego, wybrałem się najprzód na 6 tygodni do wód w Kreuznach, stamtąd dla odpoczynku i rozrywki do Wiesbadenu, gdzie kilku znajomych pobyt uprzyjemniło, a następnie znowu Renem przez Kolonię i Brukselę powtórnie do morskich kąpeli w Ostendzie. Między wielką liczbą rodaków, z którymi czas mile ubiegał, zastawszy tam mojego szwagra Jodkę, ułożyliśmy odbyć razem wędrowkę do Włoch, które jemu nieznane jeszcze były.

Paryż, mniej więcej po drodze, zatrzymał nas kilka tygodni, a w dość późnej już jesieni na Lion przez górę św. Gotarda powitaliśmy klasyczną ziemię Petrarke, Danta i tylu innych geniuszów, w skromnej jeszcze wówczas stolicy Piemontu. Tydzień wystarczał tam na dokładniejsze nawet obejrzenie miejscowych ciekawości, ulewny jednak deszcz, z jakim tylko pod włoskim niebem zapoznać się można, zatrzymał nas parę dni dłużej. Żaden parasol, przy lejących się bez przerwy dzień i noc potokach wody, ochronić i utrzymać się w ręku nie mógł. Na szczęście Turyn przy głównych ulicach ma wszędzie sklepienie arkady nad chodnikami, jak przy ulicy Rivoli w Paryżu, inaczej bylibyśmy skazani na wysiadanie przy-musowej rekolekcji w izbie hotelowej.

Kiedy nareszcie słońce zajaśniało, oznajmiono nam, że wstrzymane pociągi dla nawalnej i rozlanej wody w dolinie Po wyruszyć mają, a dla ostrożności przy przebywaniu licznych mostów do Aleksandryi i Genui poprzedzać będzie osobna lokomotywa z inżynierem. Nie tracąc chwili czasu, pospieszyliśmy na kolej i dalej w drogę. Chociaż rzeczywiście cała dolina była do stoku gór zalana wodą tak, że dachy tylko i szczyty drzew na powierzchni

sterczały, wysoki nasyp kolejowy dominował nad rozhukanym żywiołem i po nim jakby po grobli rzuconej przez wody, liczne mosty do miasteczka Astii przebyliśmy bez szwanku. Tu choć deszcz, lecz nie tak gwałtowny znowu zaczął padać, przy zwolnieniu biegu postanowiono posuwać się dalej. Pierwszy most był już szczęśliwie za nami, gdy raptem wśród pola, a bardziej wody, pociąg wstrzymano na miejscu. Przodujący inżynier dał niemiłą wiadomość, że następny most nadwężony; po niedługiej naradzie cofnięto się, by powrócić do Astii, ale na biedę tylko co przebyty most także już obrywać się zaczynał i jedyna rada spieszyć co prędzej piechotą do odległej o dobrą wiorstę stacyi; dla mężczyzn pod parasolami pół biedy, lecz damy i dzieci żałośny widok w tej pielgrzymce przedstawiały.

W jedynym hotelu miasteczka Astii przychodziło zdobywać szturmem łyżkę strawy i jakibądź kąt dla noclegu, najsmutniejsze zaś było, że o możliwości powrotu do Turynu lub przedostania się do Aleksandryi urzędnicy kolejowi nic stanowczego powiedzieć nie umieli; wysłano tylko telegramy na wszystkie strony i radzono uzbroidź się w cierpliwość. Przy możliwych wygodach taki epizod w podróży nadawałby się nawet do

drastyczniejszej notatki w pamiętnikach turysty, ale gdy większej liczbie pasażerów stoły jadalne i fotele za łóżka służyły, bardzo zaś umiarkowana kuchnia hotelowa wszelkie zapasy swoje wyczerpała, na drugi dzień o południu z niemłą radością powitaliśmy wiadomość, że ściągnięte z okolicznych miasteczek omnibusy w liczbie sześciu, przewiozą niezwłocznie po wynioślejszej nieco szosowej drodze pasażerów I. klasy do Aleksandryi.

Zakrzętnąwszy się w mgnieniu oka, ja ze szwagrem, młode jakieś małżeństwo francuskie z dzieckiem i kilku innych, znaleźliśmy się w pierwszym numerze karawany omnibusowej, gdzie najdogodniejsze miejsce dla widoku zająłem obok woźnicy, resztę zaś pasażerów II. i III. klasy zostawiono na miejscu do dnia następnego. — Wlokąc się leniwo po szosie, wkrótce mieliśmy znowu wodę po obu stronach, czasami nawet i droga zalaną była, lecz kamienne słupki, dość gęsto wzdłuż szosy osadzone, dyrekcyjną wskazywały. Pod wieczór, już niedaleko Aleksandryi, zerwany mostek silnym tylko pędem wody o byłem istnieniu swoim świadczył, lecz że ten sam omnibus z rana szczęśliwie w bród tam przejechał, zbyt ufny woźnica okładał tylko

batem niechętnie decydujące się na kąpiel wyżej brzuchów konie. W samym środku tej przerwy jeden z dyszlowych wpada do głębokiej jamy, rwie naprzód i wywróciwszy omnibus, zanurza się do połowy w wodzie. Krzyk, lament, wyrzekania, upewniają mnie tylko na pociechę, że towarzysze podróży zamknięci w dużym pudle są wszyscy przy życiu, ale zimnej kąpeli także niebardzo radzi. Dla mnie miejsce jakie zająłem, okazało się najpraktyczniejszym, gdyż widząc pierwszy co się dzieje, tak prędko potrafiłem salwować się na wierzch wywróconej budy, że zaledwie obuwie miałem zamoczone. Otworzyć coprędzej drzwiczki omnibusu i wyciągać biednych kąpielników, było oczywiście pierwszym mozolnem zatrudnieniem i z natury rzeczy przede wszystkim niosłem moją pomoc młodej francuzce i jej kilkoletniej córeczce. Tu mój szwagier przypominając sobie zapewne egoistyczne przysłowie francuskie: »Chacun pour soi, Dieu pour tout le monde«, woła z głębi niecierpliwie: »Panie Marcinie, ty zawsze służysz tylko kobietom, dawaj mi co prędzej rękę, bo nie wydobędę się z tej biedy«. Musiał jednak poczekać i przyszła kolej na niego. Włościanie z przyległej wioski pospieszyli nam na ratunek i zabrali zmokniętych

do nitki na dwukołowe jednokonne wozy, którymi do Aleksandryi pompatycznie wjechaliśmy ciemnym już zmrokiem. Nieszczęsnego dyszlowego woda zalała, resztę koni powyciągali, pięć zaś omnibusów z naszej karawany, nie ryzykując takiej przeprawy, nawróciło nie wiem już jaką drogą.

W Aleksandryi nowy kłopot nas czekał z powodu braku rzeczy do przebrania, gdyż kufry musiały zostać w Astii; lecz wysuszyło się jedno, dokupiło drugie i nie czekając, pierwszym rannym pociągiem po tej najcudniejszej drodze samych wiaduktów, tunelów i galeryi, popędziliśmy ze szwagrem do uśmiechającej się czarownym wdziękiem swoim marmurowej Genui. Po trzech dniach dopiero nadesłano tam nasze kufry. Tu nacieszywszy się do woli zachwycającym widokiem zatoki i morza z przepysznej terasy marmurowej na wysokich arkadach, przypatrzywszy się w zdumieniu zewnątrz i wewnątrz strojnym pałacom dawnych podestów na każdym niemal kroku, nie odmówiliśmy sobie przyjemności zwiedzenia i ślicznej willi Palavicini za miastem. A następnie parowiec przeniósł nas do Liworna.

Piza po drodze do Florencyi zapisała się niemniej mile w pamięci swojemi znanemi szczególnościami. Kolebka Medyceuszów nierównie więcej czasu wymagała na dokładniejsze poznanie nagromadzonych tam arcydzieł sztuki, bodaj że miesiące nie wystarczyłyby. Ale że interesa mojego szwagra zbyt długo po za krajem być mu nie dozwalały i obu nam pilno było do wiecznego grodu, po tygodniu lataniny we Florencyi, powracając przez Pizę siedliśmy na statek w Liwornie i szczęśliwie wylądowaliśmy w Civita-Vechia. Wyuczysz się pierwej z planu bardzo dokładnie topografii Rzymu i mając w pamięci tak rozpowszechnione wizerunki niemal wszystkich tam świątyń, gmachów i zabytków tyluwiekowej przeszłości, od samego wjazdu przy cudnej nocy księżycowej, która bardziej jeszcze urok podnosiła, zdało mi się, że jestem w dawno znajomym grodzie.

Wyskoczywszy więc tylko przed hotelem na Piazza di Spania, po zaleceniu zabrania naszych pakunków, nie pytając wcale o drogę, pobiegliśmy ze szwagrem najprzód przez most św. Anioła do bazyliki św. Piotra, a zaspokoiwszy choć chwilowo zachwycone oczy tym majestatycznie wspaniałym widokiem i skłoniwszy kornie

czoła przed głównym przybytkiem chrześcijańskiego świata, w skupieniu ducha nawróciliśmy pomału przez Corso do Kwirynału, Forum Romanum, Via Apia, porta Titiana i Vespazyana, i dotarli aż do Coloseum. Szwagier wprawdzie wobec zupełnej pustki dokoła tych monumentalnych ruin, wspomniawszy o czytanych napadach bandytów włoskich, zachęcał do najprędszego odwrotu, ale stojące zbrojne warty francuskie, jakie za zbliżeniem dostrzegliśmy w różnych miejscach pod murami gmachu, otuchy mu dodały, i opłaciła się nam sownie ta pierwsza nocna wycieczka po zabytkach tyluwiekowej przeszłości.

Przy wejściu do areny tego kolosu, uderza najprzód oko samotny krzyż drewniany, wznoszący swe ramiona jakby w modlitwie ku niebu, nad tem cmentarzyskiem pierwszych męczenników chrześcijaństwa. Toż na wspomnienie krwawych tam mordów zwierzęcego bałwochwalstwa, dreszczem byliśmy przejęci do szpiku kości; zdało się nam dosłuchiwać w podziemnych sklepiskach przerażające ryki zgłodniałych lwów, na arenie jęk konających ofiar, a na granitowych ławach piętrzącego się w bezmiernej wysokości amfiteatru radośne wycia i oklaski rozjuszonych

tluszczy widzów. Bo też dla nas wyjątkowo, przy znalezieniu się tam po raz pierwszy wśród półświatła pysznej księżycowej nocy z iskrzącymi się miliardami gwiazd na ciemnym lazurze nieba, wrażenie potęgowało się do największych rozmiarów; czując tedy jakąś niezwykłą podniosłość ducha, bardzo długo nie mogliśmy się oderwać od tego czaru.

Następnych dni po ułożeniu systematycznego programu pielgrzymich oględzin naszych, nie straciliśmy jednej godziny poświęconego wedle możliwości czasu i żadne tawarzyskie stosunki na chwilę nas od tego nie oderwały. Szczegółowe opisywanie jużby nawet pamięci mojej za trudnem było, notuję więc tylko, iż w ciągu kilkotygodniowego pobytu w wiecznem mieście mieliśmy szczęśliwą możliwość oglądania i przyjęcia błogosławieństwa Ojca Świętego Piusa IX. dwukrotnie, byliśmy na mszy papieskiej w kaplicy sykstyńskiej. A co do wrażeń, ten chyba przemówień chrześcijańskiej stolicy świata tysiącnymi sposobami do nawiedzającego ją nie zrozumie, czyja dusza jest głucha, i dla którego niedostępne wszystko, co piękne, wielkie, wzniosłe i święte.

Pożegnawszy Rzym z wielkim żalem, że nie wszystko dokładnie zwiedzić czas wystarczał, z ciekawości bliższego poznania cudnego kraju cytryn i pomarańcz, gdzie olbrzymie kaktusy jak chwasty rosną, wybraliśmy dyliżansową drogę do Neapolu. Odmienność nowych tam czarów i piękności przy kwitnących różach w Grudniu zachwycała nas cały tydzień. Pyszny widok zatoki wielce przypominał Genuę, ale Wezuwiusz, który jakby na zamówienie powitał nas ognistym wybuchem swoim, dopełnił odrębności czarodziejskiego obrazu, szczególnie w nocnej porze. Schwagier, nie dowierzając siłom nóg swoich, z nużącej ekskursyi na szczyt wulkanicznej góry zrezygnował, lecz ja nie mogłem odmówić sobie tej wielkiej przyjemności, żałując tylko, że piorunujące nieustannie w łonie góry wybuchy zbliżenia do krateru stanowczo nie dopuszczały; bo chociaż drewniane sandały od palącej lawy mniej więcej zabezpieczały nogi, wyrzucane jednak siłą wulkaniczną niezmiernie wysoko w powietrze ogromne bryły kamieni, zlatując potem na wszystkie strony, nie głowie lub ręce, lecz życiu co chwila zagrażać mogły.

Pompeja, przenosząc żywo w świat od tyłu wieków zmarły, równie jak Herkulanum, zapi-

sały się niezatarcie w pamięci naszej. Ot, nie mówiąc o innych dobrze znanych szczególnościach dziwnie pięknego samem położeniem swoim Neapolu, wspomnę tylko o grocie Lazura na skalistej wysepce, w niedalekiej odległości morskiej, której zwiedzanie połączone jest czasem z niebezpieczeństwem przymusowego, względnie dłuższego w niej pobytu, gdy fale morskie nagle się podniosą.

Ujemną stroną tego uroczego miasta oprócz osławionego niechlujstwa lazaronów, wygrzewających się na słońcu w dolce farniente wśród najstrojniejszych ulic, było wówczas niezmiernie natrętne do tego stopnia żebractwo, iż żołnierz na warcie rękę wyciągał, mówiąc półgłosem do przechodnia: »Signiore per una picola butilia se vi piace«, i dokuczliwość narzucających się z wszelkimi usługami fachinów, lub zachęcających uparcie do jazdy veturinów.

Każdy cudzoziemiec (forestiero) jest u nich ekscelencyą, a przy upodobanych skróceniach w języku włoskim, powtarzają ciągle po sto razy: celenza, celenza; ja też żartując wmawiałem szwagrowi, że oni ulubionej cielőciny tak dokuczliwie proszą.

Gdy dla towarzysza mojego nadbiegła pora koniecznego powrotu do kraju, siedliśmy na statek w Neapolu bez zatrzymania do Livorna. Ten dłuższy nieco przejazd przez noc całą dał nam doznać niemało przykrych wrażeń dość silnej burzy ze wszelkimi niemiłymi jej wynikami dla nieobytych z podróżą morską. Pierwszych godzin kilka pragnąc mieć jeszcze wyobrażenie o rozhukaniu bałwanów morskich, w ciemnościach nocy trzymałem się jak mogłem na pokładzie, lecz gdy piętrzące się fale zaczęły coraz częściej i gwałtowniej zmywać pokład parowca, kapitan w obawie wypadku radził mi zejść do kajuty. Szwagier mój był już tam od dawna i dolegliwości morskie męczyły go niemiłosiernie; pocieszałem go jak mogłem, choć i sam, leżąc na wąziutkim łóżku okrętowym, zacząłem coraz bardziej doświadczać tej nieprzyjemności. Mocujący się z bałwanami statek, z trzaskiem niby łamiącego się wiązania, wcale niemiłe wrażenie sprawiał, które doszło do kresu, gdy rzucony z gwałtownością na bok nagle się przychylił, tak że w jednej chwili z wysoko zawieszzonego łóżka z materacem i całym pościelaniem znalazłem się na ziemi wśród potłuczonych różnych czerepów i rozlanych płynów. W dodatku

wywróciła się lampa na wiszącym stole i zagasła a cały ten chaos w najzupełniejszej ciemnicy podwójnie niemiło odczuwać się dawał. Szalejący w rozkołysaniu statek rzucał mną jak piłką na wszystkie strony, wołam więc na pomoc cameriera; ten w akrobatycznych skokach zlatuje w końcu ze schodów do kajuty z nową zapaloną lampą i po niemałych trudach wszystko do możliwego porządku przyprowadza. Na szczęście były to ostatnie już wysiłki ulatującej burzy, wkrótce spienione bałwany uspokoiły się nieco, przy wschodzącym słońcu ujrzeliśmy radośnie ziemię i niedługo parowiec zawinął szczęśliwie do portu w Liwornie.

Po odpoczynku przez jedną tylko dobę we Florencyi, w dalszej drodze zatrzymał nas nieco dłużej nieznan nam jeszcze obu Medyolan, a następnie Wenecya, w której szwagrowi, będącemu tam także po raz pierwszy, za dobrego cicerone służyć już mogłem. Potem koleją żelazną na Semering do Wiednia i Drezna, skąd dla odwiedzenia niewidzianego od trzech już lat mojego ojca zwróciliśmy drogę na Warszawę.

Dwa tygodnie w Syrenim grodzie prędko i mile ubiegły. Ojciec wysłuchując z przyjemnością wszelkie szczegóły dwuletniej podróży mo-

jej, rad był trochę dłużej na miejscu mnie zatrzymać. Ale gdy szwagrowi pilno już było do domu, i spory jeszcze kawał drogi już nie kolejną lecz pocztą, prócz przyjemności towarzystwa, przy zabraniu się na jeden wózek pocztowy o połowę kosztu podróży zmiejszał, co dla wypróznionej prawie do dna kieszeni mojej bardzo dogodnem się przedstawiało, pożegnaliśmy zatem kochanego ojca i pospieszyliśmy w swoje rodzinne strony.

Cała zima owego roku była u nas zupełnie bezśnieżną. Po szosie więc do Uściługa, choć na prostym wózku, dostaliśmy się bez wielkiego znużenia, lecz dalej fatalna gruda niemiłosiernie kości nam roztrzęsała, i przy zestawieniu tak świeżo doznanych wygod lokomocyi po ucywilizowanym świecie, z wielką przykrością niekorzystne porównanie na własnych kościach naszych co chwila dotkliwie się odbijało. A jednak przywiązanie do ziemicy ojczystej i rodzinnego gniazda jest tak bezmiernej potęgi, że po dwóch latach nieobecności, znalazłszy się na progu mojego pustkowie w Semidubach, każdy kątem witałem radośnie jakby najlepszego przyjaciela lub ukochanego krewnego po długim niewidzeniu.

Nadchodzące w krótkim czasie święta Wielkanocne podawały mi miłą sposobność nawiedzenia brata i sióstr na Podolu. A że gościnny dom moich braterstwa w Ostapkowcach zwykle na święta krewnych i sąsiedztwo licznie zgromadzało, przy końcu więc wielkiego tygodnia najprzód wprost do nich zawitałem.

Przy sprzyjającej pogodzie miłe towarzystwo zmieniało się tam prawie codziennie, lecz na trzeci dzień świąt dla zapowiedzianej tańczącej zabawy cała zaproszona okolica ściągnęła z młodem pokoleniem w doborowem gronie. Między wielu innymi przybyli też z niedalekiego sąsiedztwa pokrewni nasi, państwo Iwanowscy z Sołomny. Znając ich dobrze od dzieciństwa, pospieszyłem na powitanie po kilkoletniem niewidzeniu. Miałem się już ku odwrotowi, przypuszczając pomyłkę, gdy młoda panna niezmiernie sympatycznej urody wchodząc pierwsza do przedpokoju, podała mi jakby dobrze znajomemu z przyjemnym uśmiechem drobniutką swoją rączkę. Zdumiony i zmieszany pytam co prędzej kogoś z obecnych, kto jest ta piękna młoda osoba, co mnie tak uprzejmie powitała. »Jakto, nie poznajesz panny Jadwigi Iwanowskiej, którą przecie tak często widywałeś młodziutką jeszcze panienką? prawda, że przez

te lat kilka dziwnie urocza zmiana w niej zaszła? Ta niegdyś dziecina blada i szczupła, dziś istotny pączek róży, a figurka jak utoczona i cudnie rozwinięte kształty zachwycającego uroku i czarownego wdzięku szczerze jej dodają«. To chyba mistyfikacja, odrzekłem, czyż podobna aby parę lat tak czarowną różnicę sprawić mogły? i nie słuchając już dalszych pochwał, jakich zebrana młodzież przybyłej dziewicy nie szczędziła, pospieszyłem do salonu, gdzie były panie, żeby się lepiej przyglądnać, czy mnie własne oczy nie zwodzą. Zaciekawione spojrzenia moje wywołały krasny rumieniec na licach panny Jadwigi, a gdy przystąpiwszy bliżej przeproszałem za niepoznanie, nie pogniewała się o to i przy ożywionej rozmowie odnowiliśmy dawną znajomość w bardzo prędkim czasie. I tak jakoś bezwiednie rzeczy się składały, że kiedy do stołu wezwano, nie dałem się ubiegnać pochopnej młodzieży w podaniu ramienia nadobnej dziewicy. Na zaprojektowanym potem spacerze znalazłem się na kozle amerykanki, jaką panna Jadwiga w towarzystwie drugiej młodej osobyjechać zapragnęła. Wieczorem tańce, bodaj czy nie w większej części z nią tylko, ku wielkiej przyjemności mojej, przetańcowałem.

Bawiąc nieco dłużej u brata, po kilku dniach złożyłem oczywiście uszanowanie moje zacnym pokrewnym w Sołomnie, a uprzejma gościnność tego domu przez parę dni łaskawie mnie zatrzymała. W ludnej i ożywionej okolicy sposobność spotkania nadarzała się niemal codziennie, każde imieniny licznych gości tu i owdzie ściągały. Sołomna w tych ciągłych przejazdach wypadła mi odtąd zawsze niby po najprostszej drodze, i miesiąc pobytu na Podolu zaledwie upływał, gdy kwestarz kapucyn z Winnicy, którego u państwa Iwanowskich spotkałem, pierwszy rozwiózł wiadomość po okolicznych dworach o zrękowinach moich z panną Jadwigą.

Była to niespodzianka nie tylko dla całego sąsiedztwa i bliskich krewnych, lecz nawet dla ojca mojego. Dawna jednak zażyłość całej rodziny z Sołomną upoważniła mnie do tak prędkiej decyzji i uchylenia tradycyjnych zwyczajów i oficjalnego zachowania w danym razie.

Przy końcu lata 1858. roku weselne gody odbyły się uroczyście w Sołomnie i w piątym roku mojego wdowieństwa zabłysło mi po raz drugi nowe szczęście i powodzenie.

Za posagową sumę mojej żony nabywszy niezwłocznie ładną wieś Mirohoszczę w bliskim

sąsiedztwie Semidub, z odrodzoną energią zakrzętałem się około zdwojonej pracy i w podziale trudów z najlepszą żoną nowo nabyty cel życia uśmiechał mi się niewątpliwem zapewnieniem błogiej odtąd przyszłości.

VI. Urzędowanie.

W Maju 1859. roku przypadały zwykle gubernialne wybory na Wołyniu, co trzy lata odnawiane. Szlachta właścicieli ziemskich w Żytomierzu wybierała na tych sejmikach z koła swojego, większością głosów, marszałków powiatowych i gubernialnego, kuratora szkół, deputatów do sądu głównego i innych urzędników, których następnie rząd zatwierdzał lub w razie nieprzychylnym inny wybór zalecał.

Ciesząc się błogiem szczęściem w powtórny związek małżeński, za ledwie od pół roku zawartym, i zajęty powiększonym gospodarstwem przez nabycie nowego majątku w sąsiedztwie za posagową sumę mej żony, odjeżdżać z domu nie miałem czasu ani ochoty. W przewidywaniu, iż życzliwi powietnicy mogą zaszczycić mnie powołaniem do jakiego urzędu, postanowiłem na sejmiki nie jechać wcale a zapobiegając zaocz-

nemu wyborowi, wysłałem zawiadomienie do ówczesnego gubernialnego marszałka Mikulicza, iż z powodu niezdrowia żony i licznych domowych kłopotów na wybory stawić się nie mogę; w razie zaś gdyby łaskawe chęci obywateli powołały mnie do jakiegokolwiek urzędowania, pomimo najszczerzej chęci spełnić ich wolę będzie mi zupełnie niepodobnem. Bardzo tedy niemłą niespodzianką było dla mnie, kiedy odebrałem sztafetą zawiadomienie z Żytomierza, że szlachta dubieńska powołała mnie na urząd marszałka swojego a rząd wybór zatwierdził.

Długo wzbraniałem się przyjąć ofiarowaną mi godność, lecz kiedy kilku poważniejszych obywateli, jak pp. Romuald Ledóchowski, Karol Hulewicz, Kazimierz hr. Tarnowski, Bolesław hr. Chodkiewicz, Konstanty Lipski, przybywszy do mnie na wieś w delegacyi od powiatników, usilnie przedkładali, że położonemu zaufaniu współobywateli odmówić niepodobna, postanowienie moje stopniało i nolens volens, ku wielkiej przykrości własnej i żony, przyjąłem ciężki i kosztowny trud przewodzenia powiatowi swemu.

Przed rozpoczęciem tego przymusowego urzędowania wypadało złożyć przysięgę w gubernialnem mieście i zaprezentować się guber-

natorowi i gubernialnemu marszałkowi w Żytomierzu, a jenerałgubernatorowi w Kijowie. Odbywszy tedy tę pierwszą obowiązkową podróż, która następnie dla różnych interesów po razy kilka do roku powtarzać się musiała, przystąpiłem oficjalnie do zajęć tej obywatelskiej służby mojej.

Pomimo sarkastycznych poglądów Kraszewskiego na urząd marszałka szlachty w jednej z dawniejszych powieści jego, sumienne wypełnianie tego honorowego obowiązku niemałe zadanie przedstawiało. Oprócz głównych zajęć, jako przedstawiciela szlachty i mediatora we wszelkich jej stosunkach z rządem, przywiązane było do tego urzędu prezesowstwo w opiece nad sierotami i w komisjach: rekrutacyjnej, zdrowia, komunikacyi, dyslokacyi wojsk, więziennej i wielu innych. A kiedy jeszcze przy uwolnieniu włościan dołączono i prezesowstwo mirowych¹⁾ zjazdów, które co miesiąc przez dni kilka się odbywały, naprawdę o brak zajęcia marszałków obwiniać było trudno.

Z doświadczenia ojca, który 9 lat przewodniczył szlachcie w tem samem Dubnie, wie-

¹⁾ Komisarzy włościańskich. Przep. wyd.

działem dobrze, jak wydołanie obowiązkom tej godności podwójnie tam uciążliwe i niełatwe. Sam konieczny stosunek z arystokratycznymi domami ks. Lubomirskich, ks. Radziwiłłów, hr. Tarnowskich, Chodkiewiczów, Karwickich, Młoddeckich i innych osiadłych w powiecie, dla mierzonych środków fortuny szlacheckiej bardzo ujemnie przedstawiać się musiał. A doroczne kontrakty styczniowe, jakie wówczas jeszcze gromadnie obywatelstwo ze wszęch stron ściągały, i geograficzne położenie Dubna, na krzyżowej drodze między Królestwem, Litwą, Galicyą i naszymi prowincjami, nadawało też niezwyklego ruchu i wagi temu środkowemu punktowi. Pocięszalem się jedynie myślą, że trzy lata prędko ubiegną, a siedmiowiorstwowa tylko odległość Dubna od rezydencji naszej w Semidubach zdawała się dozwalać na częstsze na wsi niż w mieście przesiadywanie.

Jakoż urządziłem się tak, iż najawszy obszernie pomieszkanie ogłosiłem całodzienną bytność moją co środy i soboty w mieście. Intere-sanci stosowali się już do tego, a w razie pilniejszym i do Semidub dobiegnąć było im niedaleko: W czasie kontraktów jednak musiałem przez kilka tygodni stale bawić i otwarty dom prowa-

dzić w mieście. Wkrótce zaś i inne okoliczności zmuszały mnie często do dłuższego przesiadywania w Dubnie.

Pierwszą uchwałą na zjeździe powietników w domu moim postanowiono, aby w razie jakichkolwiek procesowych zajść między osiadłą szlachtą powiatu nie szukano wymiaru sprawiedliwości w sądownictwie, lecz bezwarunkowo zapisywano się na sumienny polubowny sąd bez apelacji. Strony interesowane miały dowolny wybór arbitrów, wedle własnego uznania, lecz godność superarbitra złożono nieodwołalnie w moje ręce. Taki stan rzeczy wywołał niezadowolenie członków sądowych od korony i panów adwokatów miejscowych, którym niemałe dochody się urywały, i oczywiście niemało trudu a nieraz i nieprzyjemności przysparzał. W pewnym znacznie szerszym interesie pomówiony o stronność, poddałem stanowczo przesądzenie sprawy zebranemu bardzo licznie obywatelstwu różnych powiatów w czasie kontraktów dubieńskich. Spełniając usilną prośbę moją, wybrali oni po dwóch arbitrów, dla mnie hr. Esterhazego i ks. Czetwertyńskiego, a dla strony przeciwnej pp. Miączyńskiego i Podhorońskiego. Na superarbitra zaproszono ś. p. księcia Romana Sanguszkę, a po szczegółowym

zbadaniu sprawy otrzymałem tę miłą satysfakcję, iż wyrok mój w zupełności potwierdzonym został. Niemałem też zadowolnieniem odtąd było, iż wiara w bezstronność i korzyść polubownych sądów tak się rozpowszechniła, że zagonowa szlachta, mieszczenie i żydzi nawet, udawali się do mnie z prośbami na piśmie, aby różne interesowe ich kwestye w ten sposób rozstrzygane być mogły.

Z pomyślnych rodzinnych wypadków zanotować mi tu wypada szczęśliwe przyjście na świat pierworodnego syna naszego Ignacego w r. 1859., a w rok później drugiego, który dla braci, mojego i mojej żony, ochrzczony został imieniem Aleksander. Lecz natomiast miałem nieszczęście opłakać stratę najlepszego ojca, zmarłego w Styczniu 1860. r. w Warszawie. Otrzymawszy smutną wiadomość o zatrważającej jego chorobie, pospieszyłem tam natychmiast, ale niestety było już zapóźno. Drogie szczątki w Kwietniu dopiero przewiezione do Dubna przy bardzo licznej zebraniu krewnych, przyjaciół i życzliwych na obchód pogrzebowy, złożyłem obok prochów ś. p. matki mojej w grobie rodzinnej kaplicy naszej na cmentarzu miasta.

Po srogiem, absolutnem samowładztwie cesarza Mikołaja, pierwsze lata panowania Aleksandra II. zdawały się zapowiadać system w ogóle nierównie liberalniejszy, a dla nas w szczególności niejako pojednawczy. Przy pierwszym też przejeździe cesarza; jesienią 1860. roku, przez wszystkie prowincye nasze do Warszawy, witano go wszędzie z dawno nieznaną chęcią i świetnemi owacyami. Po całej drodze, którą przebywał, na każdej stacyi pocztowej, przystrojonej z całym komfortem i elegancją a zaopatrzonej we wszelkie wiktuały, dwóch delegowanych obywateli w mundurach oczekiwało w dniu oznaczonym, i gdzie tylko cesarz zatrzymał się i wysiąść pragnął, wszystko na rozkazy jego i licznej świty w pogotowiu się znalazło.

W moim powiecie cztery stacye pocztowe w ten sposób urządzone być musiały. Z rozkładu marszruty zdawało się, że w Dubnie cesarz kolacyę spożyć zechce, ale że pewności co do tego nie było, odpowiednie przygotowania tak w mieście jak w dwóch sąsiednich stacyach zalecone zostały. Jakoż przejeżdżając przez Dubno około godziny 10tej wieczorem, cesarz mocno był uśpiony, i konie mu tylko w największej cichości zmieniono; zaraz jednak na przyległej stacyi

w Młynowie, pięknej własności hr. Chodkiewiczów, zapragnął się posilić i rozmawiał łaskawie z obywatelami, którzy go tam podejmowali. Doskonała starka Józefa Karwickiego tak przypadła do smaku cesarzowi, że raczył przyjąć jedną jej butelkę, a w zamian uczęstował właściciela najlepszem winem podróżnej piwnicy swojej.

Wiadomo, jak i Warszawa wysiliła się wówczas na świetne i wspaniałe przyjęcie dostojnego gościa. Niektóre panie posunęły nawet tak dalece żądzę wystawy klejnotów swoich, iż na powitanie cesarza poprzystrajały się w kokoszniki¹⁾ pokryte brylantami. Bal u hr. Kossakowskich i żywe obrazy, przez kwiat towarzystwa przedstawiane w zamku, cesarz mile przyjął, a piękna panna Podowska siłą wdzięków uprzejme wyróżnienie jego zdobyć potrafiła.

Niestety, wpływowi doradcy pozazdrościli nam widocznie tego chwilowego powodzenia. Znane przemówienie cesarza do zebranych znakomitszych obywateli Królestwa, wskutek wrogich podszeptów, jak utrzymywano, tak nie na dobre ogłoszone: »Point de réveries, tout ce

¹⁾ Ubranie głowy kobiet rosyjskich. Przyp. wyd.

qui a été fait, etait bien fait. Je saurai sévir etc.», zmroziło rozgrzewające się zbyt łatwo serca nasze, a przygnębiający ciężar samowładnej atmosfery z tem większą dotkliwością rozniósł się po kraju całym, że tak niespodziewana apostrofa najmniejszym powodem tłumaczyć się wówczas nie dawała.

W tejże samej podróży, gdy cesarz Kamieniec na Podolu nawiedził, zebrana szlachta pragnąc skorzystać ze sposobności, przygotowała petycję z prośbą o dozwole nie uczenia języka polskiego w szkołach, o niejakie rozszerzenie swobód religijnych dla katolików i o zwrócenie najmiłościwszej uwagi, że Podole, najbogatsza prowincya rolna imperyi, która wraz z innemi podatek komunikacyi wodnej i lądowej płaci, żadnych co się zowie ulepszonych dróg nie posiada. Cesarz nie tylko przyjęcia petycyi odmówił, ale w ostrych słowach zganił gubernialnemu marszałkowi Sulatyckiemu sam jej projekt. Następnie dopiero, gdy we wszystkich zakątkach kraju coraz silniejsze niezadowolenie głucho nurtować już zaczynało, dozwołono uczyć języka polskiego we wszystkich szkołach zachodnich gubernii i przy emancypacyi włościan niektóre inne liberalniejsze prawa pomału na-

dawano, lecz te nie były już przyjmowane jako łaski ale jako zdobyte siłą musu. Cóż więc dziwnego, że kiedy po smutnych demonstracjach patryotycznych i rocznej żałobie całego kraju udzielono Królestwu pewnego samorządu pod egidą nieszczęśliwie powołanego Wielopolskiego, zgorzałe i roznamiętione młode umysły dowodząc, że o ile więcej i natarczywiej żądać będziemy, o tyle rozciąglejsze prawa i swobody przyznane nam być muszą, łatwo zgorączkowaną a niedoświadczoną młodzież do rozpaczliwej ostateczności przynagliły. Najlepszym dowodem mogą tu być tajnie drukowane odezwy rządu narodowego w Warszawie, w ostatnich już czasach przed krwawymi zapasami, które przestrzegały najusilniej, iż porywanie się przeciw przemagającej sile fizycznej, za samobójczą tylko zbrodnię poczytywać i potępiać należy. A odezwy takie wszędzie przez ogół chętnie odczytywane, najzupełniej uznawane były. Zresztą wiadomo dobrze, co nieszczęsne powstanie zbrojne wywołało. Niech więc krew przelana i mordercze skutki, trwające już prawie ćwierć wieku, spadają na głowy tych, których pycha i zarozumiałość wywołanie, a bardziej zmuszenie do tej samobójczej zbrodni zarządziły. Mojem zadaniem dowieść tylko, że słowa

bez prawa bytu wyrzucone przez cara w Warszawie: »Point de reveries, ..«, stały się pierwszym hasłem nieszczęsnego zarzewia ostatnich klęsk i krwawo opłakanej dziś doli naszej.

Gdyby zamiast takiego odezwania udzielono wówczas czwartej tylko części tych koncesyi, jakie następnie Wielopolski przywiózł w swej tece z Petersburga, zapal wdzięczności przewyższyłby z pewnością wszelkie owacy, których wiele lat później doznał cesarz Franciszek Józef w całej Galicyi i Krakowie. Kto wie nawet, czy wstrętna katastrofa, która Aleksandra II. o tak okrutną śmierć przyprawiła, mogłaby się była wylęgnąć w zbrodniczych umysłach jego najukochańszych prawowitych poddanych? Opieram to na tej zasadzie, że na długo przed pierwszemi demonstracyami w Warszawie propaganda anarchiczna rozsiewała się u nas z Kijowa. Znany socyalista a bardziej nihilista Antonowicz, Małorosyanin, stary student uniwersytetu kijowskiego, wraz z wielu zwolennikami pracował tam usilnie nad możliwem zdemoralizowaniem młodzieży. Za pośrednictwem rozjeżdżających się studentów na wakacje rozsiewali oni po wsiach i miasteczkach broszurki w małoruskim języku podburzające przeciw szlachcie i wszelkim

zasadom wiary, moralności i kardynalnych praw społeczeństwa. Wynikiem tego były ohydne przykłady na Ukrainie, gdzie młodzi R..... przeciw własnemu ojcu włościan do zbrodniczych zamachów podniecali. Jedna z powyższych broszur dzikiej namiętności, przypadkiem a bardziej przez poczciwość starego sługi, z chaty wieśniaczej dostała się do rąk moich. Posłałem ją natychmiast z konfidencyjnym listem gubernialnemu marszałkowi, prosząc, aby zwrócił uwagę jenerałgubernatora, jak dalece smutne mogą być następstwa z takich podburzeń. Zaczny pan Karol Mikulicz pospieszył osobiście do Kijowa i z tym jawnym dokumentem w ręku domagał się u wielkorządcy ówczesnego, księcia Wasilczykowa, skutecznej opieki i działalności władzy w przykróceniu tak jawnych anarchicznych tendencji. Jenerałgubernator zdecydował jednak, iż widzi w tem tylko dziecinne wybryki »szałosti maładioży«, jak się wyraził, bez żadnych zagrażających konsekwencji; dodał tylko, że w każdym razie rząd pilnie śledzić za tem nieomieszka i z pewnością najmniejszych nieporządków nie dopuści.

Kiedy więc pomimo tego coraz silniejsze podżegania z uniwersytetu kijowskiego nie usta-

wały, na pierwszym zjeździe wszystkich marszałków powiatowych w Żytomierzu zaprojektowaliśmy wezwanie kilku starszych studentów narodowości naszej do zebranego koła przedstawicieli szlachty. Zaufana osobistość sprowadziła tych panów z Kijowa a w poufnym widzeniu się z nimi, przedstawiając całe niebezpieczeństwo takich podniecań, prosiliśmy i molestowaliśmy, żeby przynajmniej jednoplemiennych kolegów swoich starali się odwracać od tak zgubnej drogi dla dobra ogółu. Niestety, nie na wiele się to przydało, a kiedy w następstwie ten podmuch socjalistyczny przekształcił się w kraju naszym na czysto patryotyczne objawy, Rosyanie usunęli się i przycichli. Rząd zaś tłumacząc włościanom, że nie ojczyzny, lecz pańszczyzny płacemy, uzbroił ich w piki, powrozy i noże, od których jak wiadomo tyle niewinnej krwi się przelało. Ale nie uprzedzajmy najboleśniejszych wypadków; chciałem tu tylko dowieść, że nie przez nas, lecz Rosyan pierwsze zarzewia podniety były ciskane, czego w dalszem opowiadaniu nieraz jeszcze faktami potwierdzić nieomieszkać, a na przekonanie, iż katastrofa petersburska, która cara o śmierć okrutną przyprawiła, przy innym kierunku miejsca by mieć nie

mogła, dodam jeszcze, że te same nihilistyczne czynniki, którym następnie dla obrusienia kraju wszystkie prowincye nasze na pastwę wydano, rozwydrzywszy się w komunizmie i anarchii kosztem krwi i własności naszych, stali się odtąd głównym rozczynem zbrodniczych zamachów i roznamiętnienia całej imperyi.

Z czasu wyżej opisanego przejazdu cesarza przez Wołyń przytoczę zdarzenie, w którym czynny udział brać mi przychodziło. W Krzemieńcu młoda żydóweczka, córka bogatego kupca Zusmana z Ostroga, przemieszkując w sąsiedztwie pewnych nabożnych pań, pod wpływem ich przedstawień zapragnęła stanowczo zostać katoliczką. Mojżeszowi wyznawcy, dowiedziawszy się o takim postanowieniu młodej żydówki, w fanatyzmie swoim zagrozili jej śmiercią. Miejscowy policmajster na usilne prośby interesowanej, wysłał ją pod strażą do klasztoru panien Karmelitanek w Dubnie, gdzie szczęśliwie przybywszy, zwróciła się ona do opieki mojej. Zdesperowany ojciec pojawił się też niezwłocznie z domaganiem, abym córkę wydać mu zalecił. W kłopotliwym położeniu, nie wiedząc jak rząd na ten fakt zapatrywać się zechce, postanowiłem udać się z kupcem do klasztoru i ułatwiłem mu

widzenie się z córką. Padła ona do nóg ojcu, przepraszała za przykrość, jaką mu wyrządziła, lecz stanowczo pomimo łez jego oświadczyła, iż dopóki ochrzczoną nie zostanie, nikt jej żywą z klasztoru nie wyprowadzi. Przerażone zakonnice pogrózkami, nie bardzo rade były tej niespodziewanej lokatorce, ale oczywiście rzecz musiała zostać w zawieszeniu do czasu orzeczenia wyższej władzy.

W parę tygodni cesarz w przejeździe zwiedzał monaster poczajowski; przy wysiadaniu cesarza koło cerkwi Zusmann wyskoczywszy z tłumu, padł na kolana i wykrzyknął donośnym głosem: »Wasze Imperatorskoje Welicestwo! Kremienieckij gorodniczyj uwioz nasilno moju docz i zapier w dubenskoj katoliczeskoj monastyr, a miestnyj predwoditel dworianstwa pokrowitelstwujet etomu«¹⁾. Cesarz zmarszczywszy brew, zwrócił się do generałgubernatora, i wyrzekłszy tylko słowa: »Wasilczikow! kakije u tiebia bezporiadki?«²⁾ udał się do cerkwi.

¹⁾ »Najjaśniejszy Panie! Krzemieniecki burmistrz wywiózł gwałtem moją córkę i zamknął w dubieńskim katolickim klasztorze, a miejscowy marszałek szlachty dopomaga do tego«.

²⁾ »Wasilczikow, jakie u ciebie nieporządki?«

Na trzeci dzień, gubernator ks. Drucki Sokoliński i pułkownik żandarmeryi byli już u mnie w Dubnie, lecz przekonawszy się naocznie, że tu żadna intryga nie zaszła, dozwolili żydóweczce pozostać w klasztorze, a poruczywszy ją oficjalnie opiece mojej, wysłali raport gdzie należało. Gdy jednak przez parę miesięcy żadna rezolucya nie nadchodziła, umyśliłem wysłać petycyę od aspirantki, wprost na imię cesarzowej. Wskutek tego dopiero nadeszła rezolucya cesarzowej, zakomunikowana mi przez generał-gubernatora, aby wybrać jeden z najbliższych dni świątecznych i z całą ceremonią dopełnić przyjęcia aspirantki na łono kościoła katolickiego. Odbył się ten obrządek z wielką uroczystością, zebrana licznie publiczność szczodrej udzieliła składki i niedługo udało się wydać neofitkę za jednego z zasobniejszych oficyalistów klucza dubieńskiego.

Donośna kwestya emancypacyi włościan, po kilkoletniem opracowywaniu, nareszcie 19. Lutego 1861. roku ogłoszoną została. Bezstronność przyznać nakazuje, że zasady tego olbrzymiego przewrotu ekonomicznych stosunków kraju były wedle możności przychylnemi dla uprzywilejowanych dotąd posiadaczy ziemi i poddanych.

Zalecane zebrania wszystkich obywateli w powiatowych miastach nadawały im prawo wyboru pod przewodnictwem marszałków wymaganej własnem uznaniem liczby sędziów pokoju, czyli tak zwanych mirowych pośredników, w powiecie. A że następnie potwierdzenie takowych zależało od przedstawienia gubernatora po naradzie z miejscowymi marszałkami, nie było więc wypadku, aby wybrany kandydat z koła osiadłych obywateli na tych ważnych nowych urządach przez wyższą władzę potwierdzonym nie był. Ci panowie dopiero, zawsze pod prezydencją miejscowych marszałków, przeprowadzeniem całej kwestyi zajmować się rozpoczęli.

Takie wybory w powiecie moim otworzyłem przemówieniem następującem:

»Panowie! Fakt wielkiej wagi i wysokiej doniosłości, po długim wyczekiwaniu, nakoniec spełniony został. I u nas przecie niema już poddaństwa, niema tak upakarzającej przymusowej pracy, a ludowi naszemu po tyłuwiekowym moralnym ucisku i przygnębieniu, w poczuciu sprawiedliwości i ogólnego dobra, nareszcie swobodnie już wythnąć wolno«.

»Ta olbrzymia zmiana, to wszechstronne przekształcenie stosunków naszych z włościanami

bez wątpienia, w początkach przynajmniej, o nie-małe straty materyalne przyprawić muszą, lecz przeświadczony jestem, panowie, iż żaden z nas tych koniecznych przechodowych strat na chwilę żałować nie może i nie będzie«.

»Któż bowiem lepiej od nas samych, potrzebę i rozkosz swobody czuć i oceniać jest zdolnym? Droga nasza obecnie prosta i wytknięta. Otręśmy się z sobkowstwa, odrętwienia i przesądów dawnych. Podajmy młodszej braci przyjacielskie dłonie. Weźmy się szczerze do pracy. Bądźmy im wzorem i przychylną radą, a wspierając się wzajemnie, w mozolnych lecz wdzięcznych trudach rolniczego zawodu Piastów naszych, odzyskamy w trójnasób poniesione dziś straty. A Bóg sprawiedliwy, w nagrodę bratnich poświęceń i jedności, i nam panowie swobodniejszej przyszłości z pewnością doczekać dozwoli«.

Po tem przemówieniu, które zjednało mi ogólne oklaski zebranych w całym komplecie powiatników a które gazety lwowskie niezwłocznie w szpaltach swoich z uznaniem umieściły, za-wezwałem współobywateli do pierwszej czynności: ułożenia odpowiedniej liczby kandydatów na nowo kreowane urzędy. Po długich naradach, przy podzieleniu powiatu na cztery okręgi, wy-

brano na sędziów pokoju znanych z prawości, wzorowego gospodarstwa i energii: Władysława Krzywickiego, Stanisława Śliwińskiego, hr. Kazimierza Tarnowskiego i Konstantego Lipskiego. A ponieważ te urzędy, wymagające ciągłych rozjazdów, oderwania od zajęć własnych i utrzymania osobistej kancelaryi, na znaczne koszta narażały, uchwalono też honorarium dla każdego sędziego po 1500 rubli rocznie, i zadecydowano na ten cel stosowną opłatę od ziemi, li tylko obywatelskiej.

Dalej, z woli rządu, marszałkowie upoważnieni zostali do ogłaszania włościanom powiatów swoich nadanej im swobody z prawem wykupu używalnej dotąd za pańszczyznę ziemi, wedle normy cen określonych dla każdej miejscowości a zarazem do przeprowadzenia przez włościan wyboru starostów¹⁾ i innych urzędników gminy, jakich nowa organizacja wymagała. Zacząwszy tedy od włości swoich, jeździłem przez dwa miesiące nieprzerwanie po całym powiecie, a używając narzecza wieśniaków naszych, którem władałem dobrze, tłumaczyłem im zasady i korzyści nowego prawa, i udało mi się przeprowa-

¹⁾ Wójtów. Przyp. wyd.

dzie wszystko bez najmniejszych nieporządków i opozycji, jakie w innych miejscach się nadarzały. Lecz wskutek licznych wygłoszeń, i długich przemawiań na otwartem powietrzu, przy zmiennej pogodzie pierwszych miesięcy wiosny, chroniczne zapalenie gardła przez kilka lat potem dotkliwie czuć mi się dawało.

Oficyalne wprowadzenie sędziów pokoju na ich urzędy, przy dokonaniu przysięgi wobec zebranych przedstawicieli gmin każdego okręgu, także marszałkom poruczone zostało. Następnie rozpoczęły się zjazdy sędziów co miesiąc, pod prezydencją i przeważnie w domach marszałków odbywane, gdzie na zasadzie wydanego prawa każdy interesowany mógł przedstawiać swoje wnioski, projekta, żądania i dobrowolne układy z włościanami, które po stosownem orzeczeniu zjazdu sędziów przedstawiano komitetom gubernialnym, do ostatecznego potwierdzenia lub zmiany.

Na pierwszym zjeździe takim wychodząc z zasady, iż najprędsze uwłaszczenie włościan, przez nadanie im prawa dziedziczenia używanych dotąd gruntów, rozwinie tem samem najłatwiej poszanowanie cudzej własności, a główną kwestją ich bytu i stosunku z dotychczasowymi

dziedzicami ziemi ostatecznie rozstrzygnię i zakończy, podałem powietnikom moim projekt, aby korzystając z zastrzeżonej prerogatywy w nowem prawie, zrobili ofiarę piątej części wykupów, przypadającej wedle oszacowania każdej miejscowości, i prosili o wykup przymusowy z jednoczesnem przeprowadzeniem separatów¹⁾ jako kardynalnej podstawy racjonalnego i postępowego gospodarstwa.

Po niewielkich opozycjach przeważna większość podzieliła to zapatrywanie moje, lecz kiedy się rzecz rozgłosiła, odebrałem konfidencyjalne pismo od gubernialnego marszałka, proszące, abym propagowania przymusowych wykupów za pośrednictwem rządu zaniechał, gdyż towarzystwo kredytowe ziemskie, zawiązujące się w naszych trzech guberniach oddzielnie, zamierza własnymi siłami na korzystniejszych warunkach przeprowadzić wykupy. Oprócz tego jeden z członków projektowanego towarzystwa, pan Ignacy Knoll, zaszczycił mnie kilkuarkuszowymi dowodami o mniemanej praktyczności i pożytkach dla ogółu, z dokonywającej się w ten sposób operacji.

¹⁾ Komasaży gruntów. Przyp. wyd.

Nie uwodząc się bezwarunkową wiarą w nieomylność moją, a bardziej czując całą doniosłość jednolitego przeprowadzania tej pierwszorzędnej kwestyi, cofnąłem inicjatywę moją, zostawiając rzecz dalszemu jej biegowi. Zbyt gorzko wiadomo, co zaszło następnie. Towarzystwo kredytowe ziemskie po kilkumiesięcznych opracowaniach projektu spełzło na niczem, a rząd skorzystawszy z powstańczego ruchu darował wspaniale włościanom piątą część przypadających nam wykupów. Nasłani zaś w zamian wyborowych sędziów pokoju, nihilistyczni siepacze z północy, urządzili i obrachowali nas tak, iż były autentyczne fakta, że właściciel musiał dopłacić włościanom za ziemię, którą na ich udziały od niego odebrano.

— Nie jest to żaden wymysł, lecz prawda najrzeczywistsza, gdyż w ten rachunek wchodziły najprzód opłacane czynsze przez włościan przez dwa lata wedle pierwotnej ustawy, potem koszta dowolne pomiarów i planów dla tychże włościan, a nakoniec wynagrodzenie ich za utrzymywaną straż po wsiach w czasie ogólnego niby powstania szlachty. A ponieważ urządzieli ci najdowolniej mogli obniżać ceny ziemi wedle miejscowych warunków, łatwo stąd w mniej-

szych majątnościach poleskich minimum przy-
sądzonych łaskawie wykupów nie wyrówny-
wało sumie zliczonych od właściciela debetów.
Nadto z niezmiernie małymi tylko wyjątkami,
okupionymi na wagę złota, dotąd separatów
nie mamy zupełnie, a w wielu miejscowo-
ściach najdziwaczniejsze szachownice gruntowe
wszelkie mozoły gospodarskie udaremniają.

Obok tyle powiększonych trudów i kosztów
urzędowania mojego w Dubnie, dźwigając przytem
niemały ciężar osobistej opieki nad masą ma-
jątków nieletnich hr. Chodkiewiczów w trzech
guberniach, kiedy po upływie pierwszego trzech-
lecia, wskutek podanego adresu do cesarza przez
obywateli Podola na wyborach w Kamieńcu,
nadeszły termin wołyńskich wyborów zawieszony
został, czując coraz dotkliwsze materialne
uszczerbki, a przy coraz gorętszych demonstra-
cyach patryotycznych oceniając całą trudność
stosownego zachowania marszałków wobec rządu
z jednej, a tylostronnych prądów z drugiej
strony, postanowiłem podać się do dymisji.
I wedle obowiązującej procedury wysłałem o to
prośbę do gubernialnego marszałka dla przed-
stawienia jej wyższej władzy. Wkrótce jednak
otrzymałem własnoręczne pismo marszałka gu-

bernii z udzieleniem wiadomości, że miał sposobność przedstawiać osobiście życzenie moje generał-gubernatorowi w Kijowie, lecz ten upewniając, że wybory wołyńskie w niedługim czasie dozwolone zostaną, zalecił prosić mnie, abym nie opuszczał urzędu do ich otwarcia. Sam zaś marszałek z przychylną usilnością obligował, abym zechciał dymisyją moją cofnąć. Na biedę i z ciężkiem westchnieniem uczyniłem temu zadość i odtąd bolesna droga krzyża mojego na dobre się rozpoczęła.

Najszczerzej mówiąc, w powodzenie tego ruchu najmniejszej co się zowie wiary nie miałem. Prócz tylu innych ujemnych warunków, sam czas wobec świeżo rozpoczętej kwestyi włościańskiej, musiał się przedstawiać najnieszczęśliwiej wybranym. Wszelkie zaś zbiorowe demonstracye, jako roznamiętniające gorący zapal młodzieży i kobiet, zdawały mi się nie odpowiadać wysokiemu celowi. Używałem też wszelkich możliwych wpływów i perswazyi, aby zapobiedz takowym; jakoż w powiecie moim do końca nie było ani hymnów patryotycznych po kościołach, ani nabożeństw żałobnych, które nawet po gubernialnych miastach miejsce miały. Za najlepszy zaś dowód, że przeważna większość podzielała zdanie

moje, może służyć to bezwarunkowe zaufanie, jakim do ostatnich dni cały powiat i sąsiednie nawet zaszczycać mnie nie przestały.

Oczywiście, żeby skutecznie radzić, trzeba też było koniecznie i wiedzieć o wszystkim; sam więc utrzymywałem ciągle stosunki rozgałęzione w różnych stronach i nie było prawie tygodnia, aby to z Warszawy, to ze Lwowa, Żytomierza lub różnych miejsc prowincyi tajemniczy jakiś wysłaniec czy w Dubnie, czy w Semidubach u mnie się nie pojawił. Co zaś trwogi i niepokoju wycierpiała przez te gorączkowe czasy najlepsza żona moja, której chociaż z zasady żadnych zwierzeń nie udzielałem, lecz ciągłych nawiedzań przez nieznane osobistości utaić nie mogłem, Bogu tylko jednemu wiadomo.

Jakie znowu nadużycia miejscowych władz działały się w tych latach ogólnego rozprężenia, dosyć przytoczyć zdarzenie następujące.

Pan Janusz Ledóchowski, możny obywatel powiatu dubieńskiego, rozpoczął budowę nowego gmachu mieszkalnego w majątku swoim Smordwie. Po emancypacyi włościan, kiedy miejscowych robotników do wznoszenia murów zabrakło, korzystając z sąsiednich osad drobnej zagonowej szlachty w powiecie łuckim, sprowadził stamtąd

i umówił kilkunastu murarzy. Gdy z szerzącymi się objawami rewolucyjnych ruchów nadeszły rozporządzenia wyższej władzy do policji, aby śledzono i przytrzymywano wszystkich bezpaszportowych, miejscowy przystawa¹⁾, mając jakąś osobistą urazę do p. Ledóchowskiego, zapewne że mu nie dał zwykłej ordynaryi lub pensyi, uwiadomiony, że murarze z sąsiedniego powiatu paszportów nie posiadają, polecił aresztować ich wszystkich i zamknąć w ciupie miejscowej gminy. Oficjaliści jednak dla niewczesnego wykazania swej działalności pryncypałowi zakradli się nocą, korzystając z uspienia wartowników wyłamali tylną ścianę wąłłego więzienia i wszystkich aresztowanych wypuścili; ci zaś ujrawszy się na swobodzie umknęli co prędzej do zagród swoich. Stąd szumny raport przystawy, że udało mu się przyaresztować całą szajkę powstańców, którzy pod pozorem robotników ukrywali się u dziedzica Smordwy, lecz wskutek rozkazów tegoż, przytrzymanych siłą z więzienia odbito i pomimo wszelkich zabiegów odszukać ich niepodobna. Taki raport od spr-

¹⁾ Niższy urzędnik policji, rodzaj komisarza. Przep. wyd.

wnika¹⁾ pomknął do gubernatora, a ten zalecił jak najsroższą komisję na miejscu i wysłał afidowanego urzędnika osobych poruczeni²⁾ Kamieńcowa, aby zasiadał z innymi przy indagacyi tak doniosłej sprawy. Pan Ledóchowski, przełęk-niony niespodziewanym obrotem rzeczy, udaje się do pośrednictwa mojego. Najłatwiejszem zdawało się sprowadzić murarzy z powrotem i przekonać dowodnie, że na powstańców nie kwalifikują się wcale; lecz nie trafiło to bynajmniej do przekonania policyi i wszelkie niby poszukiwania nie potrafiły zbiegów wynaleść. Otrzymawszy wiadomość o tak rozmyślnie wiktanej sprawie, zaprosiłem do siebie urzędnika Kamieńcowa i przedstawivszy mu wszystko we właściwym świetle, prosiłem o stanowczy wpływ w komisyi. Na to otrzymałem lakoniczną, lecz wielce charakterystyczną odpowiedź: »Czto! eto dieło w tri tysiaczii rublej«³⁾.

Na szczęście pana Ledóchowskiego, zjechał wkrótce gubernator do Dubna i jak zwykle stanął w domu moim; zebrawszy tedy wszystkich se-

¹⁾ Naczelnik powiatu.

²⁾ Do osobnych zleceń. Przep. wyd.

³⁾ Jakto? ta sprawa warta trzy tysiące rubli.

dziów pokoju, w ich obecności opowiedziałem księciu Druckiemu cały interes, nie tając jak wysoce pan Kamieńców go oszacował. Wskutek tego rzeczywiście inna komisya wyznaczoną została i pana Ledóchowskiego uniewinniono. Ale jak sam gubernator zapatrywał się na zamysły p. Kamieńcowa, dosyć powiedzieć, że naznaczył go odtąd jako członka od korony przy mirowym zjeździe dubieńskim. Łatwo więc ocenić, jakiego wroga miałem pod bokiem, nie licząc niezadowolonej policyi i wielu innych łapowych dygnitarzy vel pijawek powiatu.

Tymczasem propaganda rewolucyjna rozkrzewiała się coraz silniej, i gdy wskutek zarządzonej nikczemnie branki przez Wielopolskiego w Warszawie, rozpacz przynagliła do zbrojnego powstania w Królestwie, prowincye nasze zadrżały bratniem współczuciem dla nieszczęsnych ofiarników, a łudzone ciągle interwencją z Paryża, gdzie Napoleon III., odgrywając jeszcze rolę wielkiego komedyanta, wygłaszanemi półsłówkami zdawał się zachęcać do szerszych i krwawych objawów życia narodowego dla rozdwojenia sił wroga, także za broń chwycić postanowiły.

Doświadczenie i głębsza rozwaga przekonywały dowodnie, iż utrzymanie się dłuższe

w morderczych zapasach będzie absolutnem niepodobieństwem, chodziło więc w rzeczywistości o dotykającą protestacyę przeciw gwałtowi i przemocy; lecz dla samej organizacyi i wyprowadzenia w pole zbrojnych oddziałów przy niekorzystnych warunkach otwartych zewsząd miejscowości, strzeżonych nieprzychylnie usposobioną ludnością obałamuczonych włościan, konieczną była szersza i specjalniejsza znajomość sztuki wojennej i strategicznej. A taki Różycki z dzielnym pomocnikiem swoim Klukowskim byli jedynymi filarami, na których, przy znanej energii i poświęceniu, co do znajomości rzeczy we wszystkich trzech prowincjach naszych wyjątkowo polegać można było. Inaczej, jak doświadczenie smutnie przekonało, dostatecznymi były powrozy i piki włościan, aby partyzanckie oddzialiki powstańcze bez wystrzału zdławić i wymordować na miejscu, lub powiązanych i srodze zbitych oddać w ręce władzy na zaludnienie katorgi i niedostępnych puszczy Sybiru.

Kiedy więc wyszedł tajemny edykt zbrojnego powstania wszystkich powiatów prowincyi naszych, widząc całą niekonsekwencyę rozpaczliwego ruchu, stanowczo w swoim i sąsiednich powiatach, na jakie z upoważnienia wpływ mia-

łem, zaprotestowałem przeciw takowemu. Podniosły się z tego oburzenia i potępienia zagorzałych, lecz pospieszywszy do Żytomierza, dotarłem do głównego organizatora ruchu, który nawiasem mówiąc, sam nigdy osobiście prochu nie zawąchał i dotąd nietykany siedzi szczęśliwie w spokoju, a przedstawivszy mu z całą stanowczością zapatrywanie moje, uzyskałem bezwarunkową sankcję postąpienia wedle własnych przekonań i uznania. Na moją więc osobistą odpowiedzialność wzbrowiłem wszelkiej ruchawki w powiatach dubieńskim, krzemienieckim, łuckim i kowelskim. Jeden włodzimierski powiat na własną rękę wyskoczył, i w tejże chwili niebaczni zapaleńcy, przez chłopów jak snopy powiązani i rzućeni na wozy, ocknęli się w turmie¹⁾ powiatowej, dając wrogom miłą sposobność głoszenia światu, iż anarchiczna cząstka] malkontentów, bez żadnego udziału siły zbrojnej mocarstwa, przez trzeźwo i zdrowo sądzącą, przeważnie przychylną ludność kraju, w ręce władzy i prawa oddaną została.

Dla doraźnego sądzenia wszelkich pomniejszych przekroczeń politycznych przeciw rządzą-

¹⁾ Więzienie. Przyp. wyd.

cej sile ustanowiony był czasowy trybunał w Dubnie, pod prezydencją miejscowego sędziego, dobrze zasłużonego rządowi swą nienawiścią dla Polaków. W celu tymczasowego pomieszczenia podsądnych, których gromadnie z okolicznych powiatów zwożono, najęto kilka obszernych sal kontraktowych w ratuszu miasta. Żywnienie jednak pozostawione było zasobom własnym, a że najczęściej delikwenci z proletaryatu i klas niezamożnych bardzo mało środków materialnych posiadali, głównie więc dobroczynność miejscowej publiczności, przez ręce i pośrednictwo marszałka, zaradzała temu.

Pierwszy to raz także Rosyanie, naśladowując Niemców, za pomniejsze przewinienia kary pieniężne wyznaczali, z warunkiem odsiedzenia więzy w razie niewypłacalności. A że nakładane sztrafy były stosunkowo do winy bardzo wysokie, ciężko przychodziło paniom, głównym amatorkom patryotycznych hymnów i żałoby, jako i butnej na wolności lecz o wiele mniej wytrwałej za kratami więzienia młodzieży, przy najczęstszym braku funduszków, dzielić wstrętne ciupy tiuremne z rozbójnikami, złodziejami i włóczęgami najniższych klas społeczeństwa.

Stąd więc oczywiście znowu refugium do marszałka »Zmiłuj się, ratuj i płac«. A tu z drugiej strony argusowe oko wrogów śledzi i donosy o współczucie wysyła. Wszelkie zaś środki ofiarności wobec nałożonej kontrybucyi wyczerpane i komunikacye coraz bardziej przecięte, choć własną duszę zastawić już zniewalają.

Łatwo też pojąć, iż w takich doraźnych sądach najwięcej prywata, żądza okupu policyjskich siepaczy, lub zła wola, przeważnie kontyngens mniemanych winowajców powiększała. Podobnych spraw, jak wyżej opisana Ledóchowskiego, mógłbym nacytować bez liku. Kiedy więc po śmierci księcia Wasilczikowa mianowano generałgubernatorem Anienkowa, który miał opinię człowieka prawego, korzystając ze sposobności przedstawienia się nowemu wielkorządcy w Kijowie, gdy on na prywatnem posłuchaniu w gabinecie swoim, wobec jednego tylko gubernialnego marszałka kijowskiego Chorwata, który mnie prezentował, zalecał i prosił, abyśmy jako przedstawiciele szlachty wszelkich wpływów swoich używali, żeby większe nieszczęście od kraju odwrócić, powiedziałem mu z całą otwartością: Panie jenerale, cała usilność nasza nie przyda się na nic, wobec licznych nadużyć, ja-

kich dopuszczają się pomniejsi urzędnicy w powiatach. Nie mam najmniejszego prawa, aby pan generał słowom moim uwierzył, ale proszę przysłać zaufaną osobistość do Dubna, a przyjmuję obowiązek przekonania na miejscu, jakie bezprawia dzieją się w doraźnym sądzie i policji.

Na to Anienkow odrzekł mi w te słowa: »przepraszam pana, chociaż rzeczywiście mam przyjemność widzieć go po raz pierwszy, ale na zasadzie udzielonych mi pewnych wiadomości znam go doskonale. Wy u menia na szczetu łutzych predwoditelej dworianstwa wołyńskiej gubernii, i ja postaram się udowodnić żelanie wasze«¹⁾).

Wszelako komplement ten, drażliwy dla mnie z innego punktu widzenia rzeczy, na tem tylko się zakończył. Nikt delegowany od władzy do Dubna nie przyjeżdżał i żadne zmiany nie nastąpiły.

W takich warunkach pewnego pięknego poranku pojawił się u mnie w Semidubach niejaki pan Jełowicki z Galicyi, a mieniąc się wysłanym od księcia Adama Sapiehy, oznajmił, że

¹⁾ Pan zaliczony jesteś u mnie do lepszych marszałków gubernii wołyńskiej i postaram się zadosyć uczynić żądaniu pana.

za kilka dni wkroczy przez Radziwiłłów silnie uzbrojony oddział z 16.000 dobrze już wyćwiczonej młodzieży złożony, pod wodzą generała Wysockiego i Horodyńskiego; wzywa więc w imieniu księcia, aby pograniczne powiaty w pogotowiu się znajdowały. Mając skądinąd nieomyłne wiadomości o niesłuchanie przesadzonej liczbie tych zastępów, najlepszych zresztą chęci, westchnąłem tylko smętnie w duszy, a widząc że postanowienia zmienić nie potrafię, powiedziałem tylko p. Jełowickiemu, iż szczerze życzę z nieodpowiednimi siłami żadnych działań nie rozpoczynać, gdyż od powodzenia pierwszej czynności następny obrót rzeczy zależeć musi, a tylko w razie szczęśliwym i chłopstwo na boku stanie i płomień zapału w prowincyi się rozniesie. Wysłaniec jednak z butną miną powiedział mi: »do prędkiego widzenia«.

Rzeczywiście, przed upływem tygodnia wpadł na dziedziniec semidubowski goniec od sprawnika dubieńskiego z lakonicznem pismem do mnie: »Powstańcy w Radziwiłłowie, upraszam przyjeżdżać«. Dobrze, myślę sobie, pan sprawnik o własną skórę w trwodze mnie na ratunek wzywa. Widać, tam rzeczywiście nie żartują.

Zabrawszy więc żonę i dzieci, a udzieliwszy wiadomości sąsiadom dla rozgłosu takowej po okolicy, w parę godzin byłem już w mieście.

Jakież smutne rozczarowanie nastąpiło, gdy w nocy już przyszła pewna wiadomość o pobiciu na głowę wkraczających. Arogancya wroga podniosła w jednej chwili trzęsące się łby do góry a dla nas nowe tylko boleści i prześladowania się gotowały.

Wysłałem natychmiast afidowanego żydka na miejsce, żeby mieć autentyczne szczegóły o tej świeżej katastrofie. Cóż się pokazało?

Zamiast szumnie głoszonych przez p. Jełowickiego 16.000, Horodyński na czele 600 lichozbrojonej zbieraniny, bez żadnej wiadomości, co się w Radziwiłowie dzieje, i nie widząc oporu, wszedł nierozważnie w sam środek miasta. Na rynku dopiero ukryta w domach piechota powitała ich takim ogniem, że pierwszy dowódca i znaczniejsza część oddziału padli na miejscu; reszta poszła w rozsypkę. Pognali za nimi Kozacy, a czego w bagnach pogranicznych nie wystrzelali lub nie wykłóli, zebrane chłopstwo wylało i powięzało. Mała tylko garstka pod zasłoną lasu i nocy przedarła się napowrót do Galicyi, gdzie wątpliwej przychylności władza

radowała się zapewne w duchu, iż cudzym kosztem pozbywa się fermentujących w kraju żywołów.

Kilkudziesięciu jeńców, odartych do koszuli, wysłano do Krzemieńca i zaraz na drugi dzień popędzono na Sybir. Dwudziestudwóch mniej więcej ciężko rannych przywieziono do lazaretu turmy dubieńskiej. Odwiedzałem tam tych nieszczęśliwych i pytając o nazwiska wypatrywałem, czy nie poznam Jełowickiego; ale nie sprawdziły się jego słowa z taką pewnością powiedziane: »do prędkiego widzenia«, i zapewniano mnie, iż on w tym smutnie czynnym oddziale wcale nie był. Różne są odwagi ludzkie, lecz najczęściej ten co drugich podniecać usiłuje, sam w danym razie woli zostać na stronie.

Z rannych jeden tylko umarł, resztę przekarmiliśmy swoim kosztem przez parę miesięcy, a gdy po wyzdrowieniu przysłała i na nich kolej dalekiej wędrówki ku północy, to mieliśmy przynajmniej pociechę, iż we wszystko byli dobrze opatrzeni na trudy, znoje i zmienną pogodę kilkumiesięcznej drogi.

Pod koniec 1863. roku atmosfera stawała się u nas coraz cięższą i nieznośniejszą. Mirowe zjazdy odbywały się wprawdzie jak zwykle co miesiąc, ale generałowie lub pułkownicy konsy-

stujących wojsk w każdym powiatowym mieście upoważnieni byli do asystowania naradom naszym i nadzorowania, aby włościanom żadna krzywda wyrządzoną nie została. Jawny ten kierunek wyłącznej opieki dla tych, którym nikt najmniejszego zła nie tylko robić nie myślał, lecz nawet nie życzył, dosadnie przekonywał, jaki system rządu wytwarzał się stąd dla nas.

W celu zwierzchności usposobień sfer wyższych, powlokłem się znowu do Żytomierza. Marszałek gubernii Mikulicz o popieranie zbrojnego ruchu na Wołyniu oskarżony, gdyż szwagier jego Władysław Cichoński ¹⁾ jako naczelnik oddziału zginął z wielu innymi, zaskoczony w lesie, w okolicy Sławuty pod Mińkowcami, zesłany na wygnanie dogorywał w Astrachaniu ciężką chorobą dotknięty. A samo więcej niż zimne przyjęcie gubernatora, którego dotąd przychylniej uprzejmości zawsze doznawałem, dało mi nieco mylną wskazówkę, że i dla mnie wiatr urzędowy bardzo niepomysłnie już wieje.

Zapomocą znanych dobrze środków potrafiłem zdobyć w kancelaryi gubernatora objaśnienie, że liczne donosy na mnie z Dubna o współ-

¹⁾ Dawny towarzysz broni autora. Przyp. wyd.

czuciu i niesionej pomocy politycznie skompromitowanym i jeńcom z pod Radziwiłłowa, przynaglają księcia Druckiego do przedstawienia tych delacyi, z osobistem jego orzeczeniem generał-gubernatorowi. A że opinia księcia z pewnością przychylną dla mnie nie będzie, bardzo więc łatwe do przewidzenia, iż skutki mogą stąd wypaść wielce niepomysłne.

W takich warunkach niepewnej przyszłości pospieszyłem co prędzej z powrotem do domu, gdzie żona na złęzeniu podwójnej troskliwości, opieki i spokoju potrzebowała.

Smutne były dla nas święta Bożego Narodzenia pod ciężarem coraz bardziej represyjnych działań władzy dokoła. Codziennie dolatywały nas zatrważające wieści o dokonanych rewizjach z największemi szykanami i brutalstwem w sąsiednich domach obywatelskich i o licznych aresztowaniach w całej prowincyi. Kibitki z żandarmami, eskortującymi nowego więźnia, spotykały się niemal na wszystkich drogach. Pomimo tego ludzie prawdziwego poświęcenia, nie bacząc na niebezpieczeństwo własne, potrafili przedzierać się przez liczne warty Kozaków i chłopów u wrót wsi każdej i rozwozili różne szczegóły i ostrzeżenia, które nieraz z tajnej kancelaryi

gubernatora w Żytomierzu zdobywano. Tym sposobem otrzymawszy pewną wiadomość o mającym nastąpić aresztowaniu silnie skompromitowanego pana J. K., udało mi się przestrzedz go zawczasu, aby umykał za granicę. Usłuchał mojej rady i dobrze wyszedł na tem. Przesiedziawszy bowiem całą burzę w Dreźnie, potem za protekcją znanego dawniej generał-gubernatora w Kijowie, a następnie ministra spraw wewnętrznych Bibikowa, otrzymał pozwolenie powrotu bez żadnej odpowiedzialności.

Ostatniego dnia Grudnia 1863. roku żona, dzięki Bogu, szczęśliwie powiła mi drugą już córkę, wielki więc ciężar spadł z serca mego, ale niepewność jutra była zawsze nieustająca. Na styczniowe kontrakty dubieńskie nikt prawie w tym roku się nie pojawił, każdy w gorączkowym nastroju przesiadywał na miejscu i wypatrywał przez okno, czy nieproszeni goście w osobie policyi i żandarmi z gromadą chłopów uzbrojonych w piki, na dziedzińcu się nie pojawiają. Zwykle jednak operacje takie odbywały się bardzo rano i przebudzony gospodarz zastawał już dom swój otoczony łańcuchem chłopów.

VII. Wygnanie.

W podobnych wrażeniach całej okolicy upłynął jeszcze pierwszy miesiąc nowo rozpoczętego roku 1864. Dnia 30. Stycznia zawieja śnieżna przy silnej burzy wyła na dworze ponuro i straszliwie, gdy pijąc ranną kawę, posłyszałem odgłos dzwonka pocztowego przed gankiem moim w Semidubach. Nawykły do różnorodnych odwiedzin każdej godziny w dzień a nieraz i w nocy, czekałem oznajmienia sługi, co to za gościa lub interesanta w taki czas i o tak rannej dobie witać mi przyjdzie. Niemałe też zdziwienie moje było, gdy w otwierających się drzwiach z jakąś nieśmiałością i obawą ujrzałem miejscowego policyjnego przystawa, którego dotąd nigdy w progach moich nie widziałem.

Zmiarkowawszy po jego wielkiem pomieszaniu, że zapewne z dobrą wiadomością nie przyjeżdża, zagadnąłem go pierwszy z udanym

uśmiechem: »Cóż to pana wśród takiej zawiei do mnie sprowadza? czy nie zlecenie powieszenia mnie lub rozstrzelania?« »A dzięki Bogu nie tak źle, panie marszałku — odrzekł drżącym głosem — zawsze jednak przywożę wiadomość bardzo nieprzyjemną«, i wydobywszy z zanadru podał mi arkuszową bumagę. Był to rozkaz generał-gubernatora na mocy danej mu władzy od cesarza, abym zdawszy we 24 godzin urząd sędziemu powiatu, wybrał się w dalszą drogę; dozwalał mi tylko łaskawie wziąć własny powóz i dwóch ludzi do usługi, jeżeli ci dobrowolnie zgodzą się na to.

Nie było chwili czasu do tracenia; udzieliwszy więc z możliwą oględnością tej bolesnej wiadomości niedomagającej jeszcze po świeżo odbytej słabości żonie, skreśliłem na prędce ważniejsze rozporządzenia domowe. Ograniczyłem się jednym tylko sługą, który najchętniej jechać ze mną zapragnął; spakowawszy się pospiesznie i poleciwszy Bogu i obecnym rodzicom żony tak ją jak czworo drobnych dzieci, wyrwałem się z objąć ukochanej towarzyszki życia, wśród łkania rodziny, domowników i wszystkich zebranych sług. Dławiąc bolesne uczucie goryczy i żalu, o 3ej godzinie po południu oznajmiłem

policyantowi, iż do podróży jestem gotów, i eskortowany przez niego udałem się do Dubna. Z uznaniem jednak przyznać tu muszę, iż tak wyższe jak najniższe władze z wielką względnością dla mnie w tym razie się zachowały. Oszczędzono mi otoczenia domu chłopami i nie tylko najmniejszej rewizyi nie miałem, ale policyant usunąwszy się na stronę, dawał mi wszelką możność poufnych narad i rozporządzeń w domowym kole mojem. Nawet co większa, nie bronił wysłać do blisko mieszkających: siostry mojej i szwagra Skrzyneckiego, a także do najbliższego sąsiada Ittarego, aby na pożegnanie moje pospieszali.

Gdym wysiadł w swoim mieszkaniu w Dubnie, natychmiast pojawił się sprawnik, a udzieliwszy poufnie wiadomości, iż zesłany jestem administracyjnie na przemieszkanie do gubernii permskiej, szepnął, żebym ze zdawaniem urzędu nie bardzo się spieszył i prosząc tylko o słowo, że z pomieszkania wychodzić nie będę, usunął wszelką wartę z domu mojego.

Korzystając z tych grzeczności, dopiero na drugi dzień wieczorem posłałem oficjalną odezwę do sędziego, z wezwaniem zastąpienia mnie w urzędzie. Czynność ta zabrała jeszcze dwa

dni czasu, a w trakcie tego miałem przyjemność być żegnanym ze szczerem współczuciem przez bliżej mieszkających obywateli, a nawet przez wszystkich miejscowych urzędników, którzy z mniej więcej udaną szczerością ubolewali nad tak smutnym wynikiem pięcioletniej pracy mojej.

Z prawdziwą też wdzięcznością zapisać mi tu przychodzi, iż zacny pan Romuald Ledóchowski, o 50 wiorst mieszkający, przybiegł jeden z pierwszych po fatalnej drodze, z uprzejmą propozycją udzielenia mi zasobu pieniężnego w razie potrzeby. Chociaż rzeczywiście kasa moja była podówczas bardzo i bardzo wyczerpaną, to jednak w zupełnej niepewności przyszłego zwrotu rzeczy nie czułem się w prawie przyjęcia proponowanej mi większej pożyczki i najserdeczniej podziękowałem. Ale dobry pan Romuald nie odstąpił, żebym na wszelki wypadek choć kilkuset rubli zapasowych czasowo nie przyjął. Bóg mu zapłać, gdyż rzeczywiście wielce mi się one przydały, i zaledwie w pięć lat później uiścić się z tej przyjaznej pożyczki potrafiłem.

W pobycie moim w Dubnie, przedłużonym grzecnością sprawnika Boroszenki do dni trzech, najboleśniejsem było, iż moja żona dla słabości zdrowia przybyć tam choć na ten krótki

czas nie była w stanie. Największej więc uprzejmości Boroszenki zawdzięczam, iż trzeciego dnia wieczorem dozwolił mi w towarzystwie urzędnika policyjnego powrócić jeszcze do Semidub i do południa następnego dnia tam zabawić.

Oprócz pociechy dla serca, że mogłem pożegnać raz jeszcze ukochanych, dawało mi to możliwość uspokojenia biednej żony, że przecież nic zbyt srogiego mi nie zagraża, kiedy na samym początku takiej względności doznaję. Przedstawiłem jej nawet, o czym sam poniekąd przeświadczony byłem, że, wobec spotęgowanych represyi miejscowych, czasowe wydalenie moje z kraju, bodaj czy nie korzystniejszym mogło być dla mnie w skutku. Jedną tylko odległość 3000 wiorst permskiej gubernii, która nas rozdzielać miała, była głównie przerażającą.

Często bywa, że w najsmutniejszych chwilach przytrafiają się nieprzewidziane humorystyczne zdarzenia. Otóż, kiedy przybyłem wieczorem do Semidub i zasiedliśmy w rodzinnem kole do herbaty, na którą oczywiście i urzędnik policyjny był zaproszony, nadjechał p. R. obywatel powiatu krzemienieckiego, odwiedzający mnie czasami w różnych poufniejszych misjach. Wszedłszy z dobrą miną, wyrzeka na złą drogę, po której

wśród ciemnej już nocy przez lasy zaledwie dobić się zdołał. Widząc z pogodnego oblicza gościa, że o mojej doli nic jeszcze nie wie, a na siedzącego przy końcu długiego stołu w cieniu urzędnika policyi mało uwagi zwraca, choć domyślałem się łatwo, jakiego rodzaju interes miał do zakomunikowania, przerywam jego ożywioną narrację i z wszelką niby obojętnością powiadam: »Dzięki Bogu już trudy urzędowania złożyłem w inne ręce, jeżeli więc interes pana sprowadza, będziesz musiał pofatygować się do sędziego w Dubnie, gdyż ja wybieram się jutro w daleką drogę«.

»Dokąd to pan marszałek odjeżdża, czy nie na Podole do brata lub może na kontrakty do Kijowa?«

»Trochę dalej, -- odrzekłem z uśmiechem, -- udaję się wprost na Sybir, a to mój anioł stróż« i wskazałem na zakłopotanego policyanta.

Mój szlachcic pobladł jak chusta, języka w gębie zapomniał i błędnem okiem spojrzął do koła na obecnych, których zafrasowane oblicza potwierdzały mu prawdę słów moich.

»Jako — ozwał się w końcu — i pan marszałek ze śmiechem takiej wiadomości mi udziela?«

»Czegoż chcesz, żebym płakał, byłem już w Rzymie, Paryżu i Londynie, słuszne więc, żebym jeszcze Permę zobaczył«.

Nie potrzebuję mówić, że po tem wyjaśnieniu pan R. o interesie zapomniał zupełnie, a chociaż szczerze na nocleg go zapraszałem, pożegnał mnie ze łzą w oku i niezwłocznie odjechał, podobno nie do Dubna, ale z powrotem przez ciemne lasy.

Nazajutrz jeszcze jedno miłe wrażenie rozjaśniło mi czoło, gdy gromadka starszych włościan semidubowskich przyszła pożegnać mnie i pobłogosławić na drogę, a obecny wójt gminy zapewniał w rozrzewnieniu, żebym o żonę i dzieci był zupełnie spokojnym.

Przyszła jednak chwila bolesnego rozstania, lecz takie wrażenia zimnem piórem opisywać się nie dają.

Dnia 4. Lutego 1864. roku z jednym uzbrojonym żandarmem na koźle, a drugim na przedzie poczwórnego powozu, gdzie i mój wierny sługa Jeremiasz się pomieścił, czwórką pocztowych koni popędziłem wśród zawiei śnieżnej ku północy. A wspomnienie, iż krocie nieszczęśliwych za synowską miłość dla matki ziemi tę samą drogę z kajdanami u rąk i nóg pie-

chocą przez tyle lat wydeptuje, nie dawało mi nawet prawa cięższego westchnienia nad smutną dolą, jaka mnie w tundry i puszcze Ostjaków i Samojedów w wygodnym powozie gnała.

Nadmienię tu jeszcze, że przy pożegnaniu ze sprawnikiem, dziękując mu za przychylną względnosc a polecając spokój mojej rodziny, dodałem: nie mam żalu do tych, którzy donosami wygnanie mi zgotowali, gdyż mnie z pewnością spokojniej i lżej tam będzie, lecz szczerze życzę i pragnę, żeby bezemnie gorsze wyniki nie nastąpiły. Ta przepowiednia moja sprawdziła się niestety w zupełności a mówiono mi potem, że sprawnik Boroszenko często te moje słowa przypominał.

Nie zatrzymując się w nocy, drugiego dnia wieczorem stanęliśmy w Żytomierzu. Na stacyi pocztowej miasta, gdzie zmiany żandarmów i nowych instrukcyi dla nich czekać zalecono, miałem smętnie miłą niespodziankę zjechania się z kolegą, marszałkiem powiatu krzemienieckiego Mogilnickim. I on w asystencyi żandarmów i on dażył do Permy; jest więc przecie towarzysz podróży i razem na wygnaniu mniej tęskno nam będzie. Zostawieni w jednej izbie, której drzwi zamkniętych żandarmi strzegli, przez pierwsze chwile kiwaliśmy tylko do siebie głowami, lecz

gdy wniesiono samowar i zamówioną w restauracji kolację, sytuacja się zmieniła.

Przy herbacie języki się nam rozplątały. Opowiedział mi kolega, o ile z nim nierównie mniej względnie postępowano. Rewizya w domu, do ostatniego brutalstwa posunięta, nie oszczędziła nawet jego żony i garderoby, gdzie sprowadzone baby ze wsi, w przytomności urzędników policyi i oficera przysłanego z oddziałem wojska, wszystkie kobiety do naga rozbierały. Potem z konwojem zbrojnym przywieziono go do Krzemieńca i po jednym tylko noclegu niezwłocznie wysłano w drogę.

A przecież rozkaz generał-gubernatora zarówno opiewał dla nas obydwóch. Wszystkie więc te weksacye były dowolnym pomysłem wrażego usposobienia władz miejscowych, wiedzących dobrze, że politycznie aresztowany w Rosyi tylko do jednego Boga skargę słać i apelować może.

Po upływie dwóch godzin zjawił się miejscowy policmajster z czterema nowymi żandar-mami, którzy już do samej Permy towarzyszyć nam mieli, i zdawszy nas z osobna pod opiekę dwom żołdakom, zalecił znowu na całą noc jechać niezwłocznie dalej. Na przedstawienie nasze,

że trudy tak dalekiej drogi wypoczynku się domagają, powiedziano, że pierwszy nocleg będziemy mieli dopiero za Dnieprem. Widocznie była to obawa, aby na noclegu przychylnie jakie dłonie nie odbiły nas i ucieczki za granicę nie ułatwiły. Jakoż rzeczywiście w czasie ostatniej trzydniowej bytności mojej w Dubnie, drobna szlachta leśnych osad w powiecie, która polowaniem na wilki i dziki z bronią oswojona i umiejąca skryć ukochaną dubeltówkę przed oczami najbardziej przenikliwego policyanta, robiła mi propozycję przez jednego z ofycjalistów moich, iż byłem rozkazał, w pierwszym lasku przy drodze pocztowej wyzwolą mnie z opieki żandarmów i za granicę przeprowadzą z pewnością. Ciągące się pasmo gór i lasów wzdłuż dwóch pierwszych stacyi od Dubna a sięgające ku Poczajowowi nad samą granicą, powodzenie takiego zamysłu bardzo prawdopodobnem przedstawiało. Przekonanie jednak, iż bez rozlewu krwi się nie obejdzie i że liczne stąd ofiary następnie paść mogą, przytem spokój żony i dziełek nie dały mi na chwilę zatrzymać się nad błogą myślą nadziei swobody. Podziękowałem najserdeczniej szlachcie i prosiłem, żeby wszelkiego pokuszenia zaniechali.

Kijów minęliśmy jak Żytomierz. Dopiero na trzeci dzień podróży dozwolono nam przenocować w Browarach, pierwszej stacyi za Dnieprem; lecz jeden z żandarmów po kolei czuwał, siedząc na krześle przy łózkach naszych z bronią w rękę. Z początku drażniło nas to wielce ale po mału ze wszystkiem się człowiek oswaja, a czasu mieliśmy dużo przed sobą. Po dziesięciu dniach jednostajnej podróży, gdyż dla coraz większych śniegów na szosie od Rostowa pospiech kołami wielce był utrudniony, że nic nas w kark nie pędziło a żandarmi, ujęci dobrą strawą i kieliszkiem za pieniądze nasze, wczesnie na noclegi stawać dozwolali, dociągnęliśmy bez szwanku do Moskwy. W długim przejeździe przez ten niezmiernie rozległy lecz ponury gród Wasilów i Iwanów, motłoch uliczny na widok zbrojnych opiekunów naszych, domyślając się buntowników przeciw wszechpotężnemu carowi, nie szczędził nam zelżywych obelg, a czasami i kamyki z bruku przelatowały nad głowami naszymi w powietrzu, gdyż dla przyjrzenia się stolicy powozy mieliśmy pospuszczane. Bez szkody jednak dojechaliśmy szczęśliwie do dworca kolei żelaznej, która miała nas przewieść do Niżnego Nowogrodu.

Tu wypadło powozy z rzeczami wysłać osobno tymże pociągem, oczywiście kosztem własnym, nam zaś rząd łaskawie fundował klasę trzecią. Przy długim wyczekiwaniu na odjazd pociągów, mieliśmy pierwszą sposobność przesłania telegramów żonom naszym, przez uczynną grzeczość miejscowego pułkownika żandarmów, którego ujrzawszy na banhofie, prosiliśmy o to najusilniej.

Ale jakże bolesnego uczucia doznaliśmy tam, gdy rozwarły się podwoje wielkiej sali, w której oddzielonym od publiczności czekać nam kazano i pod eskortą licznej żandarmeryi wprowadzono do niej kilkudziesięciu skazanych do ciężkich robót lub na osiedlenie w Sybirze, z których wielu różnego stanu i wieku było zakutych w kajdany, a między nimi znajdowały się i kobiety z niemowlętami na ręku. Po magierkach, ubraniu i fizyognomiach odgadnąć było łatwo, że to są nieszczęśni powstańcy i polityczni przestępcy z Królestwa. Pomimo opłakanego położenia, nieśli głowy do góry i spojierali hardo na oficerów i jakieś panie, zapewne tychże żony lub znajome, które ciekawością powodowane przychodziły się przyglądać nieszczęśnikom. Ale niczem to było w porównaniu do wrażenia, jakie

czekało nas w całonocnej podróży do Niżnego Nowogrodu.

Ostry mróz z wiatrem przenikał do szpiku kości, wielkie wagony podwójnych rozmiarów, poprzecinane tylko prostymi ławkami, przepelniali więźnie i żandarmi tak, że dusiliśmy siebie wzajemnie bez najmniejszej możności poruszenia, a jedna tylko przyćmiona lampa, rzucając blade światło na ściśnioną masę głów naszych, dopełniała ponurości myśli i smętności krwawiącego serca obrazu. Zaledwie wyruszono z miejsca, płacz niemowląt, jęki i wyrzekania matek, złorzeczenia i klątwy przeziębniętych, wznoszone hymny nabożne lub patryotyczne obok sprośnych piosneczek i zelżywego szyderstwa wstrętnych a bardziej litość wzbudzających jednostek, bezskuteczne nawoływania żandarmów do cichości i porządku, zagłuszające stukanie nogami dla rozgrzania, przy brzęku kajdan, huku wagonów i świcie lokomotywy, nakoniec woń zabijających wyziewów stłoczonej masy, tak okropną całość tu przedstawiało, że piekło Danta здавало się blednąć w porównaniu.

Nad samem ranem odetchnęliśmy lżej w Nowogrodzie; śniegi były tam jeszcze tak wielkie, że dalsza jazda kołami okazała się zupełnie nie-

możliwą. Zostawiwszy przeto powozy w umyślnie urządzonych na to wozowniach przy stacyi pocztowej, za opłatą 12tu rubli rocznie, najęliśmy każdy z osobna za taką cenę poczwórne karetki, zwane wazki, które ze zmianą tylko koni aż do samej Permy przysługiwać nam miały, i przepakowawszy się w kupione tłumoki, po kilku godzinach wypoczynku, popędziliśmy trójkami dzielnych koni po lodach Wołgi. Cała zaś partya nieszczęsnych towarzyszy wagonowych, zatrzymana w miejscowem więzieniu, zapewne zmuszoną była odbywać dalszą podróż piechotą etapami. Spotykaliśmy jednak po drodze wielu kolegów wygnania, równie jak my wiezionych pocztą. Był to jedyny przywilej dla administracyjnie zesłanych. W samym Nowogrodzie zastaliśmy na stacyi cały transport tej kategorii wiezionych do różnych najodleglejszych gubernii; między tymi znalazł się i znajomy, młody Fudakowski z Ukrainy, a także ksiądz i jakaś pani z Warszawy; ponieważ przybyli dzień przedtem, udało się im wyprosić dzień odpoczynku w mieście.

Nic bardziej nużącego jak szalone wyboje na przestrzeni kilkuset wiorst drogi po Wołdze do Kazania. Od silnych uderzeń co chwila wpadających i wyskakujących w pełnym biegu sań

głowa pękać się zdaje, a kości jak na torturach rozłamane. Zwinne chłopaki, przeważnie tatarzy, którzy wolną tam pocztę obsługują, doskonale umieją radzić sobie, zeskakując przed samym uderzeniem sań a wskakując zręcznie w największym pędzie po przebytym wyboju. Konie wszędzie doskonałe, najprzód rosłe bitiugi¹⁾ ruskie a dalej wiatskie¹⁾. Na stacyach jedzenie w wielu miejscach niezłe, ryby obfitość, głównie jesiotry, sandacze i sterlety; noclegi dość wygodne, tylko robactwa wszędzie bez miary. Od Kazania do Wiatki droga już nie po lodzie rzeki, nieco równiejsza, ale silne zaspasy śnieżne mijanie się z licznymi szeregami powózek transportowych wielce utrudniały.

Nareszcie po trzech tygodniach uciążliwej i nieprzerwanej podróży, około godziny 5 wieczorem, przybyliśmy do Permy i stanęli przed domem gubernatora, do którego żandarmi z zameldowaniem i papierami pospieszyli. Jenerał Łaskarew, syn gubernatora niegdyś wołyńskiego, którego niejednokrotnie widywałem w domu mojego ojca, rozkazał wezwać nas do siebie, a zapytawszy o nazwiska oznajmił, że dla mnie

¹⁾ Rasa koni. Przyp. Wyd.

przeznaczył na miejsce przemieszkowania powiatowe miasteczko Czerdyń a koledze Mogilnickiemu Werchoturę. Dotknięci do żywego tym tak niespodziewanym rozdziałem, molestowaliśmy usilnie o zmianę postanowienia, przedstawiając, żeby jako przybyłych z jednej okolicy i razem zechciał gdziekolwiek byle do jednego miejsca zesłać. »Właśnie dlatego, że panowie dobrze się znają, odrzekł z ironią zacny gubernator, niepodobna mi zadość uczynić ich żądaniu, ale są to sąsiednie powiaty i niema więcej jak 1000 wiorst odległości«.

Widząc tak miły nastrój, przedstawiamy, że znużeni podróżą potrzebujemy gwałtownie wypoczynku i prosimy, aby przynajmniej ze trzy dni w Permie zatrzymać się dozwolił.

»O, co do tego, powiada generał, to ode mnie zupełnie nie zależy, póki panowie jesteście w mieście, policmajster rozporządza się wami w zupełności. Trzeba się udać do niego i poprosić go grzecznie a zapewne odmówić nie zechce«. To rzekłszy, skłonił się niby ceremonialnie i wyszedł z audjencyonalnego salonu.

Udajemy się tedy do policmajstra. Młody i sympatycznej powierzchowności oficer, wysłuchuje nas cierpliwie i po wielu trudnościach

dozwala w końcu tylko przenocować w dobrym hotelu miasta, dodając nam eskortę już z miejscowych uralskich kozaków, ale utrzymuje przytem, iż z pewnością narazi go to na nieprzyjemności od gubernatora.

Podziękowawszy szczerze, spieszymy co prędzej do hotelu, zupełnie po europejsku utrzymanego, i rozlokowawszy się wygodnie, zamawiamy sobie wieczerzę. Smętna gawęda przeciąga się dość długo, podane jadlo, choć wcale niezłe, nie bardzo smakuje, winem tylko krzepimy siły i przygnębienie humoru. Godzina 11ta w nocy do spoczynku nas skłania, gdy drzwi się otwierają i wchodzi jakaś osobistość o czerwonym kołnierzu.

«Panowie Zaleski i Mogilnicki?» pyta przy zbliżeniu.

»Tak panie«.

»Z polecenia policmajstra przychodzę uprzedzić panów, że gubernator dowiedziawszy się o dozwoleniu przenocowania im w mieście, bardzo z tego niezadowolony, polecił najsrożej wysłać ich natychmiast, i lada chwila żandarmi nadjadą tu już pocztowymi końmi dla zabrania panów«.

»Żartujesz pan chyba? — wszak zawieja szalona na dworze i noc ciemna. Przytem najęte sanie w Niżnym już dalej nam nie służą, musimy więc o inne się postarać, gdyż na małych sankach pocztowych w żaden sposób z pakunkami pomieścić się nie potrafimy«.

»Rady dać na to nie umiem, lecz rozkaz pana gubernatora jest nieodwołalnym, życzę panom być co prędzej w pogotowiu«. To rzekłszy, skłonił się czerwony kołnierz i odszedł.

»No, kochany Witoldzie, powiadam do wzburzonego kolegi, ładnie nas tu przyjmują. Daje to miarę przyjemności, jakie nas nadal czekają. Lecz niema rady, pakujmy się i chylmy czarę do dna«.

»Masz rację«, mówi zgrzytając zębami Mogilnicki i nalewa mnie i sobie po pełnej szklance wina.

W godzinę usłużni żandarmi kupili nam, choć wśród nocy, wcale niezłe kryte sanie, do których z powodu wąskiego naboju na mniejszych już drogach po trzy konie wzdłuż założono.

Uściskawszy się tedy serdecznie z kolegą, wyruszyliśmy wśród okrutnej zawiei każdy w swoją, a bardziej w nakazaną mu drogę.

Jazda wśród nocy przy wicherze i śnieżycy okazała się tak trudną, że po trzykrotnem wywróceniu sani żandarmi zaproponowali mi przemocowanie na pierwszej bardzo lichej już stacyi.

Z Permy do Czerdynia, ostatniego miasteczka, jeżeli lichą osadę tak nazwać się godzi, wprost ku północy wiorst 400. Nie mając najmniejszego bodźca pospiechu, nocowałem jeszcze dwa razy i dopiero czwartego dnia wieczorem stanąłem nareszcie u kresu. Werchoturja, jako sześć innych powiatów tej gubernii, która obszarem równa się Francyi, położona już za Uralem; kolega więc mój znalazł się tam na rzeczywistym już Sybirze, gdy ja mogłem się pocieszać iluzją, że jestem jeszcze w Europie. Ale po rozpatrzeniu się na miejscu, była to na prawdę iluzya bardzo smutna.

Przywieziony wieczorem wprost do miejscowego sprawnika, otrzymałem instrukcyę, że wolno mi nająć pomieszkanie wedle własnego wyboru i możności, byłem się zachowywał spokojnie, po nocach nie chodził, z miasteczka na krok się nie oddalał, a w razie pisania listów, przynosił otwarte do policyi, która od siebie już na pocztę wysyłać je będzie. Najmniejsze zaś uchybienie instrukcyi ściąga zamknięcie w turmie

miejskiej, co w zupełności od uznania wszechwładnej tu osoby pana sprawnika zależy. »Jest tu już dużo waszych, dodał potentat o bardzo czerwonym nosie, życzę więc panu udać się do księdza Nowodworskiego, który dotąd w niczem jeszcze niezadowolenia mego nie ściągnął. On od kilku miesięcy tu zamieszkały, może mu udzielić rady i pomocy w wyszukaniu kwatery, co rzeczywiście trudne, bo nasze miasto niebardzo rozległe, a znakomitsi mieszkańcy niezbyt chętnie panów przyjmują«.

Wysłuchawszy takiej perory, pełen smutnych myśli, uprosiłem służbowego kozaka przy policy, żeby mi wskazał drogę do zacytowanego księdza Nowodworskiego, a dla rozpatrzenia się w miejscu choć po ciemnym zmroku, powlokłem się z przewodnikiem piechotą. W przejściu przez parę ulic, widząc tylko małe domki drewniane bez otynkowania, dosyć rzadko rozrzucone, nie mogłem sobie zdać sprawy, że jestem w mieście, które jak powiadał sprawnik i znakomitości zamieszkują, i pytam kozaka, w jakiej stronie jest lepsza część grodu?

»Jesteśmy właśnie na pierwszorzędnej ulicy, — objaśnia zapytany — oto tam, nieco dalej, wi-

dzi pan nasz piękny sobor¹⁾ a obok niego cały rząd różnych sklepów».

»Jakto! czyż w całym mieście murowanych domów niema wcale?«

»Przeciwnie, jest dwa gmachy, jeden mieszkalna kamienica, nawet piętrowa, najbogatszego kupca Warganowa, a drugi turemny zamek«.

No, myślę sobie, wolę już najlichszą chatę, jak wasz murowany zamek, o jakim w przeciągu 10 minut drugi raz już słyszę, i dopytuję tylko czy daleko jeszcze do księdza.

»Jesteśmy właśnie przy jego pomieszkaniu«, była odpowiedź i kozak wskazał mi malutki domeczek o jednej izbie z przedsionkiem, który przedzielał ją od kuchenki.

»Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus«, wygłosiłem donośnie przy wstępie do szczupłej izdebki.

»Na wieki wieków«, rozległo się nawzajem. — »A! nowy kolega, witamy, witamy, proszę siadać; może zgłodniały, dawajcie prędzej samowar, czem chata bogata tem rada«. I nie pytając kto jestem i skąd przybywam, zacny gospodarz zaczął sam krzątać się po izbie, żeby mnie usa-

¹⁾ Cerkiew katedralna. Przep. wyd.

dowić i ugościć. Po następnej dopiero wymianie nazwisk dowiedziałem się, że to kanonik Michał Nowodworski, były redaktor »Przeglądu katolickiego« w Warszawie, a następnie wydawca znakomitej biblii z rysunkami Dorego. Mieszkał też z nim proboszcz, wiekowy już człowiek z okolic Grodna, ale żeśmy go zawsze proboszczem tylko tytułowali, nazwisko uleciało mi z pamięci.

Na wiadomość o przybyciu nowego delikwenta z kraju, zaczęli się zbiegać inni panowie: Narbut, Łopaciński, Okuszko, Materno, Butowicz, Kołb, Jeleński marszałek trocki, Medeksza i wielu innych a wszystko sami Litwini. Z naszych prowincyi ja byłem dopiero pierwszy. Izba się przepełniła, że szpilki by już nie wsunął; dopytywano ciekawie, co się u nas dzieje, i najmniejszy szczegół był pożądaną nowością dla odciętych od świata przez rok już prawie cały. Lecz praktyczny gospodarz zwrócił uwagę towarzyszy, iż naprzód trzeba obmyśleć, gdzie pierwszą noc przebędę.

Po krótkiej naradzie stanęło tedy na tem, że zanim upatrzę wygodniejsze pomieszkanie, kolonia zabierze mnie do siebie. Tem mianem nazywano stowarzyszenie kilku wygnańców, któ-

rzy w nieco obszerniejszym domu, jaki w całości zajmowali, urządzili sobie własne gospodarstwo i własną kuchnię. Każdy miał swe zajęcie i obowiązki; wydatki ponosili ci, którzy jakkolwiek zasób mieli; pozbawieni zaś wszystkich środków nieśli do składowi swoją pracę. W ten sposób znalazł się improwizowany kucharz, piekarz, kredenserz, woziwoda i tak dalej, wszyscy zaś do stołu zasiadali razem i żadnej różnicy stanów tam nie znano. Przeciwnie, kto najwięcej mógł pracować dla pożytku ogółu, ten największej konsyderacji w kolonii zażywał. Na czele tego stowarzyszenia stali: Narbut, Łopaciński i Okuszko, a razem kolonistów było ze dwudziestu. Wszystkich zaś wygnańców w Czerdyniu liczono stukilkudziesięciu. Były w tej liczbie i panie, żona marszałka Jeleńskiego z córką, dorosłą już panienką, i pani Medekszyna, (lecz te dobrowolnie losy mężów dzieliły), później powiększyła się liczba dam, już osobiście z zandarmami przywiezionych.

Cały pierwszy tydzień korzystałem z uprzejmej gościnności w kolonii. Dla swobodniejszego jednak zażywania czasu, co w hurcie zawsze jest trochę przytrudne, udało mi się wynaleść dość schludne dwa pokoiki, a razem i stół dla

siebie i sługi za opłatą 25 rubli miesięcznie u bardzo poczciwych mieszczan. W ogóle przeto życie wcale niedrogie tam było, lecz jadło mniej niż znośne, a chleb zupełnie niemożliwy. Nie-wypiekają go tam do twardej powierzchni, jak zwykle, lecz zaparzają w ten sposób, że otrzymuje się bochenek nie chleba, ale zsiadłej le-mieszki, przytem mąka szkaradna. Pracowaliśmy długo nad wyuczeniem niektórych chętniejszych gospodyń w przyrządzaniu pieczywa na cywili-zowany sposób, było to nieco poprawne, zawsze jednak wiele do życzenia zostawiało. Co do mięsa zwyczaj taki, że dla oszczędzenia karmu przez siedm miesięcy srogiej zimy, na początku jej biją odpowiednią ilość bydła i mięso zamrażają. W pierwszych miesiącach różnica do-broci mięsiwa niewielka, lecz pod koniec zimy wskutek wymarznienia soków, zostają tylko czarne włókna, które bez obrzydzenia przełknąć trudno. Ryby choć także zamrażane mniej na tem tracą. Zwierzyny, szczególnie jarząbków, podostatkiem, zajęcy mnóstwo, ale miejscowi nie jedzą ich wcale. Jarzyn, prócz kartofli i kapusty, żadnych prawie niema. Z dróbii indyki zupełnie nieznane.

Znakomitości miasta, o jakich ze śmieszną przesadą nadmieniał sprawnik, przedstawiały się w osobach kilku równie półdzikich jeszcze, jak inni, mieszczan, którzy zapomocą defraudacyi złota z bliższych kopalń Uralu, dzieląc nieprawne swe zyski z władzą miejscową, doszli rzeczywiście do bardzo znacznych kapitałów. A co do niechęci kwaterowania nas u siebie, w początkach było to prawdą, lecz przy bliższem zapoznaniu dobroduszni Waguli nie taili, że głoszono między nimi, iż jesteśmy wyrzutkami społeczeństwa najprzewrotniejszych zasad. Opinia ta jednak wkrótce się zmieniła i na wyścigi zapraszano nas w komorne. Niejednokrotnie słyshałem od nich te słowa: »My teper tolko widim, czto wy mnogo pocziszcze naszych¹⁾.

Wobec dotkliwie upakarzających warunków korespondencyi pod cenzurą policyi a bardziej kancelaryi gubernatora, gdzie wszystkie listy zatrzymywano dla odczytania przez trzymanego na to tłumacza, łatwo ocenić, jak pisma nasze musiały być lakoniczne, a odbierane, dość późno przeznaczenia swego dochodziły. Zaledwie

¹⁾ »My dopiero teraz widzimy, że wy daleko porządniejsi od naszych«.

po upływie kilku tygodni od przybycia mego na miejsce pierwszy list od żony otrzymałem, a wy-
czekiwałem go w tem bardziej gorączkowym nie-
pokoju, że z gazet wiedziałem już o zaszłej po
odjeździe moim katastrofie w Dubnie i o liczy-
nych aresztowaniach w całym powiecie.

Smutna historia tego jest następująca: był
w powiecie dubieńskim niejaki podupadły oby-
watel Bobr. Niezły człowiek z gruntu, lecz
przewrócona głowa i niesłychanie gwałtowny,
a patriota zagorzały. Takie usposobienia nara-
żały go często na niemałe przykrości. A że był
dzierżawcą jednego z majątków masy Chodkie-
wiczowskiej, miałem więc jako opiekun nieletnich
dziedziców konieczną z nim styczność i nieraz
wyzwalałem go z różnych niekonsekwencyi, tłu-
macząc go po prostu niepełnością władz umysłó-
wych. Był jednak gospodarz dobry i wypłacał
się najakuratniej. Kochał mnie stąd i szacował
wysoce, a niejednokrotnie powtarzał, iż »za mar-
szałka w ogieńbym poszedł«. Otóż po wywie-
zieniu mojem, ubzdrzyło się nieszczęsnemu,
nie wiem już na jakiej prawdopodobnej podsta-
wie, że miejscowy sędzia Hołubowski, rzeczy-
wiście zły i nienawistny nam małorosyanin,
donosami swoimi był głównym sprawcą wy-

gnania mojego. W wyegzaltowanym oburzeniu zaprzysiął mu zemstę, a nie zwierzając się z szalonym zamysłem nikomu, przybył do Dubna, kupił toporek w sklepie żelaznym i wśród białego dnia wracającego z sądu Hołubowskiego, rozplataniem z tyłu głowy, trupem położył, a sam najspokojniej przez nikogo na pustej ulicy nie dostrzeżony odszedł do zajazdu.

Można miarkować, jaki stąd powstał przestach i skweres w mieście. Kupiony toporek wykrył przestępcę, a gdy go aresztowano, wyznał wszystko najotwarciej, dodając, że zamiarem jego było zgładzić w ten sam sposób sprawnika i oficera żandarmeryi.

Oczywiście, władza chciała koniecznie wiedzieć w tem sprzysiężenie, dorażna komisya rozesała kibitki na wszystkie strony i niemal cały powiat zwieziono do Dubna na indagacyę. Nieszczęście chciało, że przy rewizyach znaleziono w niektórych domach kompromitujące w obliczu rządu pisemka. Po nitce do kłębka, naiwnością jednych a nierozważną wielomownością drugich, wykryto niby całą organizacyę polityczną, która w rzeczywistości ograniczała się tylko do czczych tytułów wojennych naczelników, komisarzy, kuryerów i tym podobnych

godnościach, przez tajemnych wysłańców nadawanych, a do żadnej czynności przy miejscowych warunkach na seryo nie obowiązujących. Wspólnictwa z biednym Bobrem oczywiście nie zdołano wykryć żadnego, niemniej jednak dwudzie-stukilku obywateli powiatu, przeważnie młodzieży, skazano do ciężkich robót lub na osiedlenie w Sybirze. A był czas, w którym komisya gwałtownie sprowadzenia mego dla nacownych stawek się domagała; co ochroniło mnie od tej przyjemności, dotąd dokładnie nie wiem. Lecz bodaj, że szczerą prawdę powiedział generał-gubernator Anienków mojej żonie, gdy przedstawiała mu niesłuszność wywiezienia mego, bez udowodnienia winy i sądu, iż bardziej dziękować, niż wymawiać mu to powinna.

Sprawca tak smutnych następstw, nieszczęsny Bobr, sądem wojennym skazany został na rozstrzelanie. Do ostatniej chwili zachował niezwykłą krew zimną i spokój; pożegnawszy się z żoną, przy wyjściu z odwachu wsiadając do bryczki, która go w asystencyi księdza na plac egzekucyi za miastem przewieść miała, zapomniał kalosze, a że było błoto, wrócił nazad, mówiąc, że łatwo kataru nabawić się może. W drodze ciągle rozmawiał żartobliwie z półży-

wym od wzruszenia proboszczem parafii, kanonikiem Szumkowskim. Na miejscu zaś prosił, by mu oczu nie zawiązywano, a wyrzuciwszy czapkę w górę krzyknął: »Jeszcze Polska nie zginęła« — i przesyty 12 kulami oddał ducha Bogu.

Nie potrzebuję dodawać, iż wszystkie te szczegóły o wiele później żona mi dopiero opowiadała. Gazety czytane w Czerdynie podawały tylko sam fakt, ciesząc się wykryciem całej szajki buntowników i żandarma wieszatelia, Aleksandra Bobra.

Dla przerywania nieznośnych nudów leniwo wlokących się dni pod ołowianem niebem sfer północnych, w braku wszelkich książek i zajęcia, szczęśliwym trafem wziętem z sobą metodę Robertsona, zostosowaną do nauki włoskiego języka przez profesora Vimercatego, wedle której uczyłem się pięknej mowy Petrarki i Danta w Paryżu. Wprawdzie i sam zbyt silny w umiejętności tej nie byłem, lecz posiadając dobre początki i obznajomiony z rutyną, zebrałem kółko zwolenników i codziennie zabawiałem się po parę godzin wykładaniem chętnym słuchaczom pierwszych reguł i wymowy tego języka. Żeby nie bardzo się kompromitować na tak

zaimprovizowanej profesorskiej katedrze, przed każdą lekcją wypadało samemu przygotować się należycie. Miałem więc czas zajęty i nauka wydała nawet niejakie owoce; najpilniejszymi uczniami moimi byli: zacna pani Medekszyna, gwardyan bernardynów warszawskich i Józef Drozdowski, rysownik z Wilna.

Pierwszych dni Kwietnia dopiero mrozy raptownie ustały; słońce silniej przygrzewać zaczęło i bez kropli deszczu w przeciągu tygodnia sążniste masy śniegu zmieniły się w szumne potoki. Rzeka Kołwa wezbrała silnie i rozlała się w nieprzejrzone jezioro u stóp wzgórza, na którem rozłożone było miasteczko, i zieloność jak czarodziejską różdżką ożywiła odkrywające się wzdłuż ciemnych jodłowych puszczy łąki. Hromoszowa piasczystość gruntu wilgoci długo nie utrzymuje, zaledwie więc znikły śniegi, szczęśliwi byliśmy z możności korzystania z pięknych spacerów, dziko malowniczego wybrzeża rzeki i przylegających prawie do miasteczka niebotycznych lasów. Były to niejako uchybienia instrukcyi, która za kres miłośnicy wydałać się nie dozwalała, ale dostatecznie już przekonana władza o pokojowem usposobieniu naszym, przez palce na to śmiało nadużycie nasze z pobłażli-

wością poglądała. Wiedziała też może, iż niedługo cieszyć się tem będziemy. Jak tylko bowiem słońce się wzniosło, upały nastąpiły tak silne, że w dzień dla skwaru a wieczorem dla miliardów malutkich lecz wielce zjadliwych komarów w lesie i na łąkach, przy szczelnie zamkniętych oknach najczęściej w domu siedzieć przychodziło, choć i tu prawdę mówiąc, o mało było lepiej z powodu rozwydrzonego letniem ciepłem robactwa, które w czasie zimy nierównie spokojniej się zachowywało. Gatunków tej plagi było kilka: tarakany, prusaki i niewidzialnej dorodności pluskwy. Codzienna tylko kąpiel w czystych wodach Kołwy była dla nas prawdziwą przyjemnością.

Pocziwy Józef Drozdowski, wywdzięczając się za naukę języka włoskiego, odmalował mi widoczek Czerdynia w czasie największego wylewu Kołwy i umieścił na nim wszystkich moich uczniów.

O pierwszej na wygnaniu Wielkanocy, cóż powiedzieć mogę? Na wspólne nabożeństwo zebrałiśmy się wszyscy u kanonika Nowodworskiego, gdzie zbiorowemi siłami urządziła się jakaś podobizna święconego. Przy podziale święconem jajem łyzy zakreśliły się w oczach, ży-

czenia zamarzyły na ustach. Posiliwszy się tedy nieco skromnie wyglądającym jadłem i pozwieszawszy głowy, rozeszliśmy się w mniejsze kółka, jakie wzajemne sympaty formowały.

Powodzenie moich lekcyi włoskiego języka zachęciło też szanownego kanonika Nowodworskiego do wygłaszania nam z pamięci w bardzo zajmujący sposób historii chrześcijaństwa i kościoła. A na te prelekcyje jego oczywiście nierównie gromadniej się zbierano.

Tak, przy jednostajności trybu nie życia, lecz wegetacyi, pomału miesiące nam upływały. Nowe tylko przybycia świeżych wygnańców powiększały coraz bardziej kolonię naszą, a jeden z dawniej zesłanych za udział w zbrojnej ruchawce przy pograniczu Królestwa, Węgier rodem, reklamowany przez rząd austriacki, wskutek starania krewnych, szczęśliwie odjechał w strony rodzinne. Z miejscowymi mieszkańcami, między którymi żadnej co się zowie inteligencyi nie było, stosunki nasze niezmiernie były ograniczone. Od czasu do czasu, niby przez grzeczność, pojawiał się u starszych naszego koła wszechwładny pan sprawnik. Wtedy co prędzej butelka wódki i śledź lub inna przekąska na stół. Prosić się nie dawał, kilka kieliszków oczyszczonej

w gardle jego znikało i po krótkiej rozmowie o pogodzie lub wysokiem zachowaniu jego u gubernatora odjeżdżał jednokonną linijką swoją dalej. A nierzadkie były zdarzenia, iż objechawszy w ten sposób miasteczko, pan dygnitarz potrzebował pomocy służbowych kozaków, żeby do łóżka swojego się dostać.

Gospodarz mój handlujący futrami, głównie gronostajami, których niewyprawioną skórkę za 20 kopiejek na targach miasteczka dostać było łatwo, nawiedzał co roku Niżny Nowogród w czasie sławnych tam jarmarków. Stąd oczywiście więcej nieco z ludźmi i światem obyły, zachodził czasem do mnie na wieczorną gawędkę. Przy filiżance herbaty, gdyż wódki jako starowiez nie pijał, po lepszym poznaniu się ze mną, ilekroć rozgadał się swobodniej, rozpowiadał mi dziwne anegdoty miejscowe, zawsze jednak pod wielkim sekretem. Wiele z pamięci mi już uleciało, ale niektóre z ciekawszych warte zanotowania.

Puszcze okalające Czerdyń są własnością rządową, a dozorują ich specjalne władze leśne. Miasteczko ma przywilej wolnego wyrębu do lasu na drwa opałowe, z leżaków lub suszu za opłatą 1½ rubla rocznie od każdego dymu, w miejscach oznaczonych przez straż leśną. Kiedy więc

w bliskości zabraknie suszu i wywrotów, praktyczni mieszkańcy, bodaj czy nie w porozumieniu z leśnikami, wznecają niby przypadkowo pożar w najbliższym lesie i w ten sposób znowu na długi czas korzystają z niedalekiej dostawy drzewa opałowego.

Przy wyrabianiu znowu statków w lasach dla spławiania różnych materyałów i wyrobów z drzewa po Kołwie, Kamie i Wołdze, od każdego gotowego statku płaci się rządowi 300 rubli; gdy statek jest już na rzece, leśniczy okręgu przykłada na nim klejmo¹⁾). Tu wydaje się ucztą i pan leśniczy ujęty przyjęciem i datkiem, zapisując na przychód rządowy jeden statek, tak zwaną barżę, co najmniej trzy klejma sankcyonuje. Temu podobne nadużycia i malwersacye dzieją się codziennie na olbrzymią skalę. A rada na to dotąd okazała się bez skutku. Kiedy po licznych donosach przyszła zaufanego rewizora z Petersburga, zwykle kończy się na tem, że pan rewizor wszystko znajduje w porządku, gdyż rad z korzystnej podróży przedstawia władzy, że donosy były wynikiem złej woli tych, którym wiernych leśników prze-

¹⁾ Stępel, cecha, znak. Przyp. wyd.

kupić się nie dało. A był wypadek, że rzeczywiście uczciwy rewizor, który wszelkie malwersacje wykrył, powracając umarł nagle w Niżnym Nowogrodzie, a teka jego ze wszelkimi dowodami znikła bez śladu.

O figlach zaś policyjnych opowiadał mi gospodarz między innymi anegdotkę następującą: Wśród srogiej zimy przystawa, przebiegając w interesach poruczony mu stan¹⁾), znajduje zamarznętego przechodnia na drodze. Prawo wymaga tu raportów, śledztwa i innych kłopotliwych czynności, które w końcu żadnej materialnej korzyści przynieść nie mogą, gdyż zamarznienie człowieka w drodze jest tam rzeczą zbyt naturalną i nierzadką. Lecz przemyślny przystawa umie wyciągnąć korzyść z każdego zdarzenia. Przy pomocy zaufanego furmana odcina rękę zmarznętego nieboszczyka, zaciągnąwszy go w gęstwinę lasu, i dalej jedzie ze zdobyczą w worku do pierwszej przyległej wioski. Tam umówiony sługa podrzuca rękę w pierwszym lepszym chlewie zamożniejszego włościanina a przystaw zajeżdża szumnie przed chatę i oznajmia, iż na mocy pewnego donosu przybył na śledztwo dokonanej,

1) Okręg. Przyp. wyd.

okrutnej zbrodni. Gospodarz czując się niewinnym, śmiało zarzutów wysłuchuje i wszystkiemu przeczy. Trzeba więc dokonać rewizyi — z największem przerażeniem oskarżonego ręka wy-
najduje się w chlewie.

»Ha! łotrze, areszt, turma i wszelkie następstwa długiej zawiłej sprawy«. No, lecz przystawa niezły człowiek, gubić zamożnego gospodarza nie radby wcale. Następują sekretne dobrowolne układy, i wilk syty i owca cała, ręka zabiera się do worka i co prędzej do drugiej podejrzonej włości. W ten sposób objechawszy jakoby cały swój rozległy stan, ponieważ tęga zima jeszcze się przeciągała, pomysłowy przystawa odstąpił, jak głosi podanie, złotodajną a dobrze zamrożoną jeszcze rękę sąsiedniemu koledze swojemu, z warunkiem pewnego podziału zysków, które wiosna dopiero przerwała.

Tego rodzaju anegdot mógłbym nacytować bez liku, a z własnego doświadczenia i naocznych wydarzeń bynajmniej za bajki ich nie poczytuję. Nie darmo przecie znane przysłowie: »Do Boga wysoko, do cara daleko, a biednym ludziom żyć trzeba«.

Najlepsza żona moja, powziąwszy stały zamiar dzielenia wygnańczej doli, rozpoczęła sta-

ranie o przeniesienie mnie do jednej z bliższych nieco gubernii. Przy silnem i dotykalmem poparciu w wielu miejscach dało się w końcu uzyskać, że z powodu nadwątlonego zdrowia dozwolono mi przenieść się do gubernii woroneżskiej z tym dodatkiem, abym koszta podróży dla siebie tam, a dla dwóch żandarmów tam i z powrotem, na ręce tych ostatnich w Czerdyniu z góry złożył. Szczęściem zasób mój, choć bardzo już ograniczony, wystarczał jeszcze na to. Pożegnawszy więc z tkliwą serdecznością siedmioletnich towarzyszy pobytu na miejscu, ostatnich dni Sierpnia 1864. roku wyruszyłem do Permy, skąd przy właściwej instrukcyi od gubernatora żandarmi mieli mnie eskortować dalej.

Tu dopiero powiedziano mi, że instrukcyja zaleca jechać najbliższą drogą, która prowadzi na Razań a wymija Niżny Nowogród i Moskwę. Oprócz więc wygody, jaką przedstawiała podróż statkiem parowym po Kamie i Wołdze do Niżnego a stamtąd koleją do Moskwy, przypomnąć proszę, że powóz mój został w Niżnym; miałem więc miłą perspektywę utraty takowego i odbywania 1880 wiorst na prostej kibitce pocztowej. W takiej alternatywie ruszam przedstawić rzecz

gubernatorowi i prosić o zmianę tyle niekorzystnego dla mnie warunku. Otucha wstąpiła do serca mego, gdym się dowiedział, że Łaszkaiewa już niema, a miejsce jego zastępuje czasowo wicegubernator. Ów pan gładkiej powierzchowności i uprzejmego obejścia, przyjąwszy mnie w sali audyencyonalnej, gdzie kilku innych interesantów się znajdowało, wysłuchał z uwagą przedstawienie moje, ale niestety z widocznym współczuciem objaśnił, że instrukcyi przysłanej od wyższej władzy przemieniać nie ma prawa. Potem, jak gdyby przypominając sobie, że jeszcze ma mi coś do zalecenia, »proszę pana zaczekać chwilkę« powiedział i spojrzawszy przenikliwie na mnie odszedł do innych interesantów. Po skończonej dopiero audyencji zawezwał mnie do swego gabinetu i w krótkich słowach dał taką zbawienną radę: »Ja na piśmie marszruty pana zmieniać nie mogę, postaraj się pan ułożyć o to z żandarmami, którym zalecę konfidencyonalnie, żeby trudności nie robili«.

»Bóg zapłać, panie jenerale«, wyrzekłem z wdzięcznością i rzeczywiście przy pomocy 25 rubli rzecz się w ten sposób ułożyła. Żałuję tylko mocno, że zapomniałem nazwiska tego o ludzkim sercu urzędnika rosyjskiego; gdyby

Łaskkarew był jeszcze na miejscu, z pewnością przysłoby jechać na Razań perekładną¹⁾.

Statkiem parowym z Permy do Niżnego płynie się dni pięć, gdyż nocą dla mielizny rzeki trzeba się zatrzymywać. Statki nie gorsze jak na Renie i kuchnia choć droga lecz dobra. Pasażerów było pełno, ale głównie z niższej klasy; między kilkunastu podróżnymi z wyższego towarzystwa sam zapragnął poznać się ze mną oficer kawalergardów Ostaszew, wracający z Sybiru, gdzie własne kopalnie złota zwiedzał. Bardzo on był ugrzecznionym dla mnie, ubolewał nad smutnem położeniem i nieszczęściem kraju i pocieszał, że wkrótce to zmienić się może. Ostatniego dnia nawet wymógł, żebym spożył z nim pożegnalną kolację; ta uprzejmość oficera gwardyi niemałą konsyderacyę żandarmów dla mnie wzbudziła i odtąd wszelkim pomniejszym życzeniom moim w ciągu dalszej podróży dogadzać się starali.

Najoryginalniejsze jednak zdarzenie na tym statku miałem następujące. Wsparty o bort parowca w ustroniu na pokładzie, przyglądam

¹⁾ Bryczka pocztowa, którą zmienia się na każdej stacyi. Przyp. wyd.

się w zadumaniu jednostajnym i smutnym wybrzeżom Wołgi; wtem zbliża się do mnie atletycznej postawy młodzian w stroju dostatniego mieszczanina z głębi Rosyi i patrząc mi prosto w oczy, powiada półgłosem w najczystszym narzeczu moskiewskiem:

»Powiedz mi, proszę, tylko prawdę, czy ty jesteś Polakiem?«

»Widzisz bracie żandarmów, którzy mnie eskortują, to najlepszy dowód narodowości mojej«.

»A! to i naszym niekiedy się zdarza, a ja chcę wiedzieć z pewnością czy ty Polak?«

»Jestem nim od urodzenia«.

»No, to pozwól, bracie, niech cię pocałuję, gdyż podobałeś mi się bardzo«.

»Całuj, ile chcesz«, odrzekłem rozweselony.

Jakoż rudy kacap wyściskał mnie na wszystkie strony i dodał na ucho: »Bądź dobrej myśli, wkrótce my do was przyjdziemy i porządek będzie«.

Na tem skończyła się znajomość i rozmowa, a kiedym następnie zwrócił uwagę kapitana na tę osobistość, która między podróżującymi klasą IIIcią ciągle jakiś rej wodziła, kapitan powiedział mi, że i on dawno już na niego oko

zwraca i przekonany jest, że to: Maładaja Rossija.

Zwracam uwagę, że działo się to w 1864. roku. Musiała więc ta partya być bardzo rozgałęzioną już wówczas, kiedy denominację swoją miała, a adepci z niższej klasy roznosili propagandę po Wołdze. — Niechże nie zarzucają, że my do anarchicznych działań pierwsi podniecili.

W Niżnym Nowogrodzie powóz w całości mi oddano; przepakowawszy rzeczy, wysłałem go koleją do Moskwy, a sam za własne pieniądze miałem przyjemność jechać już tą razą klasą IIgą. Przybywszy do stolicy około 3ciej z południa, dowiedziałem się, że powóz wyprawiono towarowym pociągiem, który dopiero o 6tej zrana nadchodził. Niema więc rady, jedziemy do pierwszego lepszego hotelu w mieście dla przemocowania, a jeden z żandarmów, spełniając powinność, idzie zameldować o tem pułkownikowi swej broni. Po upływie godziny wlatuje zdyszany, że pułkownik go złajał i natychmiast wyjeżdżać rozkazuje, gdyż politycznym przestępcem w stolicy zatrzymywać się nie wolno.

Nowa historia. »Jedźmy, powiadam, do kancelaryi jenerałgubernatora«. Była opozycya, ale

nie ustąpiłem. W przedsionku kancelaryi każą mi czekać wyjścia jakiegoś pana urzędnika. Wkrótce ukazuje się ważna zapewne figura, gdyż wyższe ordery zdobią pierś jego, a dyżurny skinął do mnie, bym mu swą prośbę przedstawił. Wysilam się na elokwencyę, a pan orderowy spytawszy czy jestem politycznie skompromitowany, na potwierdzającą odpowiedź zawrócił na piętach i odszedł najspokojniej w drugą stronę. Gdybym był złodziejem lub rozbójnikiem, myślę, okazałby mi współczucie większe. Ale wziąłem też na kiel i oświadczyłem dyżurnemu, iż nie odejdę, póki mnie kto nie wysłucha i słuszności nie przyzna. Widząc, że natręta łatwo się nie pozbędzie, sprowadził mi drugiego urzędnika, który po wysłuchaniu o co rzecz idzie, napisał kilka słów na karteczce i zalecił udać się do urzędu cyrkułowego, czyli do tak zwanej czasti. Pisemko opiewało, żeby oddawcy dozwolono przeczekać w cyrkule do 12tej godziny w nocy. Ha! myślę, dobrze i to, może przy pomocy datku potrafię termin przedłużyć.

Naczelnik cyrkułu wskazał mi osobną, niezmiernie brudną ciupkę na korytarzu, gdzie za kratami wielu drzwi różnego rodzaju brukowych delikwentów obojej płci było pełno i chciał po-

żegnać, kiedy wciskając mu do ręki 5 rubli, znowu przedstawiam mój kłopot i proszę usilnie, aby mi wolno było w tem Eldorado choć do 4ej z rana przesiedzieć. Dobry kwartalny¹⁾ zwrócił mi datek i przyrzekł, że chociaż to przechodzi jego władzę, postara się, aby mnie do 4ej z rana nie turbowano. Uścisnąłem szczerze dłoń jego, i o ironio losów! rad byłem możliwości przenocowania za kratkami policyjnego aresztu.

Mój poczciwy Jeremiasz więcej jednak pesymistycznie na rzecz się zapatrywał. Kiedy obydwóch nas zamknęli na klucz a on obejrzał się po niechlujnej ciupie, gdzie dwa tapczany z brudnymi siennikami tylko, dwa proste stołki i jeden kulawy stolik stanowiły całe umeblowanie a roje robactwa snuły się po obdartych ścianach, dobry sługa przysiadł w ciemnym kącie i rzewnie płakać począł.

»Nie becz — powiadam udając wesołego — nic ci się nie stanie, że przesiedzisz w tej norze godzin kilka; jutro pojedziemy dalej«.

»Ach, panie! nie o mnie mi chodzi, lecz trudno nie płakać, że się pan takiego nieszczęścia doczekał«.

¹⁾ Naczelnik miejskiego rewiru policyjnego. Przyp. wyd.

»Bywa jeszcze gorzej; ot Bogu dziękować, że jakiś poczciwy kwartalny nie wypędzi nas przed rankiem i doczekamy się naszego powozu«.

Niema co mówić, że noc tam była niezabawna. Krzyki zbieranych z ulic pijaków i przeraźliwe piski towarzyszących im zwykle wyrzutków społeczeństwa płci żeńskiej przerywały długie chwile na twardym stołku przesiedzianych godzin; spoczynku bowiem na barłogach, spełnionych robactwem, pomimo znużenia i dokuczającego głodu zaryzykować było niepodobna. W końcu, przy rozświcie, zjawił się dobry kwartalny; po szczerem podziękowaniu wynieśliśmy się z tego gościnnego hotelu stolicy.

Na dworcu kolei żelaznej jeszcze trzy godziny wyczekiwania wesoło już zeszło, a gdy powóz nadszedł, najęte konie dowiozły do stacji pocztowej. Tu z miłym wrażeniem, jakbyśmy już w swoim kącie siedzieli, nie wysiadając nawet, zaprzęgliśmy żywo i zmykaliśmy, jak Francuzi przed pożarem. Ujechawszy wiorst kilka po szosie, kazałem zatrzymać się na wzgórzu i niby Napoleon I. przyglądałem się długo w zadumie ponuremu Kremłowi, setkom jaskrawych i złocistych kopuł cerkiewnych i nieprzejrzanemu obszarowi tego zupełnie azjatyckiej cechy grodu.

Jeremiasz dopiero przerwał me zamyślenie, wygłaszając zdanie: »że nasza Warszawa, proszę pana, taki dali Bóg o wiele ładniejsza«.

»Prawdę mówisz, mój bracie — odparłem ockniony — ale dlatego właśnie zawieść chciwych sąsiadów dusi nas i wypiera«.

Zapomniałem zanotować wyżej, że kolega Mogilnicki, z którym byliśmy w ciągłej korespondencji, udzielił mi miłej wiadomości, że i on staraniem braci przeniesiony do gubernii woroneżskiej z żoną, która jako bezdzietna do Werchoturji za nim pospieszyła, na dwa tygodnie przedemną wyruszył już do nowego miejsca zsyłki. Kiedy więc po tygodniu niespiesznej podróży z Moskwy, na Tułę i Oreł, stanąłem we Woroneżu, widząc, że w miastach guberskich wygnańców nie lokują, a pomny miłego zachowania pana Łaszkarewa, przemyślałem nad sposobem dowiedzenia się, dokąd kolegę wysłano i czy nie potrafię pod jakim innym pozorem wyprosić się do tego samego miejsca.

Gubernatorem był tam wprawdzie krewny, książę Trubecki Włodzimierz, wnuk stryjecznej siostry mego ojca pani Walentowej Rościszewskiej, ale polityczny przestępca w Rosyi i na rodzonego brata nie liczyć nie może. Przytem gubernatora

nie było w mieście, odbywał doroczną rewizję po powiatach gubernii swojej. Udawszy się tedy do naczelnika kancelaryi, po kilku zamienionych słowach, widząc jakieś cywilizowańsze usposobienie, spytałem z udaną obojętnością, czy nie mógłby mi wskazać adresu Mogilnickiego dla przesłania mu ukłonów od znajomych.

»Dobrze, żeś mi pan przypomniał — mówi na to sekretarz — Mogilnicki pojechał przed tygodniem do powiatowego miasta Wałujek i prosił mnie bardzo, żeby pana namówić także do tego miejsca. Nie dowierzając jeszcze, udaję opozycję — mówiąc, że Wałujki podobno bardzo licha miejscina, ale na zapewnienie, że wszystkie sześć miasteczek w gubernii przeznaczonych dla wygnańców prawie jednakowe, dałem się niby namówić i prosiłem tylko o jaki dzień wypoczynku w Woroneżu. »Jedź pan do hotelu i odpoczywaj, ile się podoba, uprzedzam tylko, iż bez wyłącznego pozwolenia pana gubernatora więcej jak tydzień bawić tu nie wolno. W wigilią odjazdu proszę się zgłosić do mnie, żebym miał czas uprzedzić żandarmeryę, która towarzyszyć mu musi«.

Po takim pocieszającym dowodzie, że wszelkie tyrańskie weksacye byłyby tylko hańbiącym

dodatkiem odnośnego usposobienia władz miejscowych, w lżejszym nieco nastroju rozlokowałem się na trzy dni w dość porządnym hotelu. A kiedy już z własnej woli jechać chciałem i prosiłem oficera żandarmów, żeby mi koniecznych aniołów stróżów udzielił, ten użalając się, że nastarczyć ich nie może, prosił usilnie, abym jeszcze kilka dni się zatrzymał.

Wałujki nad rzeczką Wałujem, wpadającą do Dońca od Woroneża wprost ku południowi wiorst 140. Mieścina dość licha ale w porównaniu z Czerdyniem wydała mi się rozleglejszą i na pozór lepiej zabudowaną; zupełny tylko brak drzew, przy wielkich odstępach zamieszkałych domów na prostych, szerokich ulicach, pustki takowych uwydatniał podwójnie. Pod względem budowli, których także niewiele murowanych, Czerdyń miał preponderencją; tam bowiem z doborowego materiału w zrąb stawiane domki wszystkie kryte były tarcicami a niektóre blachą, i tylko brak tynków posępnie je przedstawiał, — tutaj zaś białe ściany rozweselały nieco oko, ale klecone na sposób naszych chat podolskich dworki, najczęściej słomą pod szczytkę lub trzcina kryte, o zamożności mieszkańców bardzo ujemne wyobrażenie dawały.

A rzeczywiście chłop tu bogaty, chleba ma pod dostatkiem, bydło dobre, a konie doskonałe. Lecz mieszczanin dla braku handlowego przemysłu o wiele biedniejszy od Permiaka, gdzie futra, zwierzyna, wyroby leśne i różnorodne kopalnie, poczynając od złota i srebra, przy spławnych rzekach, obfite środki choć często nieprawnych zysków mu dają. Zato trudno nędzniejszych biedaków, jak czysto miejscowa ludność w niedostępnych puszczech Czerdynia. Są to Waguli, Ostiaki i Samojedy, najczęściej jeszcze bałwochwalczy; bo chociaż przez przysłanych popów przymusowo są chrzczeni, to jednak prowadząc życie koczujące w nieprzebytych moczarach lasów, umieją się wyzwalać od pozornego chrześcijaństwa i swoje bałwochwalcze obrządki zachowują. Karmią się oni przeważnie rybą, najczęściej surową, a nawet zgniła jest dla nich specyałem. Używani do wyrobów lasowych mają być bardzo zręczni i pracowici. W miasteczku rzadkiem tylko są zjawiskiem; przez siedm miesięcy pobytu mego w Czerdyniu raz jeden kilku widzieć mi się udało. Bielizny nie noszą wcale, tylko zszyte koszule ze skóry renów z włosom do góry, opatrzone kapturkami na głowę. Taki strój nazywa się sawik i rzeczywiście do

olbrzymiej sowy podobnymi ich czyni. Mowa tych plemion najmniejszego podobieństwa do rosyjskiego języka nie ma. Osiadła ludność w permskiej gubernii jest przeważnie napływowa, w wielkiej części z dawnych zesłańców, zapewne i nie mało potomków naszych barszczan i kościuszkowskich wojaków znajdować się tam musi, a niejedna rodzina bojarów ruskich dotychczas w nazwiskach się tam utrzymuje.

Kolega Mogilnicki witał mnie w Wałujkach jak brata. Zagospodarowany w dość wygodnem pomieszkaniu od tygodnia, zabrał mnie do siebie, gdzie żona jego na przyjęcie moje całą niemal kolonię na wieczorną herbatę zaprosiła. Poznałem tam panią Kostrowicką z synem i córką z Litwy, starca znakomitego doktora Karola Kaczkowskiego z Żytomierza, dwóch baronów Klottów, ojca i syna z gubernii Mohylewskiej, małżonków Klemaszewskich z córką z Grodna, Zawadzkich, Masalskiego i Lejtozorów z Wilna, młodego Dwernickiego z Królestwa i wielu innych. Ogół zesłanych do Wałujek dochodził wówczas liczby 40tu a później przybyło jeszcze nie mało.

Wiedząc z ostatnich listów żony, że zostawiając młodsze córeczki pod opieką swych rodziców na Podolu, ze starszymi synami wkrótce

dzielić będzie wygnanie moje, a dobry brat mój odprowadzić ją postanowił, najalem cały dworek o 6ciu pokojach z kuchnią w oficynach i z ławą do pojęcia niecierpliwością przybycia drogich gości wyglądałem. Pogodny jednak i ciepły wrzesień upłynął jeszcze, zanim ostatnie listy dały mi wiadomość, iż wyruszywszy w drogę są już w Żytomierzu. Nie bacząc na słotę, która się już rozpoczynała, kiedy z obliczenia miarkowałem, iż lada dzień powinni by nadjechać, zaraz po objedzie wychodziłem kilka wiorst za miasto na ich spotkanie i wyczekiwałem przy przeprawie promowej przez Wałuj do późnego wieczora, a zawodzony w nadziei, smutny i coraz bardziej zaniepokojony wlokłem się leniwo z powrotem.

Dnia 16. października obfity śnieg przysypał niezamarznięte jeszcze błoto, czas był tak haniebny, że wyjść za miasto było niepodobna, a z okazji imienin córki pani Kostrowicka zaprosiła nas w liczny gronie na wieczorek do siebie. Gawędziliśmy po herbacie, gdy sąsiad mój mieszkalny Litwin Lejtozor wchodząc zbliżył się ku mnie i powiada z flegmą litewską, że jakiś pan, mający do mnie interes, czeka w przedpokoju. Wybiegam co prędzej wielce zaciekawiony i oczom nie wierząc, poznaję mojego brata. Żem

go nie zdusił w szalonych uściskach, niech Bogu dziękuje lub wytrwałości swojej zawdzięcza. Wybiegli za mną ciekawi biesiadnicy, przekonani będąc że zwaryowałem.

»Gdzie żona! dzieci!« — wołam w pomieszeniu.

»Zdrowi, dzięki Bogu, czekają na ciebie«.

Bez czapki lecę pędem przez całą ulicę i jestem u nóg anioła-żony, a drobne chłopaki tulą się do mnie — wszyscy, nawet służba, zalewaliśmy się łzami.

Pokazało się, że żona moja zachorowawszy dość silnie w Żytomierzu, kilka dni przeleżeć tam musiała i to przyjazd ich opóźniło. Podróż, pomimo bardzo już złej drogi, powiodła się szczęśliwie, tylko z Charkowa, dla skrócenia drogi wyjechawszy najętymi końmi wprost do Wałujek, musieli stawać na noclegi po wsiach, gdzie dla braku zajazdów w chatach włościan nocować przychodziło. Ze chaty niewielkie, towarzystwo rozdzielało się tak, iż żona ze służącą mieściła się w jednej, dzieci z boną w drugiej, a brat zajmował trzecią. Na ostatnim już noclegu przed Wałujkami, zaledwie świtać poczęło, przebudza żonę jakiś szelest w izbie. Otworzywszy oczy, widzi z przerażeniem olbrzymią postać brodatego

kacapa z wielkim zakrwawionym nożem w rękę, a w rozwartych drzwiach wisi obnażona, niby ludzka postać na drągu. Przestrach odejmuje mowę mojej żonie, lecz w konwulsyjnym wysileniu zrywa się z posłania. »Spij, matuszka, spij, jeszcze wcześniej — powiada uprzejmie włościanin — ja tylko szukam moich narzędzi«. — Otóż był to rzeźnik, który zarznawszy barana, powiesił odartego ze skóry w przedsiionku, a potrzebując czegoś w chacie, wszedł tam bez ceremonii. Szczęście, że przerażenia takiego biedna żona nie odchorowała.

O stosunkach w kraju najsmutniejsze przywiózł mi brat wieści. Jenerał-gubernatora Anienkowa zastąpiono dzikim Bezakiem, który z Murawiewem wieszatelem litewskim szedł na wypródki. Liczne aresztowania i prześladowania były nieustannie na porządku dziennym. Między wielu znajomymi i pokrewnymi szwagier nasz, Tadeusz Zieleniewski, za niedowiedzione mu niczem czyny wysiadywał w turmie kamienieckiej a milionowy majątek jego skonfiskowano¹⁾. Popłoch ogólny był tak wielki, że wszelkie interesa były

¹⁾ Dobra Hlibów z przyległościami na Podolu w powiecie uszyckim. Przyp. wyd.

w zawieszeniu i kredyt w całym kraju upadł zupełnie. W takich warunkach brat widząc niemożność dalszego prowadzenia mojej gospodarki na własną rękę, zmuszony był wydzierżawić majątek mój i żony na lat trzy żydowi po nędznej cenie 50ciu kopiejek za morg ziemi. Dochody stąd nie wystarczały na opłatę kontrybucyi, podatków i innych potrzeb miejscowych. Jedynem więc źródłem utrzymania dla nas do jakiegoś czasu była wysprzedaż po niezmiernie lichej cenie remanentów, ruchomości, sreber i klejnocików żony. Strach ogarniał na myśl, co dalej będzie, ale że do koła stan wielu wygnańców był bardziej jeszcze opłakany, korzyło się tylko w pokorze przed niezbadanymi wyrokami nieba.

Po trzech dniach pobytu brat mój odjechał z powrotem, a dla mnie życie nowe rozpoczęło się w Wałujkach. Oprócz bony niemki do dzieci, żona przywiozła z sobą drugiego służącego i bardzo dobrą kobietę, która wcale nieźle jeść gotować umiała. Urządziliśmy więc z łatwością gospodarkę własną i codzień ktoś z biedniejszych wygnańców bywał u nas na obiedzie. Wszelkie wiktuały w Wałujkach były rzeczywiście bardzo niedrogie, mięso naprzykład płaciliśmy po kopiejce funt a dobrze ukarmionego indyka do-

stawało się za 50 kopiejek. Ryby obfitość wielka, tylko wszystkie prowizye trzeba było robić tygodniowo, na targach piątkowych u włościan, którzy w tym dniu wszelkie jarzyny, warzywa, nabiał, mięso i t. d. na rynek miasteczka z okolicznych wiosek przywozili.

Razu jednego przy kupowaniu takich prowizyi, co najczęściej osobiście się wykonywało, miałem swojego rodzaju oryginalne wydarzenie. Stargowawszy kilkanaście funtów masła, daję włościaninowi dziesięciorublówkę i proszę o resztę. »Nie mam drobnych — powiada — zapłacisz mi na przyszły piątek«. — »Jakże możesz mi kredytować — mówię zdziwiony — nie znając mnie i nie wiedząc nawet gdzie mieszkam?« »Kak tebe ne znať, była odpowiedź, wiet ty palak, wy czestnyje ludie. Uż naszomu bratu to by niepowierył«¹⁾). Podziękowawszy pięknie, bardziej za pochlebną opinię niż za kredyt, wskazałem mu moje pomieszkanie i prosiłem, by się zgłosił w następny piątek. A tego rodzaju zachowanie względem nas nie było wcale wyjątkowem.

¹⁾ »Jak ciebie nie znać, przecież ty jesteś Polak a wy porządni ludzie. Już to naszemu bratu tobym nie pokredytował«.

Miejscowi obywatele także uprzedzająco grzecznymi się okazowali. Baron Korff, jeden z zamożniejszych właścicieli ziemskich okolicy z żoną, jak i kilku innych, pierwsi zaszczycali nas żonatych i poważniejszych w kolonii swojemi odwiedzinami. A kiedy w czasie karnawału urządzili tańczące zabawy w mieście, wielu z wygnańców otrzymało zaproszenie na nie. Nie było nam wówczas do tańca, dla wywzajemnienia się jednak równą grzecnością, postanowiliśmy z Mogilnickim faire acte de présence, na jednej z zabaw takich, oczywiście bez żon. Przy poufniejszych tam rozmowach, szeptano nam na ucho: »Pospieszyliście się panowie z poruszeniem politycznej kwestyi, było zaczekać na nas, bo my kitajcy (chińczycy) nieprędko decydować się umiemy«... i temu podobne urywkowe zwierzenia. A jakby na potwierdzenie, że są prawdziwymi Chińczykami, na tejże zabawie oficjalna metresa miejscowego marszałka P....., stawała w jednym kadrylu z panią baronową i innymi ślubnymi przedstawicielkami obywatelstwa.

W ciągu pierwszego roku w Wałujkach kolonia wygnańców powiększała się prawie nieustannie. Z nowo zesłanych przybyła cała rodzina Bilińskich: mąż, żona i pięcioro drobnych dzieciak

z Litwy, Stanisław Nowowiejski i Paszkiewicz z Wołynia, niemłoda panna Szulc z siostrzenicą panną Lewandowską, państwo Medekszowie przeniesieni z Czerdynia. W dobrowolne zaś odwiedziny do Mogilnickich przyjechali matka jego i brat Bronisław, a do doktora Kaczkowskiego żona z córką i wychowanicą.

Nie od rzeczy wspomnieć tu o ultra dzikim wyskoku postanowień Murawiewo-Bezakovskich, wskutek zwiększającej się liczby dobrowolnych odwiedzin wygnańców przez najbliższych z rodziny. Bez względu na legalność paszportów, przez samą władzę wydawanych, policya otrzymała tajny rozkaz zatrzymywać wszystkich przybywających z kraju w odwiedziny na miejscu i paszporty odbierać do siebie. W ten sposób żyd przybyły do Kaczkowskiego w interesie pieniężnym, pół roku wysiedział rekolekcye w Wałujkach, zanim dozwoleń odjazdu aż z Petersburga mu wykołatano. Pani Mogilnicka z synem cały rok przymusowo z nami przesiedzieli, a biednej pani Kaczkowskiej dobrowolne nawiedziny zgrzybiałego małżonka o wiele smutniej niestety wypadły. Przechorowawszy miesiący kilka, pożegnała się ona z rodziną i ze światem. Dla oddania ostatniej chrześcijańskiej usługi

zmarłej jeden ksiądz, mieszkający w Woroneżu, mając trzy gubernie do obsługiwania, pospieszyć nie mógł; najstarszy więc z kolonii 80cioletni baron Klott wziął prosty krzyż drewniany i poszedł naprzód, młodzież na barkach poniosła zwłoki, a cała kolonia odmawiając modlitwy za umarłych przeprowadziła prochy zgasłej na wieczny spoczynek.

Wielkie to wrażenie sprawiło wśród ludności miejscowej, współczucie ich było tem większe, że Kaczkowski jako znakomity medyk nie szczędził nikomu bezinteresownych rad swoich. Ale wrażenia i najżywsze współczucie prędko przemijać zwykły, gdy smutna rzeczywistość stoi nieporuszenie na miejscu.

Wspominając Kaczkowskiego, muszę tu dodać, jak wielkiej konsyderacyi zażywał on między Rosyanami. W czasie rewolucyi 1830. roku był on przez rząd narodowy mianowany generał-doktorem całej armii. Zapewne ktoś z wygnańców udzielił tego szczegółu mieszkańcom Wałujek. Dostyc, iż nie tylko obywatelstwo, lecz chłop przychodzący o radę, nigdy inaczej go nie tytułował jak: Wasze Prewoschoditelstwo (Ekscelencya).

Wielkie też zmartwienie nawiedziło i mnie osobiście w Wałujkach, gdy żona zachorowała

ciężko na upartą żółtaczkę. Przez parę miesięcy niepokój o nią był wielki, lecz przy skutecznych radach dobrego pana Karola Kaczkowskiego młode jeszcze siły przemogły zło w końcu. Ja sam także nieco później o mało nie złożyłem mych kości nad błotnistym Wałujem. Jakieś zapalenie wnętrzości tak silnie mnie zaatakowało, że trzech lekarzy kiwało już głowami nademną.

Były tam jednak i chwile nieco swobodniejsze. Najprzód dla zajęcia choć bardzo jeszcze małych chłopaków naszych, starszy bowiem liczył zaledwie lat 6, zabawiałem ich więcej niż uczyłem początkowymi naukami, na które i starszy nieco synek Bilińskich uczęszczał. Młody zaś Dwernicki prosił o odbywanie z nim korepetycyi z języka francuskiego.

Potem, gdy ogół wygnańców zapragnął rozrywki w jakim umysłowem zajęciu, doktor Kaczkowski przyjął trud wykładów historyi naturalnej, Mogilnicki historyi powszechnej, a ja, mając niektóre podręczniki, przywiezione przez żonę, podjąłem się opowiadania dziejów ojczy-
stych. Takie prelekcye dwa razy na tydzień odbywały się kolejno w domach prelegentów, a że wykładaliśmy przedmiot z pamięci, przygotowanie takie kęs czasu zabierać musiało. Po

skończonym wykładzie licznie zebrane kółko zatrzymywało się na herbatę i przekąskę, resztę zaś wieczoru urozmaicało się muzyką, śpiewami, deklamacją i towarzyskimi grami. W czasie zimy podał ktoś projekt urządzenia teatrów amatorskich, lecz trudność okazała się nieprzełamaną w dostaniu odpowiednich utworów; dogadzając usilnym życzeniom młodzieży, udało mi się napisać komedyjkę, którą z powodzeniem dwa razy odegrano.

Letnia pora nastęrczała więcej urozmaiconych rozrywek w dalszych spacerach, majówkach, kąpielach, zbieraniu orzechów w przyległym lasku i różnych ekskursjach dla ruchu i zabawy. Miesiące i lata ubiegały tak jednostajnie, a w położeniu naszym żadnej przemiany przewidzieć się nawet nie dawało.

W 1866. roku wieść o zbrodniczym zamachu w Petersburgu przeraziła nas nową trwogą i niepewnością. Gdy przyszło jednak urzędowe ogłoszenie, że Karakazow, a więc Rosyanin czystej krwi, targnął się na życie cara, otucha wstąpiła w serca, bo przecież spotęgowanie prześladowania nie miało nawet pozornego prawa bytu dla nas. Ale wszechwładnym prokonsulom w Wilnie i Kijowie inaczej się zdawało. Z upoważnienia

cesarza orzekając o przyszłym losie tych nawet, którzy bez objawiania zarzuconej winy i sądu administracyjnie z kraju wygnani zostali, zlecono objawić wszystkim właścicielom ziemskim tej kategorii, iż do dwóch lat dozwala się im łaskawie wyprzedać posiadane majątności z własnej ręki. Po upływie zaś oznaczonego terminu sam rząd zajmie się ich wywłaszczeniem za pomocą publicznych licytacji, chociażby in minus przeprowadzonych; nota bene, nie dozwolając ruszać się z miejsca wygnania, zalecono działać li tylko przez upoważnienie na mocy plenipotencji osoby.

W obec jednoczesnego ukazu, iż odtąd zabroniono Polakom nabywać nieruchomego mienia we wszystkich prowincjach naszych, miła została speranda szukać na gwałt kupca Rosyana, który wiedział doskonale, że za dwa lata nabędzie z łatwością z licytacji najpiękniejsze obszary ziemi za cenę, jaką sam wspaniałomyślnie uznać zechce.

Przy takiej ostateczności bez wyjścia, w osobistem rozbiciu mojem chwyciłem deskę zbawienia w pewnym wykręcie, jaki mi się przypadkowo nastęrczał. Po śmierci naszego ojca, wskutek zaszłych niedługo rozruchów w kraju, dział

z rodzeństwem nie był dotąd wedle litery prawa dopełnionym. Na mocy tego podałem prośbę, dokąd należało, aby przedewszystkiem wolno mi było udać się w strony rodzinne dla układów i działu, a wtedy dopiero wiedząc ostatecznie, co do mnie należy, będę w możności spełnić wolę rządu w terminie oznaczonym. Nad wszelkie spodziewanie w drugiej połowie października 1866. roku nadesłano mi urlop trzymiesięczny, z miłościwym dozwoleńiem odbycia podróży bez honorowej asystencyi żandarmów. Był to na prawdę ewenement wielki, gdyż od czasu rozpoczętych wysyłek przed 4ma przeszło laty, bodaj czy nie pierwszy zdobyłem łaskę czasowego zajęcia w ojczyste strony.

Pociecha stąd niedługa, gdyż termin trzech miesięcy jak miecz Damoklesa wisiał ponad głową. Żegnając tedy pocziwych towarzyszy wygnania, którzy w serdecznem rozrzewnieniu wszyscy prawie o wiorst trzy do promowego przewozu nas odprowadzili, w smętnym nastroju myśli, ściskając przyjazne dłonie, mówiliśmy im do widzenia. Tylko w głębi duszy postanowiłem niezmiennie, że biednej żony i dzieci na powrót do Wałujek z pewnością już nie narażę.

Pierwszy dzień podróży ku Charkowowi był pogodny i suchy; w nocy jesienna słońca się rozpoczęła i droga ociężała niezmiernie, po ośm dobrych koni w dwóch ciężkich powozach z trudnością wlec nas zdołało. — W Charkowie w czasie jednodziennego odpoczynku na biedę chwycił mróz i gruda jak po maglownicy.

Nie chodziło mi już o krótkość urlopu, bo ginąć miesiąc później lub wcześniej, różnica nie wielka, lecz żona była na zły dzień, każdy więc dzień był niezmiernie drogim i obliczonym. Ha! w imię Boże, choć noga za nogą puszczajmy się dalej. I jakoś szczęśliwie minęliśmy Połtawę aż do Piratyna.

To powiatowe miasteczko z czasów służby wojskowej dobrze mi było znane. Dwa lata wesoło przy pułku tam zbiegło, a młoda traktyerniczka Anna Iwanowna karmiła huzarów dobrze, choć nieraz różne psoty jej a bardziej spaszemu mężowi wyrządzali. Choć lat 20 już ubiegło, że posiłek w drodze niezbędny, zalecam jam-szczykom¹⁾ wieść prosto do traktyerni. Wszedłszy na próg tego samego domu, poznaję poważną już kobietę. »Jak się masz, Anno Iwano-

¹⁾ Pocztylion. Przyp. wyd.

wno!« wygłaszam zdziwionej. »Przepraszam«, mówi, »przepraszam, prawdziwie nie poznaję«. »No, przypomnieć sobie huzara pułku królowej Olgi; lecz potem się rozgadamy, teraz zaś matko, głodna mi żona i dzieci, a sługi dobrej strawy nie jadły już także od dnia wczorajszego. Wspomnij więc dawne czasy, posił podróжных, jak to umiałaś, byle prędzej«. Poczciwe kobiecisko porwało się do roboty, a żaląc się wśród zajęcia, że została wdową, że i matkę straciła i dziatki poszły za nią, że teraz pustki w mieście, traktyernia bez potrzeby, tak się zawinęła, iż w przeciągu godziny smacznie przyrządzony obiad znalazł się na stole. A kiedy przy posiłku rozgadałem się w zamian o swej biedzie, to ręce załamując niejedną łzę otarła. Lecz konie świeże zaszły, proszę więc o rachunek. »Niet, rzeczce, wy nieszczęstnyj, z was brat' deńgi grieszno«¹⁾. I zaledwie po silnem naleganiu przyjęła skromną zapłatę, błogosławiąc na drogę. Są tedy dobre serca na tym świecie Bożym, lecz czemuż one martwe na jęki milionów?

W połowie drugiej stacyi za Piratynem ciemna noc już zapadała, gdy przejeżdżając długą

¹⁾ Nie, wyście nieszczęśliwi, brać od was pieniądze to grzech. Przyp. wyd.

groblę we wsi Tieplówce, własności księcia Dołgorukiego, nadwerężone już nieco przednie koło karety rozleciało się w kawałki. Miła zabawa. Ale miejscowość znana mi doskonale, gdyż szwadron stał w tej włości, i w pięknym pałacu księcia bywałem gościem bardzo częstym. Nie zważając tedy na śnieżną zawieję, zostawiam żonę i dzieci wśród grobli, i dobrą wiorstę drogi spieszę piechotą przez pyszny park ku pałacowi. Zabłąkałem się chyba, gdyż gmachu ani śladu, jakieś rudery sterczą, psy wyją przeraźliwie, a przyćmione światółko w małym okienku niskich murów bez dachu zaledwie dojrzeć się daje. Gdzie psy tam i ludzie, ktoś przecie być tu musi; opędzam więc kundysy i znajduję się w kuchni, ku wielkiemu zdziwieniu drzemiącego na ławie stróża. »Co się u was tu dzieje, gdzie pałac, gdzie wasza dwornia?« »Dworec zgorzał, nikoho niet, tolko kniaź odin wo fligiele¹⁾«. »No to prowadź mnie do tych oficyn, ja dawny znajomy, a dziś podróżny, potrzebuję pomocy«. Na próżno, mruczy dalej rozespany z niechęcią, księżę słaby i leży, a jedyny służący poszedł gdzieś od godziny. Piękna perspektywa, lecz

¹⁾ Pałac zgorzał, niema nikogo, tylko jeden księżę w oficynach. Przyp. wyd.

ugłaskawszy stróża zapomocą rubelka, udałem się z jego rady do pana komisarza, który mieszkał opodal przy budynkach folwarku. Szczęście chciało, iż młoda żona rządcy była poczciwą Polką; wysłano spiesznie ludzi i choć z wielką biedą przywleczono powóz na dziedziniec komisaryi. Dwa dni przyszło tam gościć, zanim koło naprawionem zostało, lecz na dobre to wyszło, gdyż moja żona czując się cierpiącą, leżała przez czas cały i nieco wypocząć mogła. Zacni gospodarze ustąpili nam swych pokoi i ugaszczali z wielką uprzejmością. O samym zaś księciu pod wielkim sekretem dowiedziałem się smutnych rzeczy.

Przed kilku laty rewia cesarska odbywała się pod Tieplówką. Cesarz stał w pałacu, podejmowany z wielkim przepychem i okazałością. Potem żona z jedyną córką¹⁾ udały się do stolicy; wkrótce księżna umarła, a córka nie powróciła. Długi cisnąć zaczęły, pałac w płomieniach zniknął, a księżę na zgryzotę w kieliszku szuka ulgi. I tak pociechę czerpie od świtu aż do nocy, że z łóżka już nie wstaje, tylko butelki mu zmieniają.

¹⁾ Została morganatyczną żoną Aleksandra II. i otrzymała tytuł księżny Jurjewskiej. Przyp. wyd.

Z Tiepłowki na Jagotyn księcia Repnina, Periasław i Browary. Otóż i Dniepr graniczny, przebywamy pyszny most żelazny i jesteśmy w Kijowie. Trzeba znowu odpocząć choć dzień jeden i powziąć języka, co też w kraju się dzieje. Wyczytawszy na tablicy hotelu nazwisko Mogilnickiego, brata kolegi z Wałujek, pospieszam do niego i dowiaduję się fatalnych szczegółów bez liku. Represya trwa w całej sile i zajądłości; kazamaty fortecy kijowskiej przepelnione. Z najbliżej mnie dotyczących szwagier Zieleniewski wyczekuje tam tylko confirmacyi wyroku, który bez udowodnienia obwinień skazał go na pozabawienie praw, osiedlenie na Sybirze i konfiskatę majątku, co też i dopełnionem zostało. Ojciec pani Witołdowej Mogilnickiej i Aleksandrowej Rzyszczewskiej, Daniel Mężyński, starzec lat 60ciu z okładem, wskutek najfałszywszego donosu, równie jak mój szwagier także już osądzony. Nie byłoby końca, gdybym wyliczał wszystkich, lecz i mnie osobiście zagrażała też niespodzianka. Komisya dubieńska powołując pod sąd czterech powiatowych sędziów pokoju: Tarnowskiego, Lipskiego, Krzywickiego i Śliwińskiego, jakoby za zbieranie składek na cele patryotyczne, co rzeczywiście było nieprawdą,

lecz przy złej chęci pozory znaleźć się mogły, orzekła przytem, że i mnie jako prezesa mirowego zjazdu przed trybunał sądowy zawezwać potrzeba. Chodziło tylko o potwierdzenie tego wniosku przez generał-gubernatora, a że Bezak jak wiadomo skwapliwie ofiar przysparzał, wszelkie więc podobieństwo było, że łada chwila także w kijowskich kazamatach się znajdę.

Powiedziałem wyżej, że w tym razie pozory mogły się okazać nieprzychylnymi. Dla zrozumienia podam tu wyjaśnienia, jak rzecz się miała. Kiedy jeszcze o żadnych rozruchach w prowincjach naszych mowy nie było, z upoważnienia rządu zbierały się składki po powiatach na biednych studentów, na powróconych z Sybiru wskutek manifestu przy wstąpieniu cesarza Aleksandra II. na tron i na dozwolone biblioteki polskie przy gimnazyach; później zaś, nawet przy pierwszych już demonstracyach, i na utrzymanie politycznie aresztowanych w Żytomierzu. Ponieważ ściągania tych składek najłatwiej dokonywać mogli sędziowie pokoju, jeżdżąc ciągle po powiecie, prosiłem tych panów, aby nie odmówili w tem swej pomocy. Wszystkie zebrane pieniądze odsyłały się niezwłocznie z powiatów na ręce gubernialnego marszałka w Żytomierzu,

a sumy tworzyły się stąd dosyć znaczne. Gdy nastąpiła ogólna represya i gubernialnego marszałka Mikulicza wywieziono do Astrachania, ten przy zdawaniu urzędu, zapobiegając przejściu znajdujących się jeszcze u niego sum w ręce urzędników koronnych, złożył takowe pewnej zaufanej osobie, a wszelkie rachunki ukryte zostały. Następnie po zastąpieniu wyborowych marszałków nasłanemi figurami rządu, łatwo który z tych panów odszukał ślady w kancelaryi o zbieranych i wysyłanych pieniądzach. Podejrzanie oczywiste, iż pod tymi pozorami polityczne składki ściągane być musiały, a brak rachunków udowadniał tego tem bardziej. Dla sądów zaś bezakowskich takie poszlaki aż nadto dostatecznemi były, aby się znaleźć co najmniej na dożywotniej zsyłce w Sybirze.

Za najlepszy dowód tego może służyć proces, który Daniela Mężyńskiego o utratę całego mienia i śmierć na wygnaniu przyprawił.

Spełniając jeszcze urząd sędziego pokoju, jechał on w odwiedziny do swego sąsiada, Teodora Bobra do Zahajec, gdy urządzona już straż włościan zatrzymała go w kołowrocie wsi. »Ha łajdaki! — powiada — cóż to nie znacie mnie, swojego mirowego? otwierajcie prędzej kołowrot

a sami idźcie lepiej na żniwa, niż macie spokojnych sąsiadów zatrzymywać». Chłopi czapki pozrucali i puścili, lecz bieda nadniosła przystawa. Wypytuje strażników, czy kto podejrzany nie jechał, a oni użalają się, iż pan z Brykowa ich złajał, kazał iść na żniwa i sam przemocą przedarł się pomimo ich oporu. Prekrasno — szepnął sobie pod nosem pan przystaw — a mając urazę do Mężyńskiego, iż mu żądanego wiaderka starki odmówił, z pierwszą pocztą wysyła raport do władzy, że był już na tropach wiezionej broni przez buntowników z zagranicy, ale sędzia pokoju Mężyński straż włościąnską przy kołowrocie rozpędził i przejazd transportowi ułatwił. Przy śledztwie chłopi oczywiście pod przysięgą zeznali, że Mężyński ich łajał i do żniw napędzał, reszta wydała się panom sędziom zbyt jasną i udowodnienia nie potrzebującą. Zapewne tedy tylko wiekowi swojemu zawdzięczał pan Daniel, że jako urzędnik, pomagający buntownikom, na powieszenie skazanym nie był.

Szwagier mój Zieleniewski również przypisywać musi nieszczęsny los, jaki go dotknął, li tylko osobistej niechęci miejscowego sprawnika ¹⁾).

¹⁾ Ówczesny sprawnik uszycki nazwiskiem Szczerbina. Przep. wyd.

Bo kiedy donos bez żadnej podstawy do urzędu sprawnika doszedł, proponował on Zieleniewskiemu, iż za 1000 rubli donosowi łeb skręci; ale ten, nie czując się winnym, propozycję odrzucił. W czasie indagacji znalazł się podmówiony świadek włościanin, który pod przysięgą niebываłe rzeczy zeznawał, a chociaż następnie poruszony w sumieniu, sam się powiesił, było już po niewczasie, gdyż dekret podpisano i spełniono.

Po dowiedzeniu się przytoczonych wyżej szczegółów w Kijowie, mogła być dusza na ramieniu; ale przez ubiegłe lata tak już byliśmy ostrzelani z widmem nie tylko Sybiru i katorgi, lecz i szubienicy, że obojętny na własne losy dziękowałem Bogu, iż żonę i dzieci szczęśliwie w swoje strony dowieść już potrafiłem.

Przy każdym otwarciu drzwi do naszych pokoi w hotelu rzucałem tylko okiem, czy policyanta z żandarmami nie dojrzę. Jak na toż, wieczorem, gdy kilka znajomych osób zebrało się u nas, służący szepce mi na ucho, że jakiś urzędnik z policyi ma interes do mnie. Wycho-dzę niby obojętnie do przedpokoju, podziwiając grzeczność policyanta, że bez meldunku w salonie się nie pojawił, ale stanowczo przeświad-

czony jestem, iż aresztować mnie przychodzi. »Czy mam honor widzieć pana Zaleskiego?« — zapytuje policyjski kwartalny. Lecz chociaż skłoniłem głową na znak potwierdzenia, spojrzawszy mi tylko w oczy i przepraszając za omyłkę, gdyż innego poszukiwał, wyniósł się z grzecznym ukłonem. Nie ma tu co dosiadywać — myślę sobie w duchu — przez omyłkę gotowi porwać i powiesić.

Zaraz też nazajutrz zrana byliśmy już na szosie ku Żytomierzowi, nie przewidując bynajmniej, jak wielka boleść innego rodzaju mnie tam czekała. Ojciec mojej żony, wiedząc przez telegram o przyjeździe naszym, pospieszył na spotkanie ukochanej i jedynej pozostałej mu córki do Żytomierza. Pomyślnem jeszcze zrządem przyjechaliśmy tam w nocy i dopiero rozlokowani w innym jak ojciec hotelu, dowiadujemy się, iż on od dwóch dni już na nas czeka. Zaleciwszy żonie by udała się coprędzej na potrzebny jej spoczynek, sam pragnąc jednej chwili uściskać najlepszego ojca, biegnę do niedalekiego zajazdu, w którym stanął.

Przebudzony ze snu, wita mnie teść niby serdecznie, lecz widzę jawnie jakieś niezwykle w nim pomieszanie. Pytam o matkę, — zdrowa,

o dziecięta nasze, — także. Jednak wciąż urywa i żadnych szczegółów mi nie daje. Po kilkunastu minutach dopiero bierze mnie za rękę ojciec i ze łzą w oku powiada: »Co tu taić już dłużej, ot nieszczęście w domu was czeka«. — »Jezus! Marya! — krzyknąłem — cóż tam znowu nowego?« — »Podobało się Bogu starszą córeczkę waszą powołać do chwały Swojej«. — »Boże!... jęknąłem w boleści, biedna nieszczęsna matka, ona ją tak szalenie kochała. Ha! cóż począć, lecz niema sposobu żonie mówić tu o tym ciosie, gdyż rozchoruje się z pewnością«.

Postanawiamy więc z ojcem tajemnicę do czasu przybycia na miejsce i krzepimy się wzajemnie; ojciec z pogodnym obliczem musiał odpowiadać na liczne wypytywania biednej matki, czy córeczki powyrastały? czy która nie chorowała? jak wyglądają? — i tysiące innych szczegółów, które tylko macierzyńskie serca pojąć i ocenić potrafią.

Wyjehawszy z Żytomierza, już niedaleko Proskurowa spotkaliśmy mego brata, który także powitać nas coprędzej pospieszał. Wdzięczni mu byliśmy podwójnie, gdyż drugi powóz, w którym jechały dzieci, pod samym już Proskurowem podziękował stanowczo za służbę. Skorzystaliśmy

tedy z dwóch wolnych miejsc w koczynkach ojca i brata, a połamany dowlekli sładzy późno już w nocy do miasta.

Obradziwszy się z bratem ułożyliśmy, że, ponieważ niewiele to z drogi, zajedziemy do niego i tam już mojej żonie bolesną wiadomość z wszelką ostrożnością się powie, gdyż inaczej na samym wstępie do domu rodziców wrażenie musiałoby być o wiele dotkliwsze. Jakoż w Ostapkowcach u braterstwa przestaliśmy dzień jeden i tam biedna żona pierwsze chwile srogiej wiadomości przeboleła. Dłużej zatrzymywać się było niepodobna, gdyż tem bardziej rwała się niešťczęsna matka do drugiej dzieciny.

I tak szczęście przybycia do domu rodziców z tułaczki wygnania przyszło opłakiwać na wstępie ciężko, gorzkimi łzami.

Nie było jednak czasu oddawać się długo żalowi. Żona lada dzień spodziewała się słabości, a ja musiałem co prędzej rozpocząć działania, by ratować majątek od przymusowej sprzedaży lub co najmniej od zapowiedzianej po upływie dwóch lat licytacji.

Po różnych naradach stanęło na tem, iż dla pozornego przeprowadzenia działu wedle prawa zapisaliśmy się z całym rodzeństwem na

sąd kompromisarski. Wybrani arbitrowie obrachowawszy mnie z bratem znaleźli, iż wybrałem już całą prawie moją schedę w gotowiznie. Przysądziwszy więc bratu całkowity majątek w ziemi, oznaczyli dla mnie i dla sióstr pieniądze tylko spłaty. Chodziło jedynie o zatwierdzenie takiego działu przez izbę cywilną¹⁾, ale że ten sposób przeprowadzenia interesu prawem ogólnem wzbroniony nie był, szansa zatwierdzenia zdawała się dość możebną. Wysławszy tedy dekret kompromisarski do Żytomierza, trzeba było wyczekiwać cierpliwie, co tam ostatecznie za-
decydują.

W trakcie tego żona powiła mi szczęśliwie córkę, a chociaż czterech sędziów pokoju powiatu dubieńskiego przed sąd polityczny do Kijowa powołano, czyli wyraźniej mówiąc zawieziono, o mnie jakoś łaskawie zapomniano. Ponieważ prawo krajowe powiada, iż marszałkowie w razie przewinięcia podlegają tylko sądowi senatu, a ja, będąc administracyjnie czasowo niby usuniętym, dymisji z urzędu nie otrzymałem i na tej zasadzie mogłem się odwołać do stawiania mnie przed sąd senatu, czego

¹⁾ Sąd. Przyp. wyd.

widocznie sobie nie życzone, przypuszczam tedy, że uważano za właściwsze i praktyczniejsze pozostawić mnie na stronie. O takim zwrocie rzeczy przekonywa zachowanie z innymi marszałkami, którzy mniej więcej dłużej pozostawali na miejscach. Nowy gubernator na Wołyniu, książę Czortkow, póty im dokuczał i niegrzeczności wyrządzał, aż nie mogąc wytrzymać, sami podawali się do dymisji, jakich skwapliwie udzielano, a potem dopiero aresztowania i sądy ich następowały. Wacław Mogilnicki, który był kolegą Czortkowa z ławy prawowiedów¹⁾ w Petersburgu, uczęszczając do niego w nadziei ratunku dwóch aresztowanych braci, miał przyjemność słyszeć z ust jego zdanie, iż szczęśliwi Witołd Mogilnicki i Marcin Zaleski, że ich na urzędach już nie zastał, gdyż z pewnością byliby powieszani, chociaż, gdyby mu się zdarzyło spotkać ich gdzie w obcym kraju, pierwszy pospieszyłby uścisnąć ich dłonie. To daje najlepszą miarę, jakie zasady sprawiedliwości kierowały tymi panami. Dobrze więc mówił Anienków mojej żonie: »Niech pani podziękuje, zem męża jej wysłał«.

¹⁾ Szkoła prawa. Przyp. wyd.

Gdy trzymiesięczny pobyt mój w kraju miał się już ku schyłkowi, żona korzystając z przejazdu generał-gubernatora Bezaka przez Proskurów, podała osobiście prośbę i wyprosiła u niego przedłużenie mego urlopu jeszcze na drugich trzy miesiące. Wskutek tego dopiero zdecydowałem się pojechać po raz pierwszy od czasu wysyłki do Dubna i zaglądnąć, co się też w majątkach naszych wołyńskich dzieje. Wrażenie było tam niesłychanie bolesne, cały prawie powiat pusty, a reszta pozostałych na miejscu tak przybita i osowiała, że nikt z kąta swojego ruszać się nie śmiał. W Dubnie, prócz Żydów, znajomej twarzy już nie było; wszystkich katolików, jacy w służbie rządowej się znajdowali, usunięto zupełnie, i Rosyan nawet zastąpiono innymi pseudorusofilami, a w rzeczywistości komunistami. Dla małego tylko wyobrażenia, jak ci panowie nas urządzali, dosyć powiedzieć, że majątek mój Semiduby, liczący 4500 morgów ziemi, z której 3000 morgów pod pięknym lasem sosnowym, oceniony został przez sprawującego mój urząd marszałka do licytacyi, w razie niesprzedania w ciągu lat 2, na sumę 6000 rubli.

Prawda, że kiedy zaglądnąłem do majątków, w których Żydzi gospodarowali, tylko przejścia Tatarów stanęły mi przed oczyma, a o wyrwaniu zrujnowanego mienia z rąk tych oprawców niestety mowy być nie mogło. Innych dzierżawców na lekarstwo wówczas nie było, zupełny zaś brak dochodów wobec kontrybucyi i innych nalogów ¹⁾ do szukania pożyczki na lichwę u tych samych Żydków przymuszała. Przekonanie stąd wywiozłem niemyślne, że, gdy równe stosunki rok lub dwa jeszcze się przewloką, śmiało cały majątek nie tylko własny lecz i żony za skonfiskowany uważać mogę.

Po upływie pół roku już byłem spakowany, by wracać sam jeden do Wałujek, gdy przez różne wpływy i forsy udało się jeszcze otrzymać urlop na nowych trzy miesiące. Pod koniec ich postanowiliśmy z żoną odbyć pieszą pielgrzymkę mil ośm do cudownego obrazu Matki Bożej w Łatyczowie, a dobry ojciec żony towarzyszyć nam zapragnął. Na pierwszym zaraz etapie dopędził nas mój brat z pocieszającą wieścią o manifeście wierzbołowskim. Nie było

¹⁾ Opłat rządowych. Przyp. wyd.

w nim dla ogółu zmian żadnych, ale przecięcie dalszych śledztw i wszelkich politycznych komisji nareszcie lżej odetchnąć dozwalało. Nam zaś wszystkim administracyjnie zesłanym powyższy manifest nadawał prawo podawania prośb o przeniesienie na stałe pomieszkanie w mieście Warszawie.

Podziękowawszy Bogu gorąco u stóp ołtarza cudownego obrazu w Latyczowie i za tę okruczę pomyślności w zmianie losu, natychmiast po powrocie z pielgrzymki do domu rodziców podałem prośbę, dokąd należało, aby mi wolno było, nie jadąc już do Wałujek, udać się wprost do Warszawy. I dozwoleństwo takowe niedługo otrzymałem. Mówiono wówczas dosyć głośno, że w czasie pobytu Aleksandra II. w Paryżu, na wstawienie się cesarzowej Eugenii, był jakoby projekt nierównie szerszej amnestyi, lecz po zamachu Berezowskiego stanowczo go zmieniono. Cóż winny miliony nieszczęsnych, że jedna szalona głowa zbrodnię popełnić się pokusiła? Wszak za Karakazowa Rosyan na żadną pokutę nie skazywano, a jednak za jego tropem poszło ich niemało i wkońcu najohydniejszym morderstwem cara oswobodителя długie

pasmo swych zbrodni tak haniebnie i wstrętnie zapieczętowało.

Co do interesu majątkowego wszelkie działania i zabiegi okazały się daremnymi. Izba cywilna żytomierska po wytrzymaniu przedstawionego dekretu kompromisarskiego więcej niż pół roku, potwierdzenia działu stanowczo odmówiła, motywując swój wyrok instrukcją generał-gubernatora i zapadłym ukazem 10go Grudnia¹⁾). Były to wedle litery prawa argumenty dowolnie naciągane i zostawała droga apelacyi do senatu. Ale że zażalenie przeciw instrukcyi generał-gubernatora przedstawiało się niebezpiecznem, głównie zaś, że coraz natarczywsze naciskanie kredytorów stawiało mnie w fałszywej niejako pozycyi względem nich i brata, zdecydowałem się bądź cobądź szukać kupca i wyzucić się ze wszystkiego. Nie miałem bowiem żadnego prawa wymagać od brata, aby wypłacalność moją innymi majątkami swoimi lub żony kaucyonował.

Jeden z nowych mirowych pośredników, niejaki p. Woronin, uniósł się o tyle szczer-

¹⁾ Nie pozwalającym Polakom nabywania majątku nieruchomego na Wołyniu, Podolu, Ukrainie i Litwie. Przep. wyd.

bliwą szlachetnością, że mi za Semiduby proponował 10.000 rubli. Uśmiechnąwszy się smutnie, podziękowałem, a on nie tracił nadziei, że na licytacji nabędzie nierównie taniej.

VIII. Zakończenie.

Późną jesienią 1866. roku zostawiając żonę i wszystkie dziatki w domu i pod opieką rodziców w Sołomnej na Podolu, musiałem nareszcie wynosić się do Warszawy. Oryginalne to było, jak za przybyciem do stolicy kazano składać każdemu z nas przysięgę wiernopoddańczą i, zapisując do stałych mieszkańców miasta, dawano nam legitymacyjne książeczki różowe z czarnymi obwódkami, co miało oznaczać, iż zostajemy pod srogim nadzorem policyi i obowiązani jesteśmy meldować się co tygodnia we właściwym urzędzie cyrkułu.

Wynajawszy jeden pokój na trzecim piętrze przy jakiejś mieszczańskiej rodzinie z usługą i stołem, płaciłem miesięcznie 25 rubli. Kto zna Warszawę, może ocenić, jakiego rodzaju było pomieszkanie i jadło, ale »tak krawiec kraje, jak materyi staje«. Tu zaś brak wszelkiej ma-

teryi w krótkim bardzo czasie przewidywać się dawał. Wielu towarzyszy z Wałujek i Czerdynia znalazłem już na miejscu, a inni ściągali się powoli coraz liczniej. Najmilej powitać mi było kolegę Witolda Mogilnickiego i państwa Medekszów. Daleko później przybył także zacny kanonik Nowodworski, ale temu w stolicy mieszkać nie dozwolono i wysłano go do Włocławka.

Chociaż z dawniejszego pobytu w Warszawie i wędrówki po świecie w młodych latach całe prawie wyższe towarzystwo miejscowe było mi mniej więcej dobrze znane, dla wielorakich powodów postanowiłem nie nastęczać się moją znajomością nikomu. Nie mogłem tylko odmówić sobie przyjemności odwiedzania zacnej pani Zofii Ossolińskiej z domu Chodkiewiczówny, od dzieciństwa znanej mi dobrze w Młynowie na Wołyniu, jakoteż pani Chodkiewiczowej, matki moich niegdyś pupilów z tegoż Młynowa. Przytem parę rodzin dalszych pokrewnych, mieszkających stale w mieście, od czasu do czasu odwiedzić wypadało. Po kilku już tygodniach pobytu, dobry pan Stanisław Kossakowski ze szwagrem swoim Władysławem Chodkiewiczem, dopytawszy się skromnego schronienia mojego, przyszli z pocziwami wymówkami, żem do nich zgłosić się nie

chciał i wymogli koniecznie, bym uczęszczał na wieczorne zebrania w pałacu Kossakowskich, gdzie starsi i młodzi oddzielnie zamieszkując, w oznaczone dni u siebie kolejno przyjmowali. Wszedłszy raz na te salony, trudno było nie złożyć wizyt dawniej znajomym, których się tam spotykało. Tym sposobem wydobyty z nory pojawiałem się czasami u Potockich, Zamojskich, Uruskich, Łubieńskich, Czetwertyńskich, Woronieckich, Platerów, Sobańskich, Przeździeckich, Lasockich, Kulikowskich i wielu innych. Nie szukałem tam przyjemności ani rozrywki, gdyż wszelkie warunki osobiste nie usposabiały mnie wcale ku temu, lecz wiedząc, że w wyższych sferach często stosunkami niemało dokonać się daje, miałem jedynie na widoku, że jeżeli nie sobie to drugim w danej chwili z pomocą przyjść potrafię.

Biednych zesłańców, równej ze mną kategorii, z wszystkich prowincyi naszych ściągnęło się niebawem z różnych stron głębokiej Rosyi do stolicy przeszło kilkanaście tysięcy. Przeważna część ich była ze wszelkich środków utrzymania wyzuta, i tylko możność ujrzenia się między rodakami skusiła ich do przeniesienia się z dalekiej obczyzny na bruki Warszawy. Lecz związani w ruchach srogim nadzorem

policji, bez specjalnego wykształcenia w jakimkolwiek rzemiośle, — gdyż największa ich część składała się z ofycjalistów wiejskich lub biurokracyi i pomniejszych urzędników małomiasteczkowych, — jakąż pożyteczną pracę lub zajęcie w nieznanem wielkiem mieście, gdzie tyle lokalnej biedy na każdym kroku, znaleźć i zdobyć oni mogli? Dobroczytna Warszawa spieszyła z pomocą w rozmaite sposoby, składki sypały się hojnie, możliwych zatrudnień udzielano chętnie, wyższe towarzystwo urządzało amatorskie przedstawienia żywych obrazów w wielkim teatrze na wyłączną korzyść nieszczęsnych wygnańców (miałem nawet przyjemność być zaproszonym do czynnego udziału w takich przedstawieniach); ale najlepsze chęci muszą się rozbić o trudność przewyższającą zadanie. Litość, pobudzona na razie, zwykle przygasa i ostyga, trudno wymagać ofiar ciągłych tam, gdzie nędza coraz bardziej szerzy się i dokucza.

Z biegiem czasu samo miano wygnańca, choć grzebał się o swej sile, stało się jakąś niemiłą natrętnością dla wesołych warszawiaków; zdarzało się coraz częściej, że i przed znajomym nie wszędzie podwoje się otwierały. I doszło wkońcu do tego, iż wielu nieszczęśliwych zło-

rzeczyło dobrowolnemu przeniesieniu się z dalekiej lecz taniej obczyzny, na nędzę i głód wśród drożyzny Warszawy. — Smutne doświadczenie nauczyło, iż mniemana łaska była naprawdę istnie szatańskim pomysłem zawziętego wroga.

Warszawa pierwsza dała hasło patryotycznych demonstracyi, ruchu i powstania; wołanie o pomoc z nad Wisły pobudziło do czynu prowincye nasze. Gdy wszystko upadło pod dziką siłą przemocy, królewianie, którym powrót z puszczy i stepów był dozwolony, wracając do swoich stron i kątów, w najgorszym razie przytułek i schronienie wśród rodziny i znajomych znaleźć potrafili. Lecz nieszczęsny wychodziec z nad Niemna, Wilii, Dniestru lub Horynia, dla którego ewangelią był rozkaz najstarszej siostrzycy, porzucił ojca, matkę, żonę, dzieci, zagrodę, i spiesząc na ratunek ocknął się w kajdanach. — Tu po długich cierpieniach, głoszą łaskę cara: »Tęskniliście do Warszawy, wrota stoją otworem«. Szczęśliwy rwie się, spieszy, ostatnich sił dobywa i omdlały znużeniem pada u stóp Syreny¹⁾, ona łzę nad nim roni, okruchę

¹⁾ Herb miasta Warszawy. Przyp. wyd.

ofiar niesie, lecz nie stać dla ciotecznych, gdy własna dziatwa w głodzie. — »Po coś przyszedł?— powiada, jam ciebie nie wzywała, marzenia były płonne, rozkaz dali szaleni, było nie słuchać jęków«. A wróg z za węgła patrzy i w szyderczym rozśmiechu cha, cha, cha, pyta »lube dziatki, smaczne pączki w Warszawie?«

Nie jest to bynajmniej gorączkowy wybryk niewczesnych uzaleń lub osobistych niechęci, gdyż, dzięki Bogu, stać mię tam jeszcze było na łyżkę skromnej strawy i nawet w ostateczności prędzejbym kamienie rozbijał, niż szukał obcej materyalnej pomocy, ale najszczerzej mówiąc, ogólny pogląd po kilku latach w Warszawie takie wrażenie mi pozostawił.

I nic dziwnego, wiadomo bowiem od wieków, że gdy najszaleńszy zamysł się powiedzie, wszyscy jeniałą myśl sobie przypisują. Niechże z rozwagą obmyślane działanie pożądanego nie przyniesie skutku, każdy z czynników nawet wypiera się stanowczo, że nigdy ręki do tego nie przykładał.

Na pociechę miło mi zanotować, że średnia klasa w Warszawie z nierównie większem współczuciem dla nas się okazywała. Z wyższych sfer niezmiennemi w uprzejmości od początku do końca

byli: państwo Kossakowscy starsi i młodsi, chociaż starsza pani Rosyanka z domu, państwo Maurycowie Potoccy, pan ordynat Tomasz Zamojski i niewielka liczba z osiadłych obywateli prowincyi naszych. O reszcie arystokracji warszawskiej, przynajmniej z liczby tej, którą na salonach spotykać mi się zdarzało, »jak o Ryczywole, zamilczeć wolę«. Oczywiście, nie wspominam tu najzacniejszej pani Ossolińskiej, ani pani Chodkiewiczowej, gdyż te jako wołyńianki, całą duszą przychylnemi nam były.

W pierwszych zaraz miesiącach mojego pobytu w Warszawie, zjawił się u mnie agent z Czech, niejaki Bardasz, proponując pośrednictwo w sprzedaży majątku kolonistom z jego kraju. Z miłą chęcią zgodziłem się na to i poruczyłem mu szukania kontrahentów z odpowiednim kapitałem. Następnie jakiś generał i jakiś urzędnik różne propozycje zamiany na dobra w Królestwie lub domy w Warszawie mi podawali. Wszystko to jednak były tylko chętki wyzyskiwania, do żadnych logicznych rezultatów nie prowadzące. Pewien nawet zacny oficer z przybocznej kancelaryi namiestnika Berga, poznawszy się ze mną przypadkowo, zaprojektował wydanie transakcyi na jego imię, a przyjęcie

od niego zakładnych weksli na taką sumę, jaką sam uznam za właściwą, do czasu póki odpowiedniego kupca nie znajdę. Lecz i tu, prócz nieprzewidzianych wypadków w takim obrocie interesu, główna niemożność przedstawiała się w braku koniecznych pieniężnych środków do działania, a następnie do wyczekiwania przynajmniej lat kilku. Tak więc biedziłem się okrutnie, a nic praktycznego wymyśleć się nie dawało. Gdy raz ten węzeł gordyjski przecięty został i było jeszcze o co ręce zaczepić, zacny pan Tomasz Zamojski proponował mi dzierżawę na wybór w ordynacyi swojej z najdogodniejszymi warunkami i stosowną do rozporządzalnego kapitału, lecz na nieszczęście były to czasy, gdzie wszelkie kapitały znikły bez śladu, a właściciel znacznych obszarów ziemi w prowincyach naszych mógł najłatwiej umierać z głodu.

Po upływie pół roku, przy uprzejmej pomocy różnych drobniejszych wpływów, wyrobiłem sobie zdjęcie srogiego nadzoru i dostałem nową legitymacyjną książeczkę, choć jeszcze różową, ale bez czarnej obwódki. Ten postęp miał tę wygraną, że nie trzeba już było meldować się co tydzień w urzędzie cyrkułu, a miało się honor być odwiedzanym od czasu do czasu przez

rewirowego na własnej kwaterze. Kiedy zaś rok złośliwego pomysłu wygnania do Warszawy przeżywał, wyjednał sobie od naczelnika cyrkułu przychylne przedstawienie nieskazitelnego sprawowania, otrzymałem łaskawie zdjęcie nadzoru policji w zupełności i zaszczycono mnie znowu nową książeczkę legitymacyjną, zwykłego już koloru niebieskiego.

Przy zmianach pomieszkania, nie mogąc wynaleść możliwego przy tem jądła, najczęściej chodziłem na skromne obiady do hotelu rzymskiego. Tam siadając kilkakrotnie przy jednym stoliku, zabrałem znajomość z pewną, dość sympatyczną osobistością, której w rozmowie, przy lepszym poznaniu, nie widząc potrzeby tajenia, wypowiedziałem niektóre szczegóły kłopotów swoich. Okazało się, że choć Polak, był to demisyonowany oficer żandarmeryi warszawskiej, a dziwnem współczuciem i życzliwością dla mnie przejęty, dawał mi rady i pomagał w zdjęciu nadzoru policyjnego. Kiedy więc szczęśliwie niebieską książeczkę dostałem z jego insynuacji, przenieśliśmy się naprzód do innego cyrkułu miasta, gdzie w urzędzie policyjnym mnie nie znano, i przemieszkawszy parę tygodni, jako

zwykły obywatel Warszawy, podaję prośbę o półroczny paszport za granicę.

Wybieg udał się doskonale i z najlegalniejszym paszportem wymykam się z Warszawy do Krakowa, pomodliwszy się po drodze w Częstochowie. A że wracać do kraju wolno przecie jakąbądź komorą, przeleciawszy tylko przez Kraków i Lwów na Wołoczyska, zjawiam się niespodziewanie u rodziców i żony w Sołomnej. Co dalej będzie, nie przewiduję, lecz jako legalnie przybyły posyłam natychmiast paszport do miejscowej władzy, a sam poję się szczęściem oglądania najdroższych.

Na drugi zaraz dzień przystaw przybywa osobiście; wypytuje ciekawie; w jaki sposób paszport otrzymać potrafiłem. Ja mu dziwy prawię o stosunkach i zachowaniu dla mnie wyższej władzy w Warszawie; on ramiona wznosi, głową kręci, lecz wszystko w porządku, aresztować mnie nie ma prawa, skłonił się tedy i odjechał. Bez wątpienia musiał natychmiast pójść o tem raport do sprawnika, a następnie do wyższej władzy, lecz nie turbowano mnie wcale i pół roku przesiedziałem spokojnie.

W tym czasie będąc na kontraktach dubieńskich w Styczniu, znalazłem nakoniec kon-

trahentów na majątki wołyńskie. Byli nimi koloniści z Czech, którzy na odgłos wielu przymusowych sprzedaży w kraju naszym, a stąd niesłychanie niskiej ceny ziemi, przybywali wielkimi partjami i protegowani przez rząd nabywali za lichą cenę znaczne obszary ziemi, przeważnie na pograniczu Wołynia i Galicyi, w powiatach dubieńskim, rowieńskim i ostrogskim. Kolei żelaznej jeszcze wówczas nawet projektu pewnego nie było, a handel drzewem tak upadł, że najpiękniejsze lasy szacowano bardzo niewiele. Po długich tedy targach stanęło na tem, że Semiduby z przysiółkami sprzedać musiałem po 10, a Mirohoszczę z Lipą po 17 rubli za morg ziemi. Najniedogodniejszym warunkiem tej sprzedaży było to, że kupujący zaledwie czwartą część sumy szacunkowej z góry wypłacili, resztę obowiązali się składać częściami przez lat pięć z procentem szóstym, i wtedy dopiero transakcyje miały im być przyznane. Był to interes bardzo nieświetny, ale wiele ten czyni, co musi. Miałem przynajmniej tę jedną pociechę, iż ziemia ojców naszych nie przechodziła w ręce wroga, i że amatorowie, którzy z lubością licytacyi wyczekiwali, z przeciągniętymi nosami złorzeczyli z nie-

tajonem rozdrażnieniem tym nowym przybyszom do kraju.

Jaką stratę poniosłem z tej sprzedaży, dość powiedzieć, że kiedy w lat kilka kolej żelazną przez Dubno budować rozpoczęto, Czesi sprzedawali las semidubowski na wyrąb po 100 rubli jeden morg, a lasu było tam morgów 3000.

Wszyscy ci koloniści byli katolikami i przy osiedleniu zapisali się do parafii dubieńskiej. Rząd zachęcał ich bardzo do przejścia na prawosławie, kilku wyjątkowo nakłonić się dało, lecz ogół stanął oporem — mówiąc — że przybyli nie dla nieba, lecz dla chleba. Że głównie jednak chodziło władzy o usunięcie ich od wpływu księży naszych, jako żywiołu polskiego, rząd własnym kosztem sprowadził dwóch młodych księży z Czech, którzy urządzili odrębną parafię w Mirohoszczy, gdzie była kaplica. Wkrótce ci prałaci, nudząc się zapewne na wsi, postarali się o dozgonne towarzyszeki i jeden drugiemu stułą ręce związał. Jest więc nowa religia mirohoska, której wyznawcy mieniąc się katolikami, mają księży żonatych, żadnej zwierzchniej władzy duchownej nad sobą nie uznających.

Co do interesu z Czechami, miałem w następstwie kłopotów, nieprzyjemności i strat bez

liku. Ufni w opiekę rządu, nie tylko terminów w wypłatach nie dotrzymywali, lecz przeróżne kwestye i najdziksze pretensye końca nie miały. Rozdzieliwszy ziemię na małe udziały między sobą, przy arbitralnem poparciu władzy, zmusili mnie do obliczania każdego z osobna i przyjmowania należności w najdrobniejszych rozmiarach; cały interes przeciągnął się prawie lat dziesięć, a kilka tysięcy rubli między nimi i umocowanymi bezpowrotnie przepadło.

Kiedy sześciomiesięczny paszport miał się ku schyłkowi, opiekuńcza policya przypomniała mi uprzejmie, że pora powracać do Warszawy. Rad nie rad wlokę się znowu nad Wisłę, a przybywszy na miejsce i wierząc w dobry skutek, rozpoczynam właściwe kroki dla otrzymania nowego paszportu. Przy pierwszych formalnościach w cyrkule zmiana dekoracyi nie spodziewana; pan wydziałowy urzędnik po odczytaniu podania, zajrzawszy do jakiejś podręcznej księgi, zapytuje z widoczną niechęcią: — »Pan byłeś pod nadzorem policyi i jesteś przesiedlonym z gubernii wołyńskiej?« — »Tak rzeczywiście — mówię z dobrą fantazyą — lecz przeszło pół roku od wszelkiego nadzoru uwolniony już jestem«. — »To kwestya inna; za

granicę możesz pan mieć paszport w każdym czasie, nawet emigracyjny, lecz co do gubernii zachodnich wyszło nowe rozporządzenie, aby bez przyzwolenia miejscowych jenerał-gubernatorów nikomu z politycznie skompromitowanych paszportów nie wydawać. Proszę więc postarać się naprzód o żądane pozwolenie».

Dysertacja była zbyt cenną i bezcelową, tembardziej, iż moje pierwsze pojawienie się na Podolu bodaj czy nie wywołało tej restrykcji; świeżo jednak zawiązany interes mój z Czechami przedstawiał powód dosyć ważny; telegrafuję tedy do księcia Dundukowa Korsakowa, który zastąpił miejsce zmarłego, dzięki Bogu, Bezaka, i otrzymawszy mało spodziewane dozwoleń przybycia na trzy miesiące, pospieszyłem z powrotem na Podole.

Za długo byłoby wypisywać, w jaki sposób i jakimi drogami od tego czasu do 1872. roku udawało się wyrabiać coraz nowe pozwolenia na kilkumiesięczny pobyt w swych stronach. Nieraz żona musiała osobiście jeździć w tym celu do Kijowa, albo szturmowałem telegramami. Zdarzało się, że w jednym roku przyjeżdżałem i wyjeżdżałem po parę razy. W niemiłej już, bo nakazanej Warszawie, bywałem odtąd za ledwie

kilkotygodniowym gościem. Korzystając z łatwości paszportów za granicę, jeździliśmy z żoną do wód dla poratowania silnie nadwątłego jej zdrowia, raz nawet z Ostendy, a bardziej już z Brukseli, nie mówiąc nic przed żoną dokąd jedziemy, postanowiłem sprawić jej niespodziankę ujrzenia się w Paryżu. Sekret nie dochował się do końca, gdyż Anglik, jadący w jednym wagonie z nami, zdradził mnie, wypytując w jakim hotelu zatrzymamy się w Paryżu. Niemniej prawdziwą przyjemność miałem z wielkiej radości żony, gdy oglądała tę metropolię cywilizowanego świata, przed komuną jeszcze. Co roku prawie przesiadywałem też mniej więcej dłużej u ciotecznej siostry mojej br. Czechowiczowej na wsi w Galicyi.

Łatwo jednak ocenić, jak smutny rezultat w kieszeni zostawiały takie nieustanne włóczęgi. Zadatkowa suma, od Czechów wzięta, poszła prawie w całości na spłacenie zaciągniętych ostatnimi laty długów. Następnie, co tylko od nich częściami wydobywać się dało, wszystko bez mała zabierały rozchody. W ciągu tych lat matka mojej żony i ciotka, mieszkające razem, po długich chorobach zmarły, — dwoje dzieciak znowu podobało się Bogu zabrać do chwały

Swojej. Teść, więcej troskami niż wiekiem przygnębiony, sam gospodarować nie był w stanie a dzierżawcy Żydzi dwie piękne jego wsie na Podolu rujnowali bez miłosierdzia, tworząc coraz większe lichwiarskie rachunki za udzielane zboże i otwarty kredyt w razie potrzeby. Słowem, konieczność ratunku przed ostatecznym rozbiem była gwałtowną, a ja, jak Żyd wieczny tułacz, na włóczęgę skazany, ciągle niepewny jutra, ni zająć się systematycznie, ni poświęcić się pracy możliwości nie miałem.

Ostateczność przynagła częstokroć do chwytania się radykalnych, choć ryzykownych środków. Otóż przybywszy pod koniec lata 1872. roku, nie wiem już jakim nawrotem do Warszawy, naciągam frak i ruszam do szefa żandarmeryi Królestwa, barona Friedrichsa.

Na szczęście zastaję go samego. — »Panie jenerale — powiadam — ośm lat temu z urzędu marszałka dubieńskiego, bez objawienia winy wywieziono mnie na Sybir, po roku przenieśli do Wałujek w gubernii woroneżskiej, gdzie wysiedziawszy lat dwa, przesiedlony zostałem do Warszawy. Majątek z rozkazu rządu sprzedałem pół darmo, środków utrzymania w Warszawie z liczną rodziną nie mam już żadnych. Żona

mi chóra, dzieci bez opieki przy starym i scho-
rzałym ojcu na Podolu. Pozycja moja obecna
bez wyjścia, a winnym być się nie czuję. Posta-
nowiłem tedy dopraszać się sądu; niech się raz
dowiem, jakie przestępstwo moje? Jeżeli uspra-
wiedliwić się nie potrafię, niech mnie najsrożej
ukarzą, niech powieszą, lżej mi to będzie. Przy-
chodzę więc prosić pana generała o radę, do
kogo należy mi prośbę stosowną podać?»

Pomyślawszy chwilę, generał daje mi odpo-
wiedź następującą:

»Dopraszać się sądu nie radzę, gdyż jak
zechcą, winę znajdą. Ale widząc rzeczywistość
smutnego położenia, w jakim się pan znajdujesz,
życzę napisać podanie do hrabiego namiestnika,
żeby nie odmówił wyjednać najmiłościwszego do-
zwolenia monarchy przemieszkiwania panu stale
na Podolu przy rodzinie. Przed audyencyą u hra-
biego Berga zapewne adjutant dyżurny spyta
o treść prośby. Możesz mu pan powiedzieć, że
z mojej rady ją podajesz, a jeżeli namiestnik
wyjść zechce, opowiedz mu pan całe przejście
swoje. Życzę powodzenia i sądzę, że to śro-
dek jedyny«.

Wynurzywszy mi wdzięczność za tak przy-
chylną radę, zająłem się niezwłocznie jej wyko-

naniem i nazajutrz o 8ej zrana, w białym krawacie wedle etykiety, z prośbą w rękę pojechałem do Belwederu.

Jak tylko powiedziałem adjutantowi Dzierżbickiemu, że z porady barona Friedrichsa przychodzę, zameldował mnie niezwłocznie, a namiestnik zalecił wezwać mnie do swego gabinetu. W poprzedzającym pokoju u drzwi gabinetu stał uzbrojony Czerkies; wprowadzonemu przez adjutanta raczył hrabia wskazać uprzejmie fotel i po odczytaniu podania, wypytawszy obszerniej o różne szczegóły, przyrzekł łaskawie przedstawienie do cara wysłać; uprzedzając jednak, że zapytanie pójdzie i do Kijowa, radził postarać się tam, aby odpowiedź przychylną była.

W ten sposób rzecz zdawała się stać na dobrej drodze, ale Kijów to sęk nielada. Piszę tedy najspieszniej do żony, żeby osobiście tam się udała, a może księżę Korsakow prośbie jej nie odmówi. Pomyślny wypadek zrządził, że żona poznawszy się w Kijowie z jakąś pocziwą generałową, zawieziona przez nią do samej księżny, potrafiła uzyskać wstawienie się jej do męża i przychylna opinia uzyskaną została.

Długo z Petersburga rezolucya nie nadchodziła. — W 1873. roku dopiero otrzymałem

oficyalne zawiadomienie, iż cesarz najmiłościwiej dozwolić raczył, abym odtąd bez przeszkody stale mógł zamieszkać na Podolu.

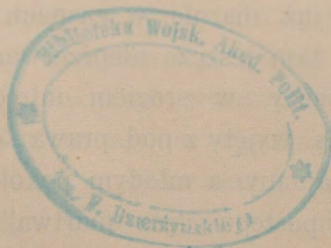
Po sumarycznem zestawieniu tych rozlicznych faktów i zdarzeń w ciągu lat piętnastu, wypada w rezultacie, że za pięć lat sumiennego marszałkowania w Dubnie, pozyskałem Sybir, wygnanie, pozbycie znacznego mienia i zmarnowanie najpiękniejszych dziesięciu lat życia, a jako lichwiarski procent steranie zdrowia i sił, tak własnych jak i żony.

Lecz jam tylko jednostką i po przebytych kataklizmach z łaski Opatrzności grzebię się jakoś na tym świecie. Słyszałem nawet zdania, że w całej politycznej kwestyi do szczęśliwych wybrańców zaliczać się mogę. Ileż zaś setek nieszczęsnych ofiar złości i nikczemności podłych służalców zginęło już marnie w zaspach śniegowych, lub jęczy tam jeszcze nieprzerwanie?

Za szal rozpaczy, w srogiem udręczeniu kraj cały, by Parias, wyjęty z pod prawa, ćwierć wieku zakuty w kajdany, a młodym pokoleniom nie życie czynu i postępu, lecz martwa wege-

tacya w bezcelowej przyszłości przed oczy ponurem widmem staje.

O! ciężką, zbyt ciężką dolę zesłałeś na
Twą działwę Wszechmogący Panie! Wielkie mu-
siały być przekroczenia, gdy kara tak nam
bardzo dziś srogą; lecz miłosierdzie Twoje wyż-
sze ponad wszystko, przy kornej więc pokucie
Wiara i Nadzieja.....!



KSIEGARNI



42635/
12

Każdy tom broszurowany 1 zł. 80 ct.; w oprawie zł. ct.
2 30

1—2.	Krasiński Z. Pisma. Wydanie z przedmową Stanisława hr. Tarnowskiego. 2 tomy	
3—6.	Mickiewicz Adam. Dzieła. Wydanie zupełne. 4 tomy	
7—10.	Zaleski B. Poezye przejrzone przez autora. 4 tomy	
11.	Pamiętniki Paska. Wydanie dra Węclewskiego	
12.	Niemcewicz J. Jan z Tęczyna. Powieść historyczna	
13—16.	Słowacki Juliusz. Dzieła. Wydanie przejrzone przez prof. dra A. Maleckiego. 4 tomy	
17—19.	E...ly (Asnyk Adam). Poezye. 3 tomy	
20—22.	Malecki A. Życie i Pisma Juliusza Słowackiego. Wydanie drugie, znacznie pomnożone. 3 tomy,	
23.	Wybicki J. Pamiętniki	
24—25.	Mickiewicz A. Dzieła 5—6	
26—28.	Mickiewicz A. Korespondencye. 3 tomy	
29—31.	Kitowicz X. Pamiętniki. 3 tomy	
32—33.	Kitowicz X. Opis obyczajów i zwyczajów za panowania Augusta III. 2 tomy	
34—37.	Romanowski M. Pisma. 4 tomy	
38—39.	Słowacki J. Listy. Wydanie drugie pomnożone. 2 tomy	
40—42.	Słowacki J. Pisma pośmiertne. Wyd. drugie pomn. 3 tomy	
43—44.	Krasiński Z. Pisma, 3—4	
45.	Kraszewski J. I. Poezye	
Bronikowski.	Jan III. Sobieski i dwór jego. 2 tomy	4 20
Dr. Antoni J.	Nowe opowiadania. Wydanie drugie	3 —
—	Opowiadania historyczne. Ser. VI. VII.	3 —
Duchlińska S.	Pisma. Pamiętnik	3 20
Dzieduszycki W.	Historja malarstwa we Włoszech	5 60
—	Listy czytelnika	1 80
—	Baśń nad Baśniami. 2 tomy	3 20
—	Listy ze wsi. 2 tomy, każdy	3 20
Estreicher.	Wincenty Pol, jego młodość i otoczenie	2 80
Gubrynowicz B.	Kazimierz Brodziński 1830—1835	60
Jer B. A.	Listy Maszy do Paszy. Szkice i obrazki	1 80
Jeż T. T.	Ostapek. Ustęp z przeszłości emigracyjnej	2 40
Kaczkowski K.	lekarz wojsk polskich. Wspomnienia 1808—1831. 2 tomy	4 20
Krasiński Z.	Listy: I. do Gaszyńskiego; II. do Soltana; III. do Słowackiego, Zaluskiego i t. d.; tom po	3 20
Kubala L.	Jerzy Ossoliński. 2 tomy	6 80
Listy Jana III.	króla polskiego, pisane do królowej Kazimiery	2 80
Loziński W.	Patrycyat a mieszczaństwo lwowskie w XVI. i XVII. wieku. Wydanie drugie z 107 rycinami	10 —
—	Nowe opowiadania Imci Pana Wita Narwoja	3 —
Niewiarowicz A. L.	Wspomnienie o A. Mickiewiczu	2 20
Sas Berlicz.	Mozaika. Gawędy szlacheckie. 2 tomy	3 80
Sewer.	Bratnie dusze. Powieść	2 40
Wilkońska P.	Na teraz. Powieść	2 40
Wspomnienia	Konstantego Wolickiego z czasów pobytu na Syberji	2 60
Zachariasiewicz Z.	Teorya pana Filipa	2 40
—	Jedna krow. Powieść	1 80
Zieliński.	August II. i Aurora Königsmark. Powieść. 2 tomy	3 60
Ostatnia	Wojewodzina Wileńska p. X. M. R.	4 20

zapis up